

De. 11
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 149.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1878.

SERYA V.

Luty.

TOM I. — ZESZYT II.

WARSZAWA.

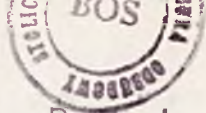
Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

—200—

Ukończono druk dnia 31 stycznia 1878 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Zawisza Czarny. Przez Antoniego Prochaskę.	177
II. Zakład śmiertelny Ottona. Dramat w pięciu aktach Henryka Spicera. Przetłóżył z angielskiego Feliks Jezierski.	199
III. Wspomnienia moje o działaniach wojennych korpusu pod dowództwem generała Jana Henryka Dąbrowskiego, w roku 1813. Przez Prota Lelewela.	231
IV. Przegląd odrodzonej literatury prowansalskiej. Przez Sewerynę z Ż. Duchieńską.	245
V. Pięć ustępów z cyklu powieści historycznych J. I. Kraszewskiego. Ocenił Ernest Swieżawski.	275
VI. Ustęp z życia Alberta Hohenzollern-Anspach, lennika w Prusiech polskiego. Opowiadanie historyczne. Przez Eugeniusza Skrodzkiego.	298
VII. PRZEGLĄD PISMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
O powstawaniu praw moralnych. Przez Aleksandra Świętochowskiego. Warszawa, 1877 r. Przez Kazimierza Kaszewskiego. .	313
Johann Kochanowski (Joannes Cochanius) und seine lateinischen Dichtungen. Ein Beitrag zur Literaturgeschichte der Slaven, von Raphael Loewenfeld. (Jan Kochanowski i jego poezye łacińskie. Przyczynek do dziejów literatury Słowian. Poznań, 1878 r. Józefa Jolowicza. Str. VIII i 158). Przez F. Jezierskiego.	337
VIII. Konkurs Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.	343
IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. . .	345
X. Nekrologia.	352



ZAWISZA CZARNY.

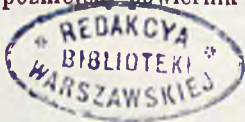
PRZEZ

Antoniego Prohaskę

Nie brak Polsce, w Piastowskim nawet okresie, rycerstwa i rycerzy, jacy w piętnastym stuleciu za pierwszych Jagiellonów roją się w olbrzymio wzrastającym państwie. Oświata z Zachodu idąc, przynosiła z sobą i to charakterystyczne znamię wieków średnich: rycerstwo. Kroniki do czasów Piastowskich się odnoszące, zaledwie pozostawiły nam kilka imion w spadku po owych czasach; o właściwościach więc rycerstwa u nas w tym okresie, nie możemy mieć należytego wyobrażenia. Królowie nasi Bolesławowie: Wielki, Śmiały i Krzywousty, to prawdziwi i jedyni reprezentanci narodowego rycerstwa, w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu.

Rzecz na pozór dziwna, a przecież tak łatwa do pojęcia, że gdy pod koniec XIV-go stulecia rycerstwo średniowieczne upadać poczęło, u nas poczyna występować na widownią i odgrywać rolę historyczną, jaka mu miała na Wschodzie przyspaść w udziale. Zdaje się, że stosunki Polski z Krzyżakami za króla Łokietka, późniejsze i tylko stosunki z Czechami i Węgrami za Kazimierza W., ośmioletnie panowanie króla *Luisa Andegaweńczyka*, wreszcie stosunki z pogańską Litwą, przyczyniły się najbardziej do wzrostu tej wielkiej instytucji wieków średnich. Jak za Piastów rycerstwo reprezentowali królowie, tak obecnie poczyna je przedstawiać naród, który jak wszędzie podówczas w Europie, stanowiła i w Polsce szlachta.

Dzieje bezkrólewia po Luisie Andegaweńskim już pełne są imion rycerzy i narodowego rycerstwa. Walki Nałęczów z Grzymalitami, walki Wielko- z Małopolanami, bitwy pod Wilnem i walki z Krzyżakami, przypominają nam niejedyn rys charakterystyczny rycerstwa wieków średnich w zachodniej Europie. To też skoro tylko poczęły się harce Węgrów z najczudniczymi hordami azyatyckich Turków, wnet śpieszy tam rycerstwo polskie, aby pod sztandarem krzyża i orła białego bronić swą pierśią Europę od barbarzyństwa hord dzikich. Z Zygmuntem Luksemburczykiem, tym prawdziwym *kawalerem*, a nieodrodnym wnukiem Jana, króla czeskiego, ciągnie w dalekie ziemie zacny poczet rycerzy polskich, polskiej szlachty. Karty dziejów ówczesnych opowiadają nam, że w pamiętnym dniu bitwy pod Nikopolis, poległ w obronie wiary polski rycerz Sasin, mąż bohaterkiej odwagi, walcząc dzielnie wraz z synem swoim Rolandem. Był on kasztelanem wyszohradzkim. Ocaleli zaś w tej morderczej bitwie: Ścibor ze Ściborzyc, herbu Ostoja, późniejszy powiernik i przyjaciel króla Zygmun-



ta, i Tomasz Kalski, herbu Róża. Świętosław Szczenię herbu Łada, rzuciwszy się w bystre nurty Dunaju, przepłynął szeroką rzekę i tak ocalił swe życie.

W taki to sposób walczą polscy rycerze już w pierwszej bitwie Zygmunta Luksemburczyka przeciwko niewiernym Turkom. Niez szczęśliwy koniec tej bitwy pod Nikopolis był powodem, że Muzułmanie poczeli roić świetniejsze zamiary; zapragnęli wdrzeć się w głąb Europy; to też już w rok po tej bitwie, to jest w 1396 r., nasyła Bajazet liczne swe wojska na zdobycie Węgier. Jednakowoż obumierające rycerstwo zachodniej Europy nie śpieszy do walki ze zwykłą gorliwością i pośpiechem, jak to zwykło było w dawniejszych czasach czynić; natomiast śpieszy z całą ochotą i poświęceniem domorośle, powstałe w zagrożonych od niewiernych krajach, a mianowicie na Węgrzech i w Polsce. Tymto narodom przypada w udziale misya rycerstwa, — prawdziwych rycerzy krzyża. Już bitwa i klęska pod Worskłą, świadczy o dobrze zrozumianém powołaniu rycerstwa polskiego na Wschodzie.

Odtąd wszędy gdzie tylko krzyż w potrzebie będzie, wszędy gdziekolwiek wiara święta zagrożoną się okaże, widzimy stawające w obronie krzyża i wiary rycerstwo polskie.

Domorośle atoli rycerstwo polskie musiało przebyć jakąś szkołę za granicami kraju, aby uzyskać patent od zachodniej Europy, aby wyuczyć się wszystkich zewnętrznych znamion, które charakteryzowały ówczesnych ich kolegów zachodnich. W tym celu jeździła bogatsza szlachta polska na dwory zachodnich książąt, kruszyła kopie na turniejach, dokazywała cudów waleczności i odwagi, i w ten sposób uzyskiwała złotą przepaskę, zewnętrzne znamię rycerza. Pod sam koniec XIV a na początku XV wieku skupia się też szlachta obok Zygmunta Luksemburczyka, podówczas króla węgierskiego. Dziwny ten człowiek i zagadkowy po wszystkie czasy charakter, gromadził na dwór swój węgierski właśnie najśmielszych i najbiegłęjszych w swém rzemiośle rycerzy ze wszech stron świata. Zapewne stosunki z poblizką Polską po śmierci Luisa były powodem, iż wielu z najdzielniejszej szlachty polskiej wstąpiło na dwór jego w rycerską służbę. Pomiedzy innymi był Ścibor ze Ściborzyc, który ocaliwszy przy jakiejś sposobności życie Zygmuntowi, dosięgnął wnet największych zaszczytów, pozyskał majątek i na zawsze osiedlił się w Węgrzech.

Równie jak Ścibor ze Ściborzyc przepędził i Zawisza Czarny Garbowski szkołę rycerską u króla Zygmunta. Opuścił on swą ziemię rodzinną, aby na dworze obcego, a nawet wrogiego ojczyźnie króla, wyuczyć się potrzebnego pod owe czasy rycerskiego rzemiościa i służyć niem następnie narodowi i ojczyźnie swojej. Już na początku XV-go stulecia widzimy go w charakterze domownika i rycerza króla Zygmunta.

Ponieważ imię tego rycerza i bohatera naszego, głęboko, jużto przystowiem narodowém, już pieśniami poetów, wpisało się w serce narodu, poważymy się choć w głównych rysach nakreślić historyczny, a o ile możności wierny jego obraz.

Zawisza, tak mu było na imię, podówczas bardzo zwyczajne ¹⁾, *Czarnym* zaś przewzano go zapewne dla koloru twarzy lub włosów ²⁾, gdyż brat jego Piotr miał przezwisko *Kruczek*, pochodził z Garbowa, wsi w krakowskiej podówczas dyecezyi leżącej, zkąd go téż i Garbowski nazywano. Rodzina Zawiszy pochodziła snąc z Sandomierskiego, gdyż dziedziczny jego majątek, jak się później przekonamy, leżał w tej ziemi. O jakimś Bernardzie Garbowskim, sandomierzaninie, czytamy w kronice Janka z Czarnkowa pod 1381 rokiem ³⁾, niebardzo pochlębną wiadomość. Opowiada on, że gdy Pietrasz, starosta łęczycki, zaprosił na biesiadę Pełkę, proboszcza kurzelowskiego, a dzierżawcę zamku arcybiskupiego Uniejów, wszczęła się podczas uczyt pomiędzy ostatnim a Mikołajem, kasztelanem łęczyckim, kłótnia z powodu jakichś łowów, w ciągu której Pełka od kasztelana Mikołaja zabity został. Dworzanie proboszcza gdy się o śmierci swego pana dowiedzieli, zabili w żądzy zemsty mordercę. Bernard z Garbowa, sandomierzanin, któremu był Pełka, brat jego rodzony, straż zamku uniejowskiego zostawił, skoro tylko powziął wiadomość o morderstwie dokonanem na swym bracie, rozbił skarbiec arcybiskupi, i zabrał z niego około 600 grzywien. Nadto nabił on wielką ilość bydła i trzody, kazał je unieść do zamku, który przez dwa prawie tygodnie w swém ręku trzymał, dopóki Domarat, wielkopoiski, i Pietrasz, kujawski, starostowie, a nadto Dzierżko, gnieźnieński, i Grzymała, kostrzyński, kasztelanowie, nie namówili go do zgody. Za warunek postawił sobie Garbowski odpuszczenie od wszystkich wdzierstw i bezprawii w imieniu arcybiskupa Janusza, poczem dopiero ustąpił z zamku uniejowskiego. Nie możemy skonstatować, czy rzeczony Bernard Garbowski jest ojcem Zawiszy; chronologicznego błędu nie byłoby w takiem mniemaniu, a dziedziczenie nazwiska z ojca na synów, rozpoczyna się w owym czasie na dobre; nadto, miał nasz Zawisza dziedziczny majątek Zasów właśnie w Sandomierskiem.

Był Zawisza Czarny *Sulimczykiem*, to jest pieczętował się herbem Sulima, a heraldycy nasi opisują ten herb: orzeł czarny w polu złotém, pod nim trzy kamienie w polu czerwonym. O herbie tym wiemy, iż podówczas już szeroko był rozgałęziony, że przy unii horodelskiej przyjęli Sulimczycy do swego herbu Radziwiłła ⁴⁾, że Piotr Wołodkowicz, herbu Sulima, dzierżył z ramienia króla Jagiełły Podole ⁵⁾, że pod

1) Zawiszą zwał się w owych czasach biskup krakowski, Zawisza Oleśnicki; zresztą zobacz liczne przykłady u Helcla: *Starodawne prawa polskiego pomniki*, zapiska 1708 *Zavissius Banczal*, zap. 3952 i nast. *Zavissius de Codramb*, zap. 4066 *Zavissius de Borzischovitze* etc.

2) Że Niger, Czarny, jest przezwiskiem, zobacz tego liczne przykłady u Helcla, np. zap. 1600: *Jurko Niger*, zap. 1869 etc.

3) Janko z Cz. u Bielowskiego, M. P. II, 699.

4) Długosz, XI, 341.

5) Tamże, XI, 213.

Grunwaldem walczył Sulimczyk Stanisław z Charbinowic¹⁾, że Bartosz Wołodkowicz, herbu Sulima, mając za żonę siostrzenicę biskupa Wysza, był t^ę sam^ę wrogiem Jastrzębca biskupa²⁾; że wreszcie Władysław z Oporowa, późniejszy biskup włocławski, był również Sulimczykiem³⁾. Co się tyczy Sulimczyków Garbowskich i innych, pochodzących z t^ęj linii, to wiemy z pewnością, że nie odgrywają oni żadn^ęj roli w ówczesn^ęm nadzwyczaj ruchliw^ęm życiu polityczn^ęm Polski; że więc tylko zasługom Zawiszy Czarnego przypisać należą wyniesienie tego rodu szlacheckiego. O braciach jego wiemy, że miał ich dwu, to jest Jana z przydomkiem *Farurej*, który podzielał z nim zmienne losy za granicami kraju, a później został miecznikiem ziemi krakowskiej, i Piotra przezwanego *Kruczek*, który zda się osiadł na rodzinn^ęj glebie⁴⁾.

Powracamy teraz do biografii *Zawiszy Czarnego*. Mówiliśmy że przebywał on szkołę rycerską u Zygmunta Luksemburczyka. Snać szybkie i znakomite musiał postęпки robić w sw^ęm rzemiośle, gdy rychło już począł doznawać niezwykłych względów i łask króla. Wiemy bowiem, że na jego wstawienie się uwolnił był król Zygmunt kilku Polaków, którzy się byli dostali w Węgrzech do więzienia⁵⁾, a te dobrym skutkiem uwieńczone i dla dobra ojczyzny korzystne jego zabiegi dyplomatyczne mogły być powodem, że pozostał odtąd na dłuższy czas na dworze Zygmunta Luksemburczyka.

W roku 1403, gdy Grot ze Słupcy herbu Rawicz i Jan Rogala, Rogalita, za bunty swe i knowania, jako nieprzyjaciele ojczyzny, wygnani zostali z Polski, a Rogalę nadto wojska królewskie pojmały; wybawił ostatniego z kilkoletniego więzienia *Zawisza Czarny* z Garbowa. Uczynił to w charakterze domownika i rycerza króla Zygmunta, a przychyłono się w Polsce do jego prośby t^ęmbardziej, że Zawisza na dworze króla węgierskiego, o ile mógł ku dobru ojczyzny działał. W roku 1408 widzimy go wraz z Domaratem z Kobylan, Janem Warszawskim, Zawiszą z Oleśnicy, Skarbkiem z Góry, z Janem Farurejem z Garbowa i wielu innymi Polakami, jako towarzysza króla Zygmunta w wyprawie na Bośnię. Bośniacy bowiem wypowiedzieli Zygmunutowi posłuszeństwo, a król wnet wkroczył do ich kraju i przy pomocy tych

1) Długosz, XI, 240.

2) Tamże, XI, 430.

3) Tamże, XI, 639.

4) Zobacz o tym Piotrze de Garbow (*dictus Kruczek*) następujące zapiski u Helcla, II, str. 350, 351 etc., nr. 2338, 2340, 2342, 2343. Z zapiszek tych przekonywamy się, że rzezonny Piotr, będąc stryjem synów Zawiszy, musiał być jego bratem rodzonym, o cz^ęm nie wie nawet współczesny prawie Długosz; nadto dowiadujemy się, że Piotr nie miał żadn^ęj familii prócz córki Elżbiety, która poszła za Jakóba z Tassowa; w końcu, że już w roku 1431 Piotr Kruczek nie żył.

5) Długosz X.

dzielnych rycerzy wiele zamków dobył orężem, wielu Bośniaków pokarał za bunty i kraj ich cały zmusił do hołdu i posłuszeństwa ¹⁾).

Zastanawiającą i dziwną prawie jest rzeczą, że u króla Zygmunta, tak wrogiego Polsce, skoro i ta interesa jego krzyżowała, nie tylko powyżej wymienieni rycerze polscy zaciągali się w służbę i wiernie służyli jego sprawom. Prócz nich bowiem byli na dworze i pod sztandarami jego: Tomasz Kalski herbu Róża, Wojciech Malski herbu Natęcz, Dobiesław Puchała z Węgrów, Wieniawita, Janusz Brzozogłowy herbu Grzymała, Jakób z Góry herbu Habdank. Służyli oni atoli tak długo Zygmunтови, jak długo ojczyste sprawy ich obecności w Polsce nie wymagały. Lecz gdy 1410 roku wojna pomiędzy Polską a Krzyżakami była nieuniknioną, a ci rycerze dowiedzieli się, że król Jagiełło zamyślał już o wyprawie; gdy nadto pomiędzy dworem polskim a węgierskim powstały różnice i niechęci, postanowili opuścić króla Zygmunta a udać się do zagrożonej ojczyzny. W tym celu udali się do Zygmunta, aby uzyskać uwolnienie od służby. Zygmunt, któremu tak wielce na bitnym rycerstwie zależało, poczyna ich skłaniać prośbą do porzucenia przedsięwziętego zamiaru, a gdy ta nie skutkowała, chciał ich za pomocą hojnych darów i obietnic zatrzymać przy sobie. Płonne atoli były jego zabiegi. Szlachetni ci rycerze wzgardzili jego łaskami i szczodrými obietnicami, opuścili go i przybyli do Polski, aby za wiarę i ojczyznę pod królem polskim i jego sztandarami, walczyć przeciwko wrogom ojczyzny. Przyjął ich łaskawie hojny król Jagiełło ²⁾ i umiał rzadką ich wierność i miłość ojczyzny należycie wynagrodzić.

Tak więc *Zawisza Czarny*, dotychczas dworzani i domownik Zygmunta, figuruje obecnie na czele rycerstwa śpieszącego do potrzeby Grunwaldzkiej. W wiekopomnej bitwie pod Grunwaldem, zajmuje on jedno z najzaszczytniejszych stanowisk na linii bojowej Polaków. Był on bowiem pod chorągwią ziemi Krakowskiej, zostającą pod dowództwem Zyndrama Maszkowskiego, a z pierwszeństwa i zasług szedł w pierwszym szyku chorągwi ³⁾, która mężstwem i odwagą w dniu onym, imię swe na wieczne czasy na kartach historyi zapisała. Po skończonej wojnie nie rościł sobie, jak wielu innych, względów do nagrody, uważał bowiem za obowiązek rycerza i wiernego syna kraju bezinteresownie służyć ojczystej sprawie. Wiemy bowiem, że hojny król Jagiełło dopiero po 1420 r. wynagrodził zasługi *Zawiszy Czarnego*, jakie położył w ofierze dla Polski.

Po wojnie polsko-krzyżackiej roku 1410 wzbudził oręż zwycięzki Polaków dawną przeciwko nim niechęć Zygmunta; nieporozumienia i niesnaski pomiędzy nim a Jagiełłą wzmogły się do tego stopnia, że ośmieleni tém Węgrzy poczęli napadać na Polskę od swęj granicy. Zygmunt był w duszy Niemcem, w gruncie rzeczy nie sprzyjał Pola-

1) Długosz, X.

2) Tamże XI, 218 etc.

3) Tamże XI, 240.

kom, zwycięstwo grunwaldzkie bolało go tém bardziej, że pokonani byli Niemcy, z którymi w serdecznych był związkach, zwłaszcza że go zasilali funduszami pieniężnymi, których mu nigdy za dużo nie było. Dla zabezpieczenia granic polskich od strony węgierskiej wystął Jagiełło zbrojne straże, lecz te nie pilnując ściśle obrony, najeżdżały węgierskie wsie i miasta i roznosiły po nich łupieztwa i pożogi. Pomiedzy poróżnionych z tych powodów królów wdał się, jako pośrednik, *Zawisza Czarny*, obecnie tak jednego, jak i drugiego króla rycerz i domownik. Tylko jego szczególnój roztropności, jak donosi Długosz ¹⁾, zawdzięczyć należy, iż po częstych i długich przejazdach od Zygmunta do Jagiełły, udało mu się wreszcie pogodzić powaśnione strony. Onto ułożył po wielu namowach i rokowaniach rozejm pomiędzy królem Polski a Zygmuntem, mający trwać od środopocia do św. Marcina 1411 roku.

Po tym rozejmie nastąpiły zjazdy przedugodne, a wreszcie zjazd Jagiełły i Zygmunta w Budzie. Nie wiemy z pewnością, czy istotną sprężyną tego zjazdu był nasz *Zawisza Czarny*, to tylko pewna, że do pogodzenia się królów najwięcej się przyczynił. Nie wchodząc zaś w to, czy dokumentami objęte ugody tych zjazdów wypadły na korzyść Polski czy nie, musimy przyznać, że pośrednictwo Zawiszy szło na sławę i dobro Polski. Wielkość jej tak zaimponowała Węgrom, że gdy król Węgier Zygmunt spadł z konia i zostawał w niebezpieczeństwie o życie, Węgrzy myśleli o elekcji Jagiełły na króla węgierskiego. Zawisza stał na czele rycerstwa polskiego, a tak charakterem, jak i rzemiosłem rycerskiem budził szacunek dla siebie w zagranicznem rycerstwie. Toż gdy po zjeździe Budzińskim nazajutrz po Bożem Ciele 1412 r., wydał król Zygmunt igrzyska dworskie na cześć króla Polski, które uświetniła znaczna liczba książąt, jak Ernest i Albert austriacy, Ludwik Brzegu, Konrad na Oleśnicy i inni również ze Szlązka, Sandal bośniacki i ban Karwen, tudzież posłowie sultana tatarskiego Zeledina; odznaczył się wśród tych turniejów rycerskich znowu nasz *Zawisza Czarny*. W liczbie stu rycerzy, potykających się od rana do wieczora, a będących różnej narodowości, bo Greków, Włochów, Francuzów, Polaków, Węgrów, Albańczyków i t. d., odznaczyli się z Polaków najbardziej *Zawisza Czarny*, brat jego Jan Farurej, Dobek z Oleśnicy, Mszczuj ze Skrzynna i inni. Wystąpili oni pierwsi w szranki, a ostatni zeszedli z pola, a kiedy inni ustawali, oni na nowo podnosili walkę ²⁾.

We dwa lata później widzimy znowu Zawiszę przebywającego u Zygmunta w sprawach dyplomatycznych Jagiełły. Gdy bowiem król polski swe spory z Krzyżakami raczej sądową ugodą aniżeli orężem chciał ukończyć, wystął do Budy Laskarego z Gosławic, doktora prawa kanonicznego Pawła syna Władymira, mistrza Piotra Wolframa i *Zawiszę Czarnego* do króla Zygmunta, zdając się zupełnie na jego

¹⁾ Długosz XI, 312.

²⁾ Tamże XI, 328.

sąd polubowny ¹⁾. Posłowie ci zaopatrzeni hojnie w pieniądze do dalszego popierania sprawy z Krzyżakami, w celu uzyskania wyroku z przedstawionych dowodów. Wyrok ten, jak tuszył sobie Jagiełło i jego doradcy, miał dlań wypaść pomyślnie. Ale i Krzyżacy nie próżnowali i owszem zwykłą dla się w takich razach poszli drogą, a niemogąc prawem, poczęli przekupstwem i złotem popierać swą sprawę. Toż gdy posłowie polscy, w oktawę świąt Wielkanocnych 1414 r., przybyli do Budy i w obecności Jana arcybiskupa strygomskiego i innych panów węgierskich, naznaczonych do rozstrzygnięcia sprawy, przystąpili przed sądem jaknajmocniejsze dowody i obrony, przystąpił arcybiskup do orzeczenia wyroku. Wyrok ten atoli nie wypływał z jego ani z jego współsędziów zdania, ani też nie uwzględniał dowodnych świadectw przedłożonych w téj mierze przez Polaków; był on poprostu z góry, w skutek zleceń i namowy Zygmunta nakreślony. Ten sąd i wyrok Zygmunta zawiódł najpewniejsze nadzieje Jagiełły, bo był, jak mówi Długosz, obszerny w słowach, ale w treści bezzasadny; wyrażał bowiem, aby król Jagiełło przymierza zawartego z Krzyżakami w Borze i warunków w nim zastrzeżonych dochował, a za omieszkanie w wypłacie 100,000 kóp szerokiej groszy, przyjął 40,000 kóp tychże, na którąto wypłatę już z dawna Krzyżacy wyrokiem Zygmunta skazani zostali. Posłowie królewscy a i Polacy przystali mimo to wszystko na wyrok Zygmunta, lecz nie doprowadził on do żadnego celu. Krzyżacy obrali na wielkiego mistrza Pawła Russdorfa, a ten wnet dał powody do nowych napaści na Polskę i do wynikłej ztąd wojny. Zawrzała z całą srogością, a wojska polskie pod Nidborkiem, Hohensteinem i Allensteinem w ziemi Warmińskiej, zajaśniały świetnie zwyciężkim orężem. Oblężono wreszcie Brodnicę, miasto silnie przez Krzyżaków obwarowane; dlaczego też oblężenie pociągnęło się dłużej aniżeli miast poprzednio zdobytych. Tymczasem przybył do króla nuncyusz Jana XXIII, Jan biskup lozański, przysłany na prośby Krzyżaków w celu wstrzymania toczącej się wojny ²⁾. Właśnie podówczas był cały obóz królewski w poruszeniu, bo miano przypuścić ostateczny szturm do miasta i do zamku. Aby temu zapobiedz, pada nuncyusz na kolana przed królem Jagiełłą i jego radą i błaga króla, aby zaprzestał szturm i zawarł rozejm na dwa lata; aby sprawę sporną z Krzyżakami poddał pod wyrok powszechnego soboru, naznaczonego już do Konstancji, a ten bezwątpienia wymierzy mu sprawiedliwość. Z uwagi, że już się zbliżała pora zimowa, a zaraźliwa biegunka szerzyła się po obozie królewskim, przystano na prośbę nuncyusza. Król zawarł dwuletni rozejm i przyrzekł poddać się wyrokowi koncylium konstancyjskiego. Na ten sobór wysłał on dla popierania swój sprawy arcybiskupa gnieźnieńskiego Trąbę Mikołaja, biskupów: włocławskiego, płockie-

¹⁾ Długosz XI, 348.

²⁾ Tamże XI, 358.

go i poznańskiego, nareszcie ze świeckich Jana z Tuliszkowa kasztelana kaliskiego i *Zawiszę Czarnego*.

Nie potrzebujemy się rozwodzić nad tém, w jaki sposób wywiązali się ci posłowie z poruczonego im zadania. Zwróćmy naszą baczną uwagę na inną stronę ich działalności na konsylium konstancyeńskim, z której będziemy mieli sposobność poznać jedną z dodatnich i wielkich zalet charakteru Zawiszy.

Naznaczyć nam z góry wypada, że dzieje cywilizacyi nie znają przykładu, aby rycerz chrześcijański XV wieku w sprawach religijnych większej tolerancji dowody złożył, jak to Zawisza z kolegą swym Tuliszkowskim uczynił. Wiadomo bowiem, że jedną z najważniejszych spraw na tém koncyljum była sprawa Husa. Posądzonego o kacerstwo, wszadzono do ciężkiego więzienia i pozbawiono prawa publicznej na koncyljum obrony. Dola Husa była tém przykrzejszą, że nie miał na koncyljum przyjaciół, a ci którzy mu sprzyjali, obawiali się wystąpić przeciwko całemu zgromadzeniu, ażeby nie byli jako współwinni i heretycy uznani. Mała tylko garstka osładzała mu jego chwile więzienne, a do tych ostatnich zaliczał on kilku panów czeskich i kilku Polaków, ambasadorów króla Jagiełły, pomiędzy którymi był *Zawisza Czarny*. Ci to wiedzeni wyższym nad wiek duchem humanitarności i tolerancji, postanowili wbrew całemu soborowi interweniować w sprawie obwinionego a nieszczęśliwego Husa, rektora niegdyś *Collegium Polonorum* w Pradze. Pierwszy tedy manifest, mówiący przeciwko uwięzieniu Husa, żądający dlań prawa wolnej i publicznej obrony, podpisują prócz zaufanych jego przyjaciół czeskich jak Duba, trzech panowie z Chlumu i polscy panowie Boruta, Dunin, Balicki, a prócz tych i posłowie króla Jagiełły Tuliszkowski i *Zawisza Czarny* z Garbowa ¹⁾. Były ztąd sesye na soborze i zarzuty na Jagiełłę i Polaków czyniono ku ucieście chytrego zakonu krzyżackiego. Lecz i to nie zastraszyło śmiałych interwenientów. Skoro pierwsza próba nie skutkowała, wystąpili z nią po raz drugi ²⁾. A i trzecią razą ³⁾ nie żalowali ci szlachetni trudu, nie lękali się mozolów, nagabywań i narażenia się na złość i zemstę Niemców, aby tylko ich starania pożądanym były uwieńczone skutkiem. Na dniu tedy 1 czerwca 1415 r. wręczyli panowie czescy i polscy deputowanym koncyljum cedulę Husa ⁴⁾, w której tenże objawił chęć bronienia się na poczynione mu zarzuty. A chociaż go na wolność nie wypuszczono, to przecież uwzględniło koncyljum głos czesko-polski, głos czeskich panów i ambasadorów Jagiełły Tuliszkowskiego i Zawiszy, gdyż ogłosiło, że zadość czyniąc prośbom czesko-polskim, zezwala na publiczne przestuchanie Husa.

¹⁾ *Documenta vitam etc. Hus illustrantia*, edidit Fr. Palacky. Relat. Petri Mladenowic p. 256.

²⁾ Tamże, p. 263.

³⁾ Tamże, p. 266.

⁴⁾ Tamże, p. 273.

Przesłuchanie to odbyło się na dniu 5 czerwca wobec zgromadzonego koncylium, lecz nie doprowadziło do pożądanego rezultatu. Pomimo powyżej określonych zabiegów tych szlachetnych mężów, uznano Husa za heretyka, a jako takiego spalono na stosie w dniu 6 lipca 1415 r.

Ten tylko czyn, to tylko działanie *Zawiszy Czarnego*, znane nam jest z pobytu jego w Konstancyi. Nie przeceniamy wcale znaczenia tego czynu, skoro powiemy, że przezeń godzin jest Zawisza wraz ze swymi towarzyszami chwalebne wspomnienia na kartach historii, bo jak już na wstępie powiedzieliśmy, czyn jego jest jedyny w swoim rodzaju w wieku ówczesnym, a przeszedł on niezwykłym umiarkowaniem o wiele powszechnie obyczaje i pojęcia owych czasów. Dlatego to powiada o Zawiszy nasz historyk Długosz ¹⁾, że miał on przedewszystkiem ten rzadki w sobie przymiot, że jak w bitwie najśmielszy zapał, tak w radzie najumiarkowańszą okazywał rozwagę. Prawdziwie najumiarkowańszą, dodamy, bo wyższą nad pojęcia wieku, w którym sam żył.

Działanie Zawiszy w sprawie polsko-krzyżackiej na soborze jest nam nieznanne. Wiadomo nam tylko, że po soborze nie pojechał on wraz z posłami polskimi do ojczyzny, lecz towarzyszył królowi Zygmuntovi w jego podróży. Zygmunt bowiem udał się do Aragonii w celu namówienia papieża Benedykta XIII do zrzeczenia się papieżstwa. Król Ferdynand aragoński bawi podówczas w Perpignano, a przybył tam i Piotr de Luna, zwany Benedyktem XIII. Na przyjęcie sławnego pośrednika i pojednawcy spraw, Zygmunta, wyprawiono w Perpignano wielkie harce rycerskie, na które sproszono najdzielniejsze rycerstwo zachodniej Europy. Najstawniejszym podówczas rycerzem na Zachodzie był Jan z Aragonii. Sława jego rozbrzmiewała po wszech świata stronach, a nie było rycerza, któryby mu sprostał w szrankach. Z tym tedy rycerzem rozpoczął harce rycerskie Zawisza Czarny, i w przytomności królów Zygmunta i Jana, papieża Benedykta i wielu prałatów, doktorów i rycerzy pokonał go w pojedynku ²⁾. Sławny już na Węgrzech i w Polsce pozyskał Zawisza przez to wielki rozgłos i w zachodniej Europie, który towarzyszył mu aż do samej śmierci.

W taki to sposób uświetniał Zawisza dwór Zygmunta Luksemburczyka. Zajaśniał on mężstwem, odwagą i dzielnością rycerską jak drugi Polak Mikataj Trąba arcybiskup gnieźnieński okazałością swego dworu, złotem, srebrem i wielkimi wydatkami. Towarzyszyli oni Zygmuntovi i w dalszej jego, lecz równie bezwocnej jak dotychczas podróży. Zygmunt bowiem który Benedykta XIII do złożenia tyary nie mógł nakłonić, jechał teraz do Paryża, aby pośredniczyć w sporze angielskiego króla Henryka V z francuzkim Karolem VI, pomiędzy którymi toczyła się zażarta i sławna pod owe czasy wojna. I tu niczego

¹⁾ Długosz, XI, 505.

²⁾ Tamże, XI, 383.

nie dokonał Zygmunt, lecz za to, za pośrednictwem Karola króla francuzkiego, udało mu się 1416 roku przedłużyć rozejm pomiędzy Polską i Krzyżakami na dalsze dwa lata. Wyjednał Zygmunt na to potwierdzenie Trąby i Zawiszy, jakoteż Janusza z Tuliszkowa, obecnych, jak wiemy w Paryżu ¹⁾, a rozejm ten uzyskał wkrótce i potwierdzenie króla Jagiełły.

II.

Zastanawialiśmy się jako nad rzeczą trudną do wytłómaczenia, że ów król Zygmunt, który rzadko kiedy przychylnym był dla Polski, a z drugiej strony wiele jej krzywd wyrządził, miał w tak szlachetnych Polakach, jakimi bez wątpienia byli Zawisza Czarny, Janusz Tuliszkowski, arcybiskup Mikołaj Trąba i innych swoich dobrych przyjaciół i gorliwych dworzanów. Nie będziemy się kusić o rozwiązanie tego zagadnienia, nadmienimy tylko, że gdy postowie polscy z koncylium konstancyjskiego pod koniec 1418 r. do Polski przybyli, a król Jagiełło z Gniezna wyjechał do Pobiedzisk, aby ich przywitać i uczcić, nie znalazł pomiędzy nimi Zawiszę Czarnego. Ten bowiem pojechał był z Zygmuntem w dalszą jego podróż ²⁾. Nie widzimy go w Polsce znowu rok cały a okazuje się aż pod sam koniec r. 1419.

Ważne bowiem wypadki w ojczyźnie, nie obeszły się bez obecności Zawiszy Czarnego. Właśnie pod ten czas, bo na początku r. 1420 miał być na sejmie wrocławskim rozwiązany spór Polski z Krzyżakami. Rozjemca sporu Zygmunt, miał wydać ostateczny sąd w całej sprawie.

Otóż na sejm ten wyprawił Jagiełło znowu biskupów swoich i trzech świeckich, pomiędzy nimi i Zawiszę, jako swych postów. Pomimo tak dzielnych rzeczników sprawy polskiej, wyrok wrocławski wypadł dla Polski jak najniepomyślniej. Sprawcą jego był, jak się dorozumieć łatwo, król Zygmunt, podmówiony przez elektorów rzeszy niemieckiej. Postowie duchowni polscy chcą opuścić Wrocław, nieprzyjawszy wyroku Zygmunta, potwierdzonego królewską pieczęcią. Ledwie na trzy dni zdołał ich zatrzymać król Zygmunt. Tylko Tuliszkowski i Zawisza zostali przez cały ciąg sejmu, poczem powrócili do ojczyzny. Zdaje się że po tym sejmie, a w każdym razie przed 1422 r. ³⁾, król Jagiełło, wynagradzając zasługi Zawiszy, dał mu w darze starostwo spiskie z rezydencją w Lubomli.

¹⁾ Długosz, XI, 375.

²⁾ Tamże, XI, 391.

³⁾ Zobacz artykuł Juliana Bartoszewicza w *Encyklopedyi Orgelbranda* t. XXVIII, str. 373. Według *Cara Liber Cancellariae*, II, 80, nr. XXXII, miałby być Zawisza już w 1420 r.: *capitaneus*, gdyż w liście Zawiszy do papieża Marcina V, w którym się wstawia za Janem z Lubina o potwierdzenie go na godności biskupa przemyskiego, a bardzo prawdopodobnie datowanym 1420 r., podpisuje się Zawisza, *Sanctitati V. devotissima creatura: Zauissius*

Po sejmie wrocławskim wybuchnęła z całą siłą rewolucya czeska skierowana przeciwko Zygmunutowi, niemiecczyźnie i ówczesnemu kościołowi. Pierwsze wystąpienie Czechów przeciwko Niemcom cechowało niezwykle szczęście, jak znowu akcją ich przeciwko kościołowi niesłychany fanatyzm. Dola atoli Czechów i rozwój ich rewolucyi wobec wrogich im a zawsze potężnych jeszcze Niemiec, zależały po większej części od ich jedności w działaniu i od stanowiska Polski wobec husytyzmu. Polska z politycznych już względów wroga Zygmunutowi kroowi Czechów, chętnie patrzyła na szczęśliwy oręż czeski, zwrócony przeciwko wspólnemu obu narodów wrogowi. Tém bardziej rozbudzał się i tak już pokrewny Czechom duch narodowy Polaków, który przypominając wspólność „języka“ obu narodowości, wspólność instytucyi państwowych, wspólnych posiadanie wrogów w Niemczech, nakazywał szczęśliwszej i potężniejszej Polsce podać dłoń pomocną uciśnionemu przez Niemców a pokrewnemu narodowi. I byłoby to niezawodnie przyszło do skutku, gdyby nie okoliczność, że husytyzm oprócz pierwiastku narodowego skierowanego przeciwko Niemcom, żywił pierwiastek religijny zwrócony z surowym fanatyzmem przeciwko kościołowi katolickiemu. Z tego to powodu, Polska, która dopiero co misją cywilizacyjną w imieniu tegoż kościoła na Litwie prowadzić poczęta, obawiała się narażać na niebezpieczeństwo i z tego powodu tylko w cichości podawała dłoń Czechom, obiecując ich jawnie popierać, gdyby się wyrzekli „błędów heretyckich, które zawieruszyły ich kraj, i sławne niegdyś ich królestwo naraziły na groźne niebezpieczeństwo.“ Pertraktacye pomiędzy Polską a Czechami o objęcie tronu i korony czeskiej przez Jagiełłę trwały przeto cały rok 1420 i następny 1421. Przy końcu 1421 r. obiecał Jagiełło Czechom, że gdy porzucą nauki, które kościół potępia, on będzie się starał skłonić Zygmunta do zrzeczenia się praw do korony czeskiej, że w tym celu do stolicy apostolskiej apelować będzie, a chociażby Zygmunt nie był skłonny do odstąpienia praw swych do korony czeskiej, on pomimo to, dla dobra wiary i pokoju nie będzie się wahał przyjąć sam rządu czeskie. W tym celu wysłał Jagiełło poselstwo do Zygmunta, które przybyło 17 września do Tyrnawy; skutku jednakowoż nie osiągnęło, gdyż Zygmunt zaprojektował poselstwu plany, które na chwilę mogły i najgłębszym politykom pozawracać głowy. Obowiązując się o Polskę, która mogła być Czechom bardzo pomocną, w śmiertelnej trwodze o czeską koronę, którą mu mógł Jagiełło zdjąć z głowy, obiecuje on postom ożenić króla Jagiełłę z Ofką królową czeską a wdową po bracie swym

Niger capitaneus. W mało znanych zapiskach u Helcla, II, nr. 1668, 1672, 1694, a wreszcie 2121 z lat 1419, 1420 i 1427 zwanym jest wszędy *Zauissius Czarny de Garbow*; dopiero po jego śmierci wspominają go zapiski z tytułem: *Magnificus olim Zauissius Niger de Garbow*: obacz zapiskę nr. 2340 i inne późniejsze. U Długosza zwany on *miles Polonus*, dopiero pod koniec 1422 r. występuje on u naszego historyka z tytułem starosty spiskiego (XI, 466).

Wacławie królu czeskim, przyrzekając dać jej w posagu Szlązk i 100,000 czerwonych złotych.

Równocześnie gdy to poselstwo polskie u Zygmunta przebywało, pojmał Jan książę Raciborski inne poselstwo czesko-polskie, spieszące z Pragi do króla Jagiełły, które miało na celu zawrzeć ostateczny układ z Jagiełłą o koronę czeską. Pomimo groźb ze strony Jagiełły i Witolda odstawił książę Raciborski pojmanyh Zygmunta. Skutki więc poselstwa polskiego w Tyrnawie zniweczył odrazu wypadek raciborski a król Zygmunt począł wnet podburzać Krzyżaków do napadu na Polskę. Król Jagiełło widzi się tedy w konieczności, wysłać najlepszego swego dyplomatę dla zapobieżenia łatwo ztąd wyniknąć mogącym skutkom. Dyplomatą tym był Zawisza Czarny ¹⁾.

Skoro Zawisza do Zygmunta przybył, zastał go zaprzątzonego około wielkiej wyprawy na Czechów. Otrzymuje tedy od Zygmunta odpowiedź, że załatwienie całego układu o małżeństwo Jagiełły z Ofką królową Czech odkłada aż do powrotu swego z wyprawy.

Za hańbę byłby sobie poczytał Zawisza, jak nam opowiada Długosz ²⁾, aby miał opuszczać Zygmunta w czasie wojny. Pośpieszył z nim do Czech. Wiemy nawet, że Zygmunt chętnie skorzystał, jak to zresztą zwykł był czynić, z rycerskich usług Zawiszy. Dowiedziawszy się bowiem, że Prażanie na wieść o jego zbliżaniu się, połączyli się ze sławnym już podówczas wodzem taborytów Żyżką, wysłał Zygmunt do Prażan Zawiszę ³⁾, zapewne w chęci rozdwojenia połączonych z sobą a dwu wrogich obozów. Dyplomacya Zawiszy nie skutkowała w Pradze, a pod Kutną-horą pamiętnego dnia 6 stycznia 1422 r. poszła w sromotną rozsypkę stutysięczna armia Zygmunta. Zygmunt jak się słusznie domyślamy uciekł, i oparł się o Niemiecki Bród, a gdy i tam Czesi go ścigać poczęli, pozostawił niedobitki swe pod wodzą dzielnego Zawiszy i walecznego Pipona, a tak zasłoniwszy sobie ucieczkę, umknął do Węgier.

Z charakterem i godnością Zawiszy nie zgadzała się żadną miarą haniebna ucieczka; a chociaż jako poseł w sprawach polskich, nie potrzebował się narażać na jawne niebezpieczeństwo, pozostał jednakowoż w Niemieckim Brodzie aby bronić wiernych wodzów Zygmunta i wierniejszych jeszcze obywateli miasta, jak na dzielnego rycerza przystało. To też wraz z kilku towarzyszami Polakami, dostał się do niewoli w ciężkie okowy zwyciężkich Czechów, a kroniki czeskie, chociaż skąpe w zapiski z lat owych, wzmiankują, że bardzo znakomity rycerz, Polak, imieniem Zawisza, który był kasztelanem (był on starostą), pojmany został do niewoli w Brodzie i wysłany na zamek pragski ⁴⁾.

¹⁾ Długosz, XI, 443.

²⁾ Tamże, 444.

³⁾ Palacky, *Geschichte von Böhmen* III, 2, 271. Uwaga 233.

⁴⁾ *Chronicon veteris Collegiati Pragensis* u Höflera. I, 86. *Stari litopisowe Čestji*, Długosz, XI, 445.

Nie wiemy jak długo Zawisza Czarny w więzieniu pragskim zostawał, to wiemy tylko na pewno, iż gdy Polska urzeczywistniła swój zamiar zażegnania rewolucyi czeskiej w spokoju, bez wmieszania się Niemców, i w tym celu Jagiełło Korybuta około Wielkanocy 1422 r. do Pragi wysłał, naówczas uwolniony z więzienia Zawisza powrócił do Polski, co się w każdym razie dopiero w połowie 1422 r. stać mogło. Uwzięnie jego było na rękę tej wielkiej partyi w Polsce, która nie życzyła sobie, aby wchodzić w alians z Zygmuntem i takim sposobem korzystać z Czechów, lecz ażeby usunąwszy Zygmunta, z Czechami otwarcie działać, „ku połączeniu się wzajemnemu obu narodów jednego języka i jednej mowy słowiańskiej.” Klęska Zygmunta pod Kutnąhorą i uwzięnie Zawiszy pod Brodem, przyspieszyły wysłanie Korybuta do Czech.

Już wkrótce po tych wypadkach okazało się, że nie napróżno wielkie stronnictwo w Polsce odrzucało układy z Zygmuntem, że nie bez potrzeby, jak mówi Długosz, „cieszył się Witold z uwzięnia Zawiszy”¹⁾. Wnet bowiem po wysłaniu Korybuta do Czech, napadli podżegnięci przez Zygmunta Krzyżacy na Polskę, i rozpoczęła się nieszczęśliwa dla zakonu wojna, zakończona przeciw korzystnym dla nich pokojem mielneńskim dnia 27 września 1422 roku.

Podczas tych wojennych wypadków, jakie się pomiędzy Polską a Krzyżakami toczyły, zachwiała się sprawa Korybuta w Czechach. Pomimo zapału z jakim go przyjęto w Pradze, pomimo wrodzonego sprytu i energiczności tego księcia, sprawa jego upadała coraz bardziej, a to tak z powodu różnic i walk stronnictw w samych Czechach, jakoteż zracy, że nie będąc geniuszem, nie mógł sprostać olbrzymiemu zadaniu pogodzenia Czechów pomiędzy sobą i z Kościołem.

Chociaż jednak sprawa Korybuta w Czechach upadła, a król Jagiełło zatrudniony wojną krzyżacką, mógł ją tylko słowem poprzeć, przeciw nie dozwoliła niemiecczyzna Polsce używać wczasu i po pokoju mielneńskim. Krzyżacy na rozkaz Zygmunta niewypełniając warunków pokoju, okazali gotowość do wojny a i od strony Węgier burza się zbierała. Aby tę zażegnać, wysłał król polski do magnatów węgierskich swoich posłów, arcybiskupa Mikołaja Trąbę, biskupa Jastrzębca, wojewodów krakowskiego i sandomirskiego, marszałka królestwa Zbigniewa z Brzezia, a pomiędzy nimi i Zawiszę Czarnego, starostę spiskiego²⁾. W groźnych bowiem i stanowczych chwilach, zwykli się byli magnaci polscy zapewniać ze strony przyjaznych im węgierskich panów a tak często podburzanych przez Zygmunta. W połowie tedy listopada 1422 roku, śpieszą wysłani od króla posłowie, aby utwierdzić pokój z Węgrami, ale jak powiada Długosz, w nieobecności królów, trudne były narady. Zjazd w Lubiczu spełzył więc na niczem, uchwalono tylko osobisty zjazd obu królów, mający się odbyć w śródpoście przyszłego roku w Czorsztynie i Starój Wsi na grani-

¹⁾ Długosz, XI, 446.

²⁾ Tamże, XI, 466.

cach obu królestw. Stałego i wiecznego, jak go podówczas zwano, pokoju nie utwierdzono, a przeszkodą ku temu był nie kto inny, jak zawisty od niemieckiego elektorstwa Zygmunt.

Właśnie bowiem pod ten czas opracowywali ¹⁾ główni wrogowie polscy, plan rozbioru Polski, w który wciągnięto Niemczytch a niechętnych jej książąt szlązkich, Krzyżaków a wreszcie i panów węgierskich. Znając nieprzyjazny ówczesny stosunek Niemiec do Polski, a nadto charakter stynnego projektowicza cesarza Zygmunta, niepodobna mu odmówić autorstwa projektu rozbioru Polski, jaki miano w 1423 roku skutecznie, chociaż współtwórcy tego planu, rekrutowali się po największej części z elektorów niemieckich i wrogich Polsce książąt. W celu zniweczenia planów Polski, podjętych względem Czechów, umyślono z północy, zachodu i południa napaść na nią nieuzbrojoną, a Krzyżacy, Niemcy, książęta szlacy i Węgrzy, mieli się po szczęśliwej jak sądzono wojnie podzielić ziemiami Polski, „a co po niej pozostanie, o tém zadecyduje sąd wspólny z rozbiorców składać się mający.” Być może że Zawisza, jako starosta spiski, dowiedział się o tym haniebnym planie Zygmunta przez któregoś z węgierskich a zaprzyjaźnionych z nim panów; dość że prawie równocześnie gdy projekt rozbiorowy podówczas w Preszburgu rozbiegano, wiedział już o tój tajemnicy król Jagiełło i wielki książę Witold. Rzecz ta niespodziana mogła zatrwożyć obu władców, jednakowoż nie do tego stopnia, żeby mieli stracić potrzebną w takim razie przytomność umysłu i zmysłu dyplomatycznego. Witold również orędem zamierzył odeprzeć skrytobójczy zamach Zygmunta i gdy ten wciągnął Zachód w alians przeciwko Polsce i Litwie, rozgłosił wnet Witold po Krzyżakach, że wezwał on cały Wschód do wojny przeciwko zakonowi. Straszna rozesała się pogłoska, że carowie tatarscy, hołdownicy Witolda ruscy i turecy a nawet sułtan turecki na czele nieprzeliczonych hord i wojsk pociągną na łupy i spustoszenie ziem krzyżackich. Musiał nadto Witold i naprawdę poczynić jakoweś kroki z hołdowniczymi książętami Wschodu; a dla większego zatrwożenia umysłów krzyżackich, począł sam się zbroić do wojny, która „niewiedzieć przeciwko komu zmierzała,” jak donosi agent krzyżacki Wielkiemu mistrzowi. Struchlał tedy zakon a z nim i socyusze rozbioru Polski. Węgrzy pierwsi oświadczyli Zygmuntowi, że oni bądź co bądź, nie życzą sobie ginąć w interesie spraw zakonu, ani téż chcą prowadzić wspólnej wojny przeciwko Polsce. To samo zrobili i inni alianci podziałowi.

Wobec takiój zmiany rzeczy, poczyna Zygmunt uprzejme wobec Polski pokazywać oblicze, jak gdyby o projekcie rozbioru Polski na-

¹⁾ Ustęp ten wyjęty jest z większego mojego studyum historycznego p. t.: *Polska a Czechy w czasach husyckich* i t. d., dotychczas jeszoze spoczywającego w manuskrypcie, ale wkrótce już mającego być ogłoszonym drukiem. Wobec tego, zdaje mi się zbytecznym, tu na tém miejscu obciążać tekst uwagami. (Drukowano to studyum w oczęści, w tomie VII *Rozpraw i sprawozdań z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Ak. Umiejęt.* P. R. B. W.).

wet wcale nie wiedział. Uczynił to tém rychlój, że sprawa Korybuta w Czechach całkowicie już upadła, że przeto główny powód do niechęci jego i do zemsty na Polsce tymczasem zniknął. Gdy nadto umówiony w Lubiczu pomiędzy postami polskimi a węgierskimi termin zjazdu obu królów się zbliżał, widzimy Zawiszę Czarnego nieustannie się krzątającego około przywiedzenia tegoż do skutku ¹⁾, ku czemu Zygmunt wcale nie dwuznacznie się skłaniał. Osobiste i publiczne urazy wymówili sobie obaj królowie publicznie, a gdy się wzajemnie o nich naradzono, znowu prałaci i panowie obu królestw swoim zręcznym wpływem uchylili i utagodzili wszelkie niechęci, spory i różnice obu królów ²⁾. Wkrótce po tém upewniono ten sojusz piśmiennie, na zjeździe obu królów w Kezmarku, gdzie nie brakło jednego z głównych działaczy pojednania—Zawiszy.

W następnym roku 1424 odbyła się w Krakowie wspaniała koronacya królowej Zofii, matki Jagiellonów, zwanój Sonką, księżniczki Holszańskiej. Na uroczystość tę zaprosił Jagiełło króla Eryka duńskiego, wielu zagranicznych książąt i panów, kardynała Brandę, a do króla Zygmunta, celem zaproszenia go na uroczystość koronacyjną, wysłał Zawiszę Czarnego ³⁾. Jednakowoż nie ufał król Zygmunt zaproszeniu Jagiełły, gdyż ten pomimo odwołania Korybuta z Czech okazywał się Czechom przyjaznym, i dlatego długo kazał Jagielle czekać na swój przyjazd, a potem zażądał znakomitych zakładników i listów ochronnych. Czyniąc zadość jego żądaniu, wysłał doń Jagiełło króla Eryka, Zbigniewa Oleśnickiego biskupa krakowskiego i marszałka królestwa Zbigniewa z Brzezia. Zawstydzony tém Zygmunt, zapewnił dostojnych postów i zakładników, że ich usług przyjąć nie może, że wierzy w dobre chęci Jagiełły i że przeto bez rękojmi bezpieczeństwa pojedzie do Krakowa. Wjazd obu królów odbył się wspaniale wobec dostojników Polski i książąt, którzy z najedlejszych stron przybyli na uroczystość koronacyi.

Otóż przy téjto uroczystości, po uczcie wyprawionój z wielką wytwornością i przepychem, po tańcach i po harcach rycerskich, zaprosił w sobotę przed pierwszą niedzielą postu, Zawisza Czarny wszystkich trzech królów, nadto wszystkich książąt i panów, całe duchowieństwo z kardynałem Brandą do siebie na obiad, który, „jak drugi Wierzynek” wyprawił w domu bogatego Czecha przy ulicy ś. Jana, na cześć dostojnych biesiadników. Długosz opowiada o téj uczcie ⁴⁾, że Zawisza rycerz, w chrześcijaństwie podówczas niemający sobie równego, zaproszonych gości wspaniałą uczcił biesiadą. I rzeczywiście, sława jego musiała być nie małą, gdy królowie rzymski, polski i duński,

¹⁾ Porównaj list panów polskich do króla Jagiełły w *Liber Cancellariae* Caro II, CXXIII, p. 196 i poprzedzający.

²⁾ Długosz, XI, 470.

³⁾ Tamże, XI, 473.

⁴⁾ Tamże, XI, 476.

jako i kardynał Branda nie odmówili mu zaszczytu uczestniczenia tej uczcie. Podówczas z podziwem przypatrywali się obcy książęta przepychowi polskiemu i mawiali „że o wielu rzeczach polskich z podziwieniem słyszeli, ale daleko więcej dowiedzieli się własnymi oczyma.”

O współczesnych dyplomatycznych czynnościach Zawiszy Czarnego niemożemy szczegółowego zdać sprawozdania; wiemy tylko, że był czynny w sprawach zjazdu wiedeńskiego, który umyślił był Zygmunt pod koniec 1423 roku złożyć. Gdy zjazd ten nie przyszedł do skutku, nazaczył Zygmunt inny termin na św. Katarzynę przyszłego roku, wraz z wielkim księciem Witoldem, który przeciwko Zygmuntowi wielką pałał niechęcią. Sprawę układu o ten zjazd powierzył Zygmunt Zawiszy Czarnemu ¹⁾; domyślać się możemy, że Zawisza z całą gorliwością zajął się powierzoną mu sprawą, aby tylko pomiędzy rozgniewanymi na się przyszło do zobopólnego porozumienia. I ten atoli zjazd z Witoldem odłożono na późniejsze czasy, a jak wiemy, przyszedł on do skutku aż po śmierci Zawiszy. Zjazd bowiem 1424 r. w Wiedniu odbyć się mający, przeszkodził dojściu do skutku zamiaru Zygmunta i zniweczył przez to zabiegi Zawiszy ²⁾. Władcy Polski i Litwy wysłali do Wiednia tylko swych posłów.

I znowu nie widzimy Zawiszy Czarnego przez kilka lat. Raz tylko znajdujemy go jako posła w sprawach czeskich, lecz nie wiadomo z jakim skutkiem działającego. Po raz drugi, już roku 1426 widzimy go w sprawie więcej prywatnej w stosunkach listownych z Witoldem. Gdy bowiem w tym czasie obiór biskupa poznańskiego przeciwko Stanisławowi Ciołkowi wypadł, prosił Zawisza (?) wielkiego księcia Litwy ³⁾, aby pomimo to przy swoim postanowieniu pozostał, t. j. aby trwał w zamiarze wyniesienia Ciołka na tę godność. Z formy listu wnosiby wypadało, że Zawisza pod ten czas w ściślejszych z Witoldem zostawał stosunkach; te atoli, z braku źródeł, nie są nam znane.

¹⁾ *Liber Cancellariae*, I, 102, nr. LVIII. List Zygmunta cesarza do Witolda.

²⁾ Służą za poparcie tego sposobu, jak rzecz przedstawiamy, następane słowa Zygmunta w powyższej cytowanym liście: „Insuper prout commisimus prefato Zavissio cum dileccione vestra super convencione mutua conferendum, noscat vestra dileccio, quod eandem pro hac vice propter terminum cum electoribus et aliis principibus Alemanie in Wiennam super festo sancte Catherine ut premittitur convenire non possumus.

³⁾ *Liber Cancellariae*, I, 176—177 nr. XCLIII. List Zawiszy do Witolda. Czy ów Zawisza jest atoli Zawiszą Czarnym z Garbowa, wątpięby wypadało wobec słów listu: *Stanislaus Czolek... frater meus amicalis germanus*. Z drugiej znowu strony datowany jest list *in Rozno* (zapewne Roznow), a jak wiemy z Helcla, był Zawisza *haeres de Roznow*. Zobacz u Helcla: *Starodawne prawa polskiego pomniki*, zapiska ur. 2054, 2087, 2825.

Koniec życia swego poświęcił Zawisza Czarny znowu sprawom rycerstwa chrześcijańskiego. Widzieliśmy na początku jego rycerskiego działania, jak pomagał Zygmuntovi, wraz z innymi rodakami walcząc przeciwko zbuntowanemu Bośniakom. Teraz jest r. 1428, a Zygmunt znowu zebrał wielkie wojska, aby zająć zamek Gołubiec, leżący nad Dunajem, który sprzymierzeni z Turkami Bośniacy opanowali. Toż gdy Zygmunt począł oblegać zamek, a Turcy wnet na odsiecz pośpieszyli, nie mógł się ze swym wojskiem oblężniczkiem długo trzymać. Strwożony wobec nadciągających już Turków, miał według relacji Długosza, odstąpić od oblężenia i cofnąć się z większą częścią wojska za Dunaj ¹⁾. Mniejsza część odwodowego wojska pozostała, według tej relacji, pod twierdzą, a to z przyczyny małej ilości statków. Pomiedzy tymi na zgubę pozostawionymi wojownikami, znalazł się i Zawisza. Podług relacji o tym wypadku samego Zygmunta ²⁾, miał on widząc przemożną siłę nadciągających wojsk tureckich, zawrzeć z nimi trzyletni pokój. Po zawarciu pokoju, odstępował Zygmunt z większą częścią wojska od oblężenia i przepływał Dunaj; mniejsza zaś część wojska pozostaje podczas tego na drugim brzegu Dunaju. Natenczas to mieli, według relacji Zygmunta, sfanatyzowani Turcy, niezważając na zawarty pokój, a widząc małą tylko garstkę rycerzy, napaść na nich zdradziecko, jednych zabijać, a drugich wziąć do niewoli. W tej to garstce nieszczęśliwych walecznych był i nasz Zawisza Czarny. Długosz opowiada, że troskliwy o Zawiszę król Zygmunt, jako o męża rzadkiej odwagi i dzielności, wysłał poń łódkę z rozkazem, aby wsiadł do niej i tym sposobem uszedł przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Ale Zawisza, jako mąż przestrzegający gorliwie swój sławy, uważał to za rzecz niegodną, aby miał odstępować towarzyszy swoim w tak groźnej chwili; przeto wołał on wraz z nimi poddać się niebezpieczeństwu. W błyszczącej zbroi, na koniu, dużego wzrostu, dwu tylko pachołków mając przy sobie, rzucił się Zawisza z kopią podniesioną przeciwko zdradzieckim Turkom. Obskoczony zewsząd od czerni, która go wzięła za króla lub jakiego księcia dla zbroi świecącej i połowy czarnego orła, którego miał w herbie na rycerskim płaszczu, okrywającym zbroję, dostał się Zawisza do niewoli. A gdy mu z głowy zdjęto szyszak i jako jeńca prowadzono do sułtana Turków Amurata, powstał spór pomiędzy tureckimi żołnierzami, któregooby był jeńcem. Ci więc wydzierają go sobie nawzajem, domyślając się w nim godności królewskiej. Gdy zaś starszy z żołnierzy nie mógł sprostać mocniejszemu, dobywszy kindżała, uciął głowę Zawiszy.

W taki to sposób zginął, wedle relacji Długosza, mąż znakomity, rycerz, który w wieku swoim nie miał sobie równego... i życia nędznie dokonał.

¹⁾ Długosz, XI, 505.

²⁾ *Liber Cancellariae*, I, 209, 210, nr. CXXI. List Zygmunta do Witolda. Datowany *Ravini in festo beatorum Petri et Pauli apostolorum anno XXVIII*.

Téj atoli relacyi Długosza o śmierci Zawiszy, a zwłaszcza o okolicznościach towarzyszących jéj, jak je nam Długosz podaje, sprzeciwia się węgierski historyk Catona ¹⁾. Twierdzi on bowiem, że Zygmunt przemocą wyparty za Dunaj, nie mógł w chwili tak groźnej wysłać łódkę po Zawiszę. Téj poprawce Catony sprzeciwia się ta okoliczność, że Zygmunt, jak sam pisze, nie przemocą wyparty został, lecz owszem zawarł rozejm z Turkami na trzy lata. Jednakowoż bardzo łatwo być może, że gdy mimo to Turcy napadli na odwodową część wojska, Zygmunt nie miał nawet czasu posyłać podtenczas łódkę po Zawiszę. Bądź cobądź, czy Zygmunt rzeczywiście strwożony, jak to chce mieć Długosz, odstąpił od oblężenia, czy zmuszony do tego, jak twierdzi Catona, cała Polska poczytywała mu śmierć Zawiszy za winę; a rzeczą jest pewną, że od tego czasu zupełnie utracił Zygmunt przyjaźń Polski. Zygmunt śnać przeczuwał wrażenie, jakie zrobi na Polakach śmierć ich bohatera, przeczuwał i ogromną niechęć, jaką właśnie z tego powodu oni żywić ku niemu będą; dlatego téż wnet po tym smutnym wypadku, pisze on o nim w liście do Witołda. Opowiada w tym liście niejako na swe usprawiedliwienie, iż Zawisza tylko przez wiarołomstwo Turków postradał życie, że atoli jeszcze dotychczas nie wie, czy Turcy Zawiszę do niewoli wzięli, czy téż, jak niosą inne wieści, zabili. „Bóg tylko jeden wie—mówi król Zygmunt—jak bolejemy w najgłębszym smutku nad tém nieszczęściem, a to tém bardziej, ile że rycerstwo straciło w Zawiszy najrzęczniejszego i najobrotniejszego towarzysza i wodza. Jak się to wszystko stało, opowie Ci książę poseł nasz Henryk, któremu jak najdokładniej opowiedzieliśmy przebieg téj sprawy; on był wreszcie świadkiem tego nieszczęśliwego wypadku... Że atoli Zawisza, jak to zresztą całemu światu wiadomo, najdzielniejszym był rycerzem, najdoświadczeńszym wojownikiem i wielkim dyplomata, a wiarę i przywiązanie serdeczne ku Nam zawsze okazywał; że wiele pomiędzy Nami a Tobą, książę, dobrego uczynił, co się zresztą z dzieł jego ukazuje, domagają się jego znakomite czyny, ażeby zmarły ojciec w synach swych ożył i w swoim potomstwie; to téż przez łask i dobrodziejstw odwzajemnienie niech mu będzie daną sposobność wynagrodzenia. Dlatego téż żonę i dzieci jego bierzemy pod naszą protekcyą i w gorliwą opiekę, o ile to w mocy naszej będzie. Prosimy i Ciebie W. Książę, abyś z Twój strony, bacząc na prośbę naszą i na zasługi Zawiszy, dzieciom jego użyczył łask Twoich dowody, według potrzeb i jak tego okoliczności wymagać będą. Tą rzeczą okażesz nam, Wielki Książę, dowód Twojój ku nam miłości.“

Tém pismem przygotował już poniekąd król Zygmunt przez Witołda Jagiełkę i Polaków na smutną wiadomość o Zawiszy. Zygmunt, który z początku listu zdaje się sam nie wiedzieć o życiu lub śmierci

¹⁾ Catona: *Historia Critica*, tom XII, p. 499, porównaj list na str. 501 i 502 z powyżéj cytowanym listem Zygmunta do Witołda, a znajdującym się w *Liber Cancellariae*, I, nr. CXXI.

jego, wstawia się w drugiej połowie za rodziną poległego w boju wielkiego dyplomaty, najśmielszego rycerza i doświadczonego wodza.

Wiadomość o śmierci Zawiszy lotem błyskawicy obiegła Polskę i Europę. Pozostał nam list sławnego później polityka Kaspara Schlika do radnych miasta Frankfurtu, opowiadający o śmierci „zaczego Zawiszy“¹⁾. Dotknęła ona całe rycerstwo chrześcijańskie, dlatego też ubolewano nad nią wszędy, a król Zygmunt zwykł był mawiać, zapewne stosując to do siebie: „że wielu królów zgon nie będzie tak głośnym, jak zgon Zawiszy Czarnego.“ Długosz opowiada, że znaczna liczba rycerzy poległa pod Gołubcem, atoli żaden z poległych nie przewyższał Zawiszy szlachetnością i dzielnością bohaterską. Nietylko w tej bitwie, w której zginął, ale we wszystkich wyprawach okazywał się rycerzem dzielnym i znakomitym; słynął przeto po świecie z odwagi i wielkich czynów, w których nikt mu nie wyrównał. Dalej opowiada o nim nasz historyk, że był w mowie słodki i uprzejmy, tak że nietylko ludzi szlachetnych i zacnych, ale i barbarzyńców nawet zniewalał swą uprzejmością. Słowa te, zdaje się, stosuje nasz historyk do stosunków dyplomatycznych Zawiszy z husyckimi Czechami, które, jak już powyżej zauważyliśmy, nie są nam znane. Z wielką prostotą serca mówi Długosz: „że Zawisza Czarny nie jego słabych i bezbarwnych, ale Homera samego godzien jest pochwał.“ Dalej: „że z wielkimi darami umysłu łączył on biegłość w sztuce wojennej, której jużto przez wrodzoną nabył zdolność, jużto przez wprawę i ćwiczenie, służąc wojskowo w różnych krajach. Samo szczęście—mówi on—nastąpiło mu, jak mniemam, sposobność tém większego zalecania i wstawiania swojej odwagi, aby podejmując śmierć tak chwalebną, zajaśniał nią raczej niż zginął. Życie było dlań największą niedolą, zgon ubłogosławieniem i szczęśliwością.“

Tyle Długosza o charakterystyce Zawiszy Czarnego. My dodamy, że był prototypem tej wielkiej liczby rycerskich mężów w Polsce, którzy czynni za życia, nie ubiegali się o próżne zaszczyty i majątki, lecz narażając życie w imię ojczyzny i zagrożonego chrześcijaństwa, składali je w ofierze wielkim tym ideom Polski.

Cała Polska pocięta za winę Zygmunтови, że podczas jego wyprawy pod Gołubiec poległ jej najwierniejszy syn i wielki bohater. Wkrótce po śmierci Zawiszy urosło przysłowie: „na nim ci jako na Zawiszy,“ „polegaj jako na Zawiszy.“ Stanisław Orzechowski tłumaczy to przysłowie w ten sposób. Mówi on: że przez mężstwo Zawiszy przypowieść się polska stała, gdy kto w rozpaczy ma w kim ostatnią nadzieję tak mówi: na nim ci jako na Zawiszy; to jest, jeśli Zawiszy niema, padłem.“ Zdaje mi się że to tłumaczenie Orzechowskiego nie koniecznie jest dobre, bo nie uwzględnia genezy historycznej tego przysłowia. Najniezawodniej powstało po śmierci Zawiszy, naten-

¹⁾ Aschbach: *Gesch. Kaiser Sigmund.*, III, Beilage XII. Jansena *Frank. Reichskorrespondenz*, pod rokiem 1428.

czas skoro się w Polsce dowiedziano, iż król Zygmunt odstąpiwszy nagle od oblężenia Gołubca, uciekł sromotnie, a przez to naraził walecznego Zawiszę, który pod twierdzą z drużyną swą i częścią wojska pozostał wystawiony na jawne niebezpieczeństwo. Długosz mówi, że Zawisza wysłanej poń łódki przez Zygmunta nie przyjął, uważając to za rzecz niegodną odstępywać w groźnej chwili swych towarzyszków niebezpieczeństwa. Otóż prawdopodobniej, ściaga się przysłowie o Zawiszy do wersyi faktu, jaką nam przechował Długosz, a mianowicie do szczegółu, według którego ma Zawisza odpychać użyczoną mu pomoc Zygmunta, aby nie odstąpić swych towarzyszy w groźnej ze wszech miar chwili. Ci przeto towarzysze z pewnością polegać mogli i *polegali na Zawiszy*. Gdy więc w potocznej mowie naszej, traktuje się o mającym się przedsiębrać ważniejszym działaniu, a kto chce upewnić kogoś innego, że osoba której akcją powierzono, mimo niebezpieczeństwa jakie się nasuwają święcie ją wykona, mówi o téj osobie: *na nim ci jako na Zawiszy*, lub innymi słowami: „polegaj na nim jako na Zawiszy.

Długosz opowiada o żonie Zawiszy ¹⁾ że zwała się Barbarą a była bratanicą Piotra Wysza biskupa krakowskiego, który r. 1413 przez intrygi Jastrzębca został przeniesiony na biskupstwo poznańskie. O téj Barbarze mówi nasz historyk, że była kobietą rzadkich przymiotów, że wydała na świat kilku synów i że cnotami swemi dopełniła miarę pomyślności Zawiszy Czarnego.

Dwu tylko wymienia synów Zawiszy, Marcina i Stanisława, „synów sławnej pamięci Zawiszy Czarnego,“ którzy polegli pod Warną ²⁾. O rok wcześniej to jest 1443 r. miał być Stanisław z Pleszowa herbu Sulima, według Długosza, jednym z 12 rycerzy polskich, którzy po zwycięztwie Władysława nad Turkami, herb swój zawiesili w kościele N. P. Maryi w Budzie.

Nadarza nam się sposobność poznania bliżej rodziny i majątności Zawiszy Czarnego a zawdzięczamy to nieocenionym, lecz niestety nie zaopatrzonym w „Spis imion osób i miejscowości“ *Starodawnym pomnikom prawa polskiego*, znakomitego a przedwcześnie zgasłego Helcla.

Otóż w zapiskach sądowych grodu krakowskiego z r. 1425, d. 23 lutego znajduje się sprawa, jakim sposobem nabył Zawisza Czarny wielką majątność Rożnów składającą się z dziesięciu miejscowości. Na dniu tym zastawił Piotr Kurowski krewniak arcybiskupa gnicznieńskiego Mikołaja, majątek ten po bogatym stryju otrzymany, Zawiszy Czarne-
mu staroście lubomlskiemu za 800 grzywien szerokiach groszy. Zastaw miał trwać do Bożego Narodzenia, a jeżeli w tym czasie rzeczony Piotr Kurowski nie mógł zwrócić Zawiszy pożyczone pieniądze, natenczas miał tenże Piotrowi jeszcze 200 grzywien wyliczyć a połowa zamku i majątności Rożnowa z przyległościami do niego już należała.

¹⁾ Długosz, XI, 505.

²⁾ Tamże, XII, 810.

Termin wkrótce napłynął; na 27 grudnia tegoż roku orzekł Piotr Kurowski sądownie, że jest gotów umówionych 200 grzywien za połowę majątności Rożnowa z przyległościami wziąć od Zawiszy, o czém doniósł Zawiszy z jego strony wysłany następca, który miał zlecenie pożyczonych 800 grzywien odebrać. Na dniu tedy 26 marca 1426 r., uczynił Zawisza Czarny zadość umówionej sądownie ugodzie, i doręczył Piotrowi Kurowskiemu 200 grzywien, za co kupił z wszelkiemi prawami połowę zamku i majątności Rożnowa z wsiami Zalesie, Radniowicze (Radownicze), część Zagołoszczy (Zalegoszczy), Jedlnę, Gorawę, Posadowę, Glinnik, Bartkową i Przedanicę¹⁾. Nadto i drugą połowę zamku i majątności Rożnowa, którą miał w zastawie u brata swego Rafała, odstąpił Piotr Kurowski Zawiszy z wszelkiemi prawami odkupu z zastawu, jaki na tej części ciężył. Z dokumentu sprzedaży Rożnowa²⁾, dowiadujemy się, że i wieś Grodek, która obok Rożnowa leżała, a którą Piotr Kurowski zastawił był, miał prawo Zawisza dla siebie wykupić, i na wieczne czasy zatrzymać.

Z zapiski sądowej z dnia 2 października 1426 r. dowiadujemy się³⁾, że obaj bracia Jan i Farurej z Garbowa z Zawiszą Czarnym swym rodzonym, skutecznili podział wszystkich swych dóbr spadkiem otrzymanych, gdziekolwiek je tylko mieli. Dóbr tych nie wymienia zapiska. Wiemy atoli z kądinąd, że Farurej musiał otrzymać spadkiem Garbów z przyległościami, gdyż wsie Garbów, Doły, Winary, Nowa wieś należały do Piotra Zawiszy i Stefana synów Jana Farureja⁴⁾. Dobra zaś Zawiszy, jak się z zapiski 2340 pod 28 marca 1431 r. dowiadujemy, były następujące: Rożnów z przyległościami w ziemi krakowskiej; Zasów z przyległemi wsiami w sandomierskiej, Staresioło z wsiami doń należącemi na Rusi a wreszcie wieś Browicze.

Z tej samej zapiski dowiadujemy się, że Zawisza miał czterech synów: Marcina, Jana, Stanisława i Zawiszę. Pretensye stryjecznej swjej siostry Elżbiety, córki Piotra Kruczkim zwanego z Garbowa, (który snąc wesele przed Zawiszą Czarnym umarł), do dóbr po ojcu ich Zawiszy, zaspokoił 300 grzywiami, do czego dodała Barbara wdowa 300 grzywien w podarku, ale z warunkiem dania jej tej sumy w czasie kiedy będzie wychodzić za mąż. Wkrótce potem wyszła jedynaczka Piotra przezwana Kruczkim za Jakóba z Tassowa⁵⁾.

1) Helcel, *Starodawne prawa polskiego pomniki*, II, 2054, 2055.

2) Helcel, II, zapiska 2087, z 12 marca r. 1426.

3) Helcel, II, nr. 2065.

4) *Liber beneficiorum*, Długosza, I, 195. *Garbow cuius haeredes Petrus, Zavischius et Stephanus Pharurej etc.*; ibidem II, 347. *Doly cuius haeres Zawissius Nowowyejszky de domo et armis Sulima etc.*, ibidem III, 317. *Wy-nary inferius... istam villam tenet Zawisza Garbowsky de armis Sulima, filius Johannis Pharurej militis... etc.*

5) Helcel, II, nr. 2343 z 11 kwietnia 1431 r. i poprzednia 2342.

Synowie Zawiszy mieli zwadę zapewne po ojcu, ze stryjem swym Farurejem. Dopiero około 2 października 1437 r., pogodzili się a właściwie matka ich Barbara z Janem Farurejem podówczas chorążym ziemi krakowskiej, i umorzyli sądownie wszystkie termina o te sprawy, o które się wzajem pozywali w sądach ziemi sandomierskiej, krakowskiej, na Rusi i Węgrzech ¹⁾. Jan Farurej miał nadto pojechać na Ruś i na Węgry i ogłosić w sądach tę ugodę, która pod utratą 1000 grzywien, jakimi ten pokój zawarowali, miała być z obu stron zachowywana.

O Stanisławie i Marcynie synach Zawiszy Czarnego, mówi (jak już wyżej przytoczyliśmy) nasz Długosz, że zginęli obaj pod Warną. Relacją tę popiera wzmianka kalendarza krakowskiego ²⁾, sprzeciwia się atoli Helcel ³⁾, sądząc, że z zapisków 3265, 3286 i 3291, w których znajdują się dalsze termina sprawy spornej Marcina Zawiszycy z biskupem Zbigniewem Oleśnickim, okazuje się, iż lubo w istocie ogłoszono śmierć Marcina, on przecież z bitwy ocalał i powrócił do kraju. Jednakowoż z zapisków tych trudno wyczytać racjonalność poprawki Helcla, i Marcin nie okazuje się osobiście w sądzie a termina zawsze odkładają się. Z zapiski 3343 widzimy nawet, iż Jan Zawiszyc podejmuje się sprawę brata dalej wieść sądownie ⁴⁾. Ów Jan jest ojcem Barbary, która wyszła za Stanisława Tęczyńskiego, jak się to okazuje z zapiski 3809 z 3 marca 1466 ⁵⁾.

Genealogia Zawiszy jest bardzo trudną do uskutecznienia; z tego atoli cośmy już tu powiedzieli okazuje się, że tak heraldycy nasi jak i późniejsi historycy myślą się w swych orzeczeniach do rodowodu Zawiszy się ściągających. To tylko zda się być pewną rzeczą, że Garbowscy wiodą ród od Jana Farureja brata Zawiszy, i że Zawisza miał czterech synów, z których dwu poległo pod Warną, Jan zaś miał córkę Barbarę i że zwano go także Czarnym. To wreszcie jest pewną rzeczą, że posiadali dobra w ziemi sandomierskiej, krakowskiej, na Rusi i na Węgrzech. Czy to atoli w braku potomków męzkich, przypadły

¹⁾ Helcel, II, zapiska 2718; porównaj 2340.

²⁾ Bielowski, *Monumenta Poloniae*, II, 936.

³⁾ Helcel, II, str. 593 zapiska 3252 z 3 lutego 1446 r.; i uwaga 23 do tej zapiski się odnosząca. Do ciekawej tej zwady Marcina Zawiszycy z Oleśnickim odnoszą się zapiski 3147, 3148, 3252, 3265, 3286, 3291.

⁴⁾ Porównaj zapiskę 3315, 3382.

⁵⁾ Zwaną jest ona: *Generosa domina Barbara filia olim Johannis Zawissii de Garbow, consors Generosi Stanislai de Thanczyn filii Magnifici Johannis Castellani Cracoviensis*. Porównaj zapiskę 3796, 3878; Jan Zawiszyc był także zwanym *Zawissius Niger*, tak go przynajmniej w ostatniej zapisce widzimy zapisanego. Według zapiski 3809 należy sprostować wiadomość znajdującą się w Niesieckim, *Herbarz* t. VIII str. 564 o Barbarze: *nepta ex filio Zawissii Nigri militis in orbe Christiano nominatissimi*, że była *coniux Johannis a Tarnow*.

powiększej części na linię Garbowskich Farurejów, nie jest wiadomo. Niesiecki powiada, że jedni z Sulimitów mieszkali na Podolu, drudzy w Sandomierskiem, znowu zaś inni w Krakowskiem. Być może, że byli to Sulimici ale czy wiedzą oni ród od Zawiszy, nam przynajmniej nie udało się odnaleźć potomków synów Zawiszy: prócz Barbary córki Marcina, chociaż jak najpilniej przeszukaliśmy obfity drugi tom Helcla: *Starodawnych prawa polskiego pomników*.

Nagrobek Zawiszy Czarnego, którym go uczciła Polska znajduje się w kościele franciszkańskim w Krakowie, a Długosz ¹⁾ zachował nam cały poemat Adama Świnki, pisarza królewskiego i kanonika krakowskiego, „który pierskim duchem natchniony,“ napisał wiersz na śmierć polskiego bohatera.

Sławnego za życia, podniosła go szlachetna дума narodu, który go wydał na szczyt sławy, postawiła go w rzędzie swoich bohaterów, a imię sławnego Zawiszy Czarnego przeszło w krew narodu już jako przysłowie, już jako wzniosła pieśń poetów ²⁾.

Studjum nasze miało za zadanie badać prawdę dziejową. Dodać atoli wypada na usprawiedliwienie naszej pracy, że pomniki dziejowe tych ubiegłych wieków, ukryte są dla nas po większej części. Dlatego też mozaika nasza, o ile wierna, nie odpowiada całkiem wzniosłej postaci, najslawniejszego z rycerzy europejskich XV wieku. Oby z biegiem czasu, coraz bardziej odkrywające się źródła dziejowe, potrafiły całkiem usprawiedliwić sławę bohatera Zawiszy Czarnego.

ZAKŁAD ŚMIERTELNY OTTONA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

Henryka Spicera.

PRZEŁOŻYŁ Z ANGIELSKIEGO

Feliks Jezierski.

Dwa są powody rozgłosu, jakim zaszczycony został znakomity poeta współczesny H. Spicer. O pierwszym najważniejszym, t. j. o zaletach utworu w świecie dramatu wymaganych nie wspominamy, zastę-

¹⁾ Długosz, 506—508.

²⁾ Niemcewicz, *Śpiewy historyczne*: „Pieśń o Zawiszy Czarnym.”

pując ich wykład wierném, o ile byliśmy w stanie, przedstawieniem przed oczy czytelnika, samego dzieła. Ale nie możemy pominąć pewnej, dziejowo-artystycznej zasługi, jaką wyświadczył nasz poeta scenie angielskiej.

Wyborem treści i wynikającą z niego koniecznością odświeżenia barw charakterystycznych, Spicer daje hasło do odwrócenia, raz przecie, oczów publiczności angielskiej, od świata Tiudorów i tych rzeczy, które jego są; nigdy zanadto Szekspira, ale Szekspiryzmu, mamy już więcej niż zanadto! Pomijamy dramata najzdolniejszego z współczesnych poetów angielskich: Swinburna (Chastellarda i Bothwella), pomijamy poetów francuzkich. Ależ kilka zaledwie lat upłynęło od chwili ukazania się całego poczetu dramatów, tworzących ową ciągłość Szekspirowską. I tak, oprócz *Anny*, *Tennysona*, mamy *Joannę Grey* (p. Ross Neil); mamy *Karola I* (Willa), *Pomiędzy toporem a berłem* (Taylora) i t. d.

Przesadzone, a raczej przesadne uwielbienie treści i metody Szekspirowskiej, nietylko zwichnęło wielu ze współczesnych dramatyków, ale co gorsza, zwichnęło najpiękniejsze talenta liryzmu, wabiąc ich na pole, do którego nie przeznaczyla ich wyroczna wola sztuki. Nie uszedł téj smutnej kolei sam Tennyson. Jeżeli bowiem jego *Maryja Tiudor* jest lirycznym kolosem, bez podstawy dramatycznej, tedy jego *Harold* przedstawia się jeszcze niepochlebniej. Najgłówniejszym postaciom brak tu wyraźnie kolumny pacierzowej. Czują one wprawdzie, wykrzykują, jęczą, ale nie działają. Malarstwem nie zastąpił rzeźby uwieńczony śpiewak *Króla bez skazy* (*The blameless king*, tradycyjny epitet Artura). Otóż Spicer przenosi nas w świat świeższy, bardziej dziewiczy, w klasyczną dobę rycerstwa, koniec wieku X. Olbrzymia osobistość cesarza Ottona III, na którą pada jeszcze światło legendy, osobistość ta dziwnie nadaje się do ducha anglo-saksońskiego. Jestto typ wydatnie spowinowacony z pół-fantastyczną atmosferą Artura Wielkiego, tak mistrzowsko, przyznać tu należy, odmalowaną przez Tennysona w *Idyllach o królowej*. Osobistość ta, jak niżej wypadnie nam jeszcze powtórzyć, wychyla się z pomroku XI stulecia i w dziejach naszego narodu.

Maryja Aragońska, żona cesarza Ottona, jestto charakter stary psychologicznie—od żony Putyfara, aż do ślicznej połowicy Artura, do nieszczęśliwej naszej Ludgardy i w krwawym Byrońskim kraju postawionej Paryzyny. Ale u Spicera ma on odrębność wydatną: jestto osoba historyczna. Hrabia Amala także jest postacią *nominalnie* dziejącą.

Ogólnie biorąc, cała dekoracya faktu głównego, w niczém nie sprzeciwia się charakterowi wieku. Dalej krytyka nasza sięgać nie ma prawa.

Źródłem, z którego Spicer zaczerpał osnovę dramatu, jest złota legenda, przytoczona na wstępie przez autora, a mianowicie *Żywot św. Pelagiusza*.

Tu spotykamy i tę wzmiankę pomiędzy innemi, że Ottona łączyły bliższe stosunki z apostołem pruskim (kanonizowanym później) Adalbertem, na którego głowie zajaśniać kiedyś miała „światniejsza od Ottonowej, bo męczeńska korona w Gnieźnie.”

Zwracamy uwagę czytelników na okoliczność, iż po rzeczywistém spełnieniu się strasznego faktu, który nasz autor obrał sobie za przedmiot, cesarz Otto (który z namiętnością rycerską kochał Aragonkę), przedsięwziął pobożną pielgrzymkę do Gniezna, dla odwiedzenia grobu świętego Wojciecha. Podług podania historyków pielgrzymka owa przypada na sybiliczną datę roku 1000. Autor nasz odnosi fakt dramatu do r. 990. Że zaś niektórzy z kronikarzy, a pomiędzy nimi i nasz Gwagnin, pielgrzymkę cesarza przypisuje jego chorobie, z której wyzdrowienie pragnął sobie uprosić u grobu męczennika, przeto i data przyjęta przez autora da się mniejwięcej uzasadnić.

Spicer znanym jest jeszcze ze swoich utworów lirycznych, o których w inném miejscu powiemy.

O S O B Y:

OTTO III, cesarz niemiecki.

HRABIA AMALA, jego ulubieniec.

HERMAN, stary rycerz.

SYFRYD

ULRYCH

ARNULF

RAJNOLD

} inni rycerze.

EBBA, duchowny.

WELF, przyjaciel Hermana.

LOTAR, paź.

CESARZOWA MARYA, aragońska.

ANNA, siostrzenica Ebby.

IRMENGARDA } damy orszaku.

KUNIGUNDA }

Rok 990.

AKT I.

SCENA I.

(Sala w pałacu cesarskim... Herman i Welf spotykają się z sobą).

WELF.

Czy sen, czy Herman?

HERMAN.

Oczy cię nie mylą.

WELF.

Zkądże-to?

HERMAN.

Z targu; widziałem przed chwilą

Owe trzy wieńce, co w ostatnią środę
 Spadły na głowę trzech głupców w nagrodę,
 Za to, że karki kręcą. Jest i czwarty,
 Lecz się wytropić nie da, zbieg uparty.
(słychać trąbkę).

WELF.

O!

HERMAN.

To na niego; wciąż wywija młynka,
 Czmycha i czmycha w czepcu arlekinka.
 Gracko targ idzie, pióro-pusze górą,
 Chyba tę naszą stolicę bezpióra,
 W skrzydła oprawia, a wstęgi, atłasy,
 Szarfy jedwabne, zmiotą na pustkowie.
(słychać trąbkę).

Słyszysz?

WELF.

A prawda! ot, skrzypią zawiasy.

HERMAN.

Otto mię właśnie bramą państwa zowie,
 I sprawiedliwie, bo gdy ją zatrzaśnie,
 To jak drzwi stare skrzypią, tak ja właśnie
 Skrzypić tu muszę. E! mnie tam ki dyabli
 Po tój tandecie? Ale, do stu szabli,
 Mam ja tu cacko, co w duszę się wdraża:
 Brzęk bohatérski ostrogi cesarza.

(wchodzi Lotar).

Lotarze! pewno pieczone gołąbki
 Z rąk aragońskich wpadły ci do gąbki?

LOTAR.

Zgadliście ojczel! nie złamawszy głowy,
 Zostałem pierwszym paziem cesarzowój.

HERMAN.

Pierwszym, no, proszę! a dwudziesty drugi
 Już zasnął... jakież początek zasługi?

LOTAR.

Miałem zlecenie doręczyć roztropnie
 List panu Aym....

HERMAN.

A niech cię gęś kopnie.
 I to wśród bitwy? no, słonebyś myta
 Wziął od Ottona. Patrzcie, ta kobiéta
 Śle pierwszy liścik. Czekajno, wietrznico,
 Pierw ja się zdławię tą miecza głowicą,

Niż będzie drugi.

(wskazując na pakiecik w ręku Lotara).
A czemu waść zbrojny?

LOTAR.

To popielice i bela koronek.

(wchodzi Syfryd).

HERMAN.

Witajże, witaj! nasz gościu dostojny;
Co rusz, to *dostojeństwo*, jak skowronek
Przefruwa. Jakże tam duchem a ciałem
Stoi mój Ares, Dyomed? rzec chciałem!
Amala, chrześnik?

SYFRYD.

Jak rycerz stać może,
Co zdrów i czerstwy, a trzyma się zdala
Od naszych godów środowych. Mój Boże,
I to rozmyślnie!

HERMAN.

Jakto, mój Amala?

Chyba drwiesz sobie.

(Syfryd cofa się, wzruszając ramionami).

A, że też te wrogi

Znieść go nie mogą; klingi i ostrogi!
Wciąż truć nim będę; tak! kwasy za kwasy...
A nuż?... nie wierzę—toż krwawe zapasy
Mamczyły dziecko.

WELF.

Cóż w tém za nowina?

W polu znaleźli, przyjęli za syna
Tę rzecz niczyją; oto masz zadanie,
Masz i rozwiązek.

HERMAN.

Hola, mości panie!

W grzmocie bojowym, z pancernego łona,
Płód ten przeświecna ułała Bellona,
Z nadmiaru serca swego; dla niej przeto
Chłopcam hodował, krociom też podola;
Wojak, paż, rycerz. Trzebaby podnieta
Duszę rozdmuchać: ale gdzie tu szkoła?
Tu ci nie przerwie snu trąbka myśliwska,
Ani krwi zapach od pobojuwiska;
Wnet baba senność Huffeholc pogrziebie.
(słychać wewnątrz trąbkę hasłową).

Słyszysz? to koniec rycerskiego świata;
A ty, Ottonie, zrywaj się: wszak ciebie
Wzywa cesarska jójmość lodowata.

WELF.

Przecież głośzono, że czas ją pokona,
 Że jedna, druga, nie druga, to trzecia
 Uczta rycerska wyrwie się z zaświecia.

HERMAN.

Znaż świat, kobietyę? Spójrzj na Ottona;
 Wśród człowieczeństwa, czyż to nie cud ziemi?
 Czy nie pierwowzór życia, wszechponęty,
 Pigmaliona gusty nowotnemi
 W gocko-helleńskie wcielenie zaklęty?
 Bojownik grzmiący, oblubieniec skromny,
 Król mądry, prawy dpruch, sędzia niezłomny.
 Dziwże się teraz, że go sprawiedliwi,
 Nie zausznicy, że ludzie, rozkoszą
 Świata przewwali.

WELF.

O! mnie to nie dziwi.

HERMAN.

Są jednak dusze, co urok ten ploszą;
 I któż? świat własny wyparł się go, żądze
 Wyparły.

WELF.

Sądzisz więc...

HERMAN.

Ja nie nie sędzę,
 Dzieje osądzą. Pamiętasz zapewne
 Kiedy Amala z piastunem statecznym,
 Z ojcem po sercu, w orszaku stołecznym,
 Z ziemi Hiszpanów przywiózł nam królownę.

WELF.

I rzewném było pierwsze powitanie.

HERMAN.

Welfie! na ziemiach germańskiej korony
 Marya ta nigdy nie była.

WELF.

Hermanie!

HERMAN.

W drodze zginęła, a to podrzucony
 Płód, cudze dziecko: to nie Aragonka.

WELF.

Żarty mi prawisz.

HERMAN.

O! i krwawe żarty.

Słuchaj: to widmo, ten cień jój rozparty
 W pół-tronu, nie jestto jęgo małżonka,

Lecz szydzielka... W krwi téj już nie gości
 Miłość i prawda, to dusza miłości.
 Jak ów Parhelion, kłamiący bez końca
 Czczym blaskiem; mała królewskiego słońca.
 Mgła, łzy, nic więcej. Marya z Aragonu,
 Była to wielkość, opatrnie stworzona
 Do boku drugiey wielkości, do tronu.
 Marya hiszpańska kochała Ottona,
 Ale w przeczuciu zaledwie okrucha
 Potęgi jego geniuszu. Niestety!
 Ktoby pomyślał, że ten pyłek ducha
 Świetnym migotem na serce atlety
 Spadnie wszechwładczo i ściśnie w kajdany,
 Odurzy.

WELF.

Jakiż był przebieg téj zmiany?

HERMAN.

Powolny, z walką: dusze, jój nastroju,
 Walczą, niekiedy konają wśród boju
 Z ciałem. Jój ciało, głucho, po iskierce,
 Zdradą się tliło. Kiedy w tęczach chwały
 Płynęła do nas, to zwolna jój serce,
 Myśl, zapal, dowcip, stygły i leniały,
 Jak świetne pióra. Tak, że jedno wdzięki
 Biernej rozpaczy, chłód, spokój bolesny
 Oblubieńcowi zdaliśmy do ręki
 I nic, nic więcej!

WELF.

A jakże twój chrzestny,
 Gwiazda rycerstwa? Nie byłaz mu jawną
 Chwiejność królewny?

HERMAN.

Zachciałeś,—on dawno
 Już zaręczony; w najświętsze ogniwa
 Serce mu dano, słuch, tchnienie, blask lica;
 On przecież panią swą, panem nazywa.

WELF.

Imię jój?

HERMAN.

Jest to (ale, tajemnica)
 Gorzkiego Ebby słodka bratanica,
 Anna.

WELF.

Te „białe ręce?”

HERMAN.

Twarz marząca,
 Uśmiech, jak światło dziewicze miesiąca,
 Czoło Pallady; życie jój poranne,
 Śniące...

WELF.

A Syfryd?

HERMAN.

I on kocha Annę.
 Przyszedł na zwiady; nie dziw, że się boi
 Pośmiechu; odszedł, a na czatach stoi,
 Zaciąwszy zęby. Gryź-że, gryź, Syfrydzie,
 Szpady głowicę; i rychłej ci przyjdzie
 Połknąć jój ostrze, niż te „białe ręce“
 Nazwą cię swoim panem.

WELF.

Czyż nie prościój,
 Ująć wściekłego żubra przy paszczęce,
 Niżli przebiegać mu ścieżkę miłości?

HERMAN.

Chrześnik Amala, dzielniej (wierz mi bracie)
 I palec Anny obrączką opęta
 I głowę żubra...

(bliżej słyhać odgłos trąb).

Idą w majestacie.

Spojrz na Amalę; o, jak niepojęta,
 Jak lwia postawa! mój olbrzym-pachole,
 On giąć się zdaje pod wagą swęj siły.

(Wchodzi Otto, w jego orszaku Amala, Ulrych, Rajnold i wielu dworzan).

OTTO *(do Amali)*.

Wszak Jój Dostojność objawiła wolę,
 Aby się nasze orszaki złączyły
 W końcu obrzędu?

AMALA.

Władzco, tak mieć chciało

Jój słowo.

OTTO.

Powiedz, że my duszą całą
 Tęsknim — i gdyby nie rycerz ze szramą...
 Trzeba ratować go... zniknął bez słyhu...

(Amala z kilku orszakowych odchodzi).

Po trzeciém hasle nie wraca, — Ulrychu,

Wiecznie toż samo, co?

ULRYCH.

Wiecznie to samo,

Wielki cesarzu!

OTTO.

A ja nieprzepomnie.

Chcę go i muszę mieć. Trąbko, hej! do mnie!
 Niech heroldowie, póki płuc im starczy,
 Głoszą, że rycerz, mający na tarczy
 Godło: „dwie białe ręce“ do modlitwy
 Złożone, jest wszechgłównie obwołany
 Królem środowo-turniejowej bitwy.
 Że pragniem jego oblicze i rany
 Ujrzyć, a w odwet za krwawy pot czoła,
 Co rycerz żądać, a cesarz dać zdoła,
 Danem mu będzie.

HERMAN.

To odwet cesarski.

OTTO.

Starcze, tak było, że kędzior mój biały
 Czerniał z radości.—Patrząc, aż mój dziarski
 Zrywa się pędem piorunowej strzały
 Z linii złamanej, ziejąc na szeregi
 Śmiercią, tu sparte tratuja się zbiegi;
 A on ci z zimną krwią lance wymija,
 Chyli się, siania od tajnego sidła:
 Wybrnął z odmetu, już dopada skrzydła
 Wpół złamanego, skruszył je i zwija
 Jak płaszcz podarty,—wróg znika w rozłogu,
 I znikł—chwyt z niego, chwyt, przysięgam Bogu!
 Żołnierz...

HERMAN.

Koguci miał grzebień na kicie?

OTTO.

Kity nie było,—hełm gładziutki, godło:
 Ręce złożone, białe. Jak myślicie?

RAJNOLD.

Kokarda,—jeśli mnie oko nie zwiodło,—
 Biała—nie—siwa...

ULRYCH.

Kolorowa.

RAJNOLD.

Biała.

OTTO.

O! nie, cenniejsza tam barwa błyszcząca:
 Krew z bohaterskiej piersi! Napastnicy
 Jak lwa chorego wganiając do matni,
 Sparli mię we trzech,—zgniółł ich, lecz ostatni
 Ukłął go, ległszy, pod ryngraf przyłbicy.
 Cios zrazu zdał się nie groźny,—wtém zbroja
 Krwią zapłynęła, i...

(Wchodzi Marya i orszak, Anala i inni).

Królowo moja,

Starć tych rokoszan. Na przestworzu mili
 Dziki nasz oset krwią swoją zbroczyli,
 A dziś na swoje niezgojone blizny
 Leków znać nie chcą dla twego uśmiechu.

MARYA.

Rycerze! jeśli godna wiara echu,
 Dzielnieście świętej bronili ojczyzny.
 Lecz jażbym śmiała dźwięki pochwalnemi,
 Ja, fantastyczne piórko obcej ziemi,
 Wpięte w skroń waszją, czcic cnoty jej synów?
 Zwycięstwo jest tu gościem tak powszednim,
 Że wciąż drzwi klamka porusza się przed niem.
 Więc tylko wróżę, iż z waszych wawrzynów,
 Z gwiazdą pokoju, po krwawej arenie
 Błogosławieństwa popłyną strumienie.

OTTO *(z uśmiechem)*.

Pięknym jest pokój, jeżeli go uwdzięczy
 Chwała przeszłości; lecz bez takiej tęczy
 Zimnym on będzie.

MARYA.

Pocóż tu nam chwala?

My tu śmierć mamy. Jakem zasłyszała,
 Drogo nam przyszła ta uczta Gradywa:
 Wszak Rupert zginął; niech z Bogiem spoczywa
 Dobry staruszek; swój uśmiech serdeczny,
 Dumne a tkliwe czucie, zmysł honoru,
 Wszystko to zabrał z sobą do słonecznej,
 Czystszej krainy. Proszę mi wśród dworu
 Równie godnego znaleźć szambelana?

OTTO.

Sama chciój wybrać.

MARYA.

Nie! księżę wybaczy.

OTTO.

Jest tajemnica, dotąd nie zbadana:
Wystąp, Amalo; acz nic nie tłumaczy
Chyby rycerskiej, mów, jam słuchać gotów!
W boju nie byłeś. Nie z obawy grotów
Wroga najeźdźcy, to wiem; więc draśnięty
Honor, czy zawiść, pomściwie te wstręty
Tchnęły w twe serce? Wszak, luby młodzianie,
Był to dzień moich przyjaciół?

AMALA.

Ach! panie,

Władzco mój!...

OTTO.

Długo o tobie mówiono,
Sam osądz... oto, wre piekielne grono;
Ja się odcinam, ale nie wesoły
Bez ciebie. Zbiry! jakże się zbiegą,
Skrzydła rozpięli, szalone sokoły.
Chcą pojedynku, sześciu na jednego;
Tém mię skusili—i harce zagrały.

AMALA.

Czymto ja, księżę, był za opieszwały,
Czy wy, zbyt skorzy? Boć wiadomo światu,
Ze do osoby jego majestatu,
Zarówno rycerz, jak wróg nie dostąpi,
Tylko krwi ścieżką.

OTTO.

Oto mistrz uporu,
Co o bacności kazań nam nie skąpi.
Nie! to ja ciebie oduczę uporu,
I dziś mianuję szambelanem dworu
Królówej pani.

MARYA.

Księżę, raczysz przecie
I mnie przypuścić do głosu w téj sprawie.

HERMAN (*na stronie*).

Tak, przypuść, pomóż ty czartu kobięcie,
Obu was zbawi, tylko jój łaskawie
Pozwól cie.

OTTO.

Jakto? czyż imię odstrasza?
Imię Amali? i dostojność wasza
Mówi naprawdę? Owóż kwiat rycerzy,
Herman własnemu uchu nie uwierzy.

MARYA.

Czyż rycerskości hrabiego przeczęmy?
Nie, lecz jak widzisz, oto stoi niemy;
Skorzéj więc lancę chwycić jest gotowy,
Niż karcić konia damskiego narowy.

OTTO.

Tém się nie zrażaj, hrabio ukochany;
Ani królowa pani niech nie myśli,
Że go przemieni w rycerza altany;
Raczéj on w boju stanie, niezawisléj
Piersi nadstawi, niż dostojną panią
Żal zdejmie.

HERMAN (*na stronie*).

Przebóg, już drzę nad otchłanią.
Świata mocarze, czyż przez całe życie
Za koniec nosa nigdy nie przejrzycie?
Nigdy!

WELF.

Królowa jakoś się nie skłania.

HERMAN.

Kupując towar, pierw mu się przygania.

OTTO (*po cichéj rozmowie z Maryą*).

Hrabio Amalo, jéjmość cesarzowa
Czeka.

HERMAN (*do Welfa*).

A widzisz, zgodłem co do słowa.

OTTO (*do zgromadzonych*).

Proszę na ucztę; lecz wprzódy, panowie,
Nim z czary pierwsze wypijemy zdrowie,
Niech nam, kochanka rycerskiéj czeladzi,
Fortuna, mistrza wojny tu wprowadzi
Zatajonego.

(*do Amali*).

Dziki mój wojaku,
Czas zacząć służbę w królowéj orszaku;

Nie próżnom ciebie, cesarstwa przedmurze,
 Nie próżno przeniósł, moją gwiazdę boju
 Na ten niebieski firmament pokoju.

HERMAN (*na stronie*).

Tak—i zasiałeś najczarniejszą burzę.

(*wychodzi Otto, Marya i wszyscy, oprócz Hermana, Welfa i Syfryda*).

Syfrydzie!

SYFRYD.

Cóż tam?

HERMAN.

Poufnemu słowu

Daj posłuchanie.

SYFRYD.

Więc?

HERMAN.

Brawo!

SYFRYD.

Co znowu?

HERMAN.

No, bez tych żadnych. Wszak to arcydzieło
 Co wszystkich serca zdumieniem przejęło,
 Ty wykonałeś, hm! wyprzesz się może?
 Więc gdzieś był wtedy?

SYFRYD (*zacinając się*).

Byłem... byłem w borze.

Dreptałem, jak bóbr... masz, tożem widocznie
 Został bez wyjścia...

HERMAN.

O! klingi i włócznie!

Jak mi wspomniano, to godło dziewczęce,
 (Wiesz, te „modłące się dwie białe ręce”)
 Ho, myślę sobie: „Syfryd i na włosek
 Nie chybiam.”

SYFRYD.

No, no. Zkądże taki wniosek?

HERMAN.

Bo wiem, że pewną, z tém godłem, dziewicę
 Kochasz.

SYFRYD.

Znasz, widzę, moje tajemnice.

HERMAN.

W moich rocznikach, od starców do młodzi,
 Wszystkich ja piszę. Śmieję się, nie nie szkodzi.
 Wiem o każdego i grzechach i guście:
 Ten, lubi reńskie; tamten, awanturki;
 Gebhard, turnieje; Franc, tanc; Piet przepiórki,
 Welf, epikuryn, tyje na kapuście;
 Ja, lubię patrzeć, jak szczytne natury
 Bzika dostają; jak twój mistrz ponury
 Dryga przed płochą, zamężną kumoszką.
 Hm!

WELF.

Ależ gorzko odcinasz się, gorzko!...

HERMAN.

Bom ja też kochał.

SYFRYD.

Pudying.

HERMAN.

Wyrośnięty.

Przytém pęk wstążek szkarłatnych, kaftanik,
 Choć z czarownicy zdjęty, lecz zapięty,
 Pysznej struktury bez fałd; cienki stanik;
 Kibić wysmukłą, pstrokate opaski,
 Klamerki; chłopca, wymiarów méj laski,
 Spódniczkę i to błękitną bez matu,
 Szorstką, podobną do epigramatu;
 Śniadą wietrznicę, tak pulchnego ciała,
 Jak ta, co białe piwo sprzedawała.
 Wczora, jój wnuczek (a czarcio był brzydki)
 Trzymał mi konia—dałem mu dwa dydki.

(do Welfa).

Pójdź, koniec zgniłej miłości piosence.

(odchodząc, do Syfryda).

Co mi dasz za to? *twoje* białe ręce

Tryumf zdobyły.

SYFRYD.

No?

HERMAN.

Mógłbyś plon skosić,

Mógłbyś w nagrodę zwycięstwa, poprosić

O białe ręce.

(Herman i Wolf odchodzą).

SYFRYD.

Mógłbyś...

Myśl opętana—no przecież to jeszcze
 Nie zamiar, temat. A gdyby go w kleszcze
 Rozumu chwycić? Przy śmiałym akcencie,
 Sprawę zdobywa jedno chwackie cięcie.
 Ale jak?

(*wchodzi Arnulf*).

Mówią, że na takie harce
 Tajne potęgi gotową w swój arce,
 Kryją odpowiedź. Więc prawda, mój druchu...

ARNULF.

Co, prawda?

SYFRYD.

Pełno tu wszędzie posłuchu,
 Że ty, na owém boju arcydziele
 Nie byłeś?

ARNULF.

Sza, sza! mój strózu aniele.
 Milcz o tém. Nasze gwiazdy nas zawiodły,
 Bo przewodnikiem był zdrajca. Ten podły
 W gąszcz nas zaciągnął, dziś też przy topieli
 Wisi na dębie. Ledwośmy wybrnęli.
 Przebóg, po żniwie; już orszaki męzne,
 Które sprawiały to krwawe okrężne,
 Zeszły...

SYFRYD.

Arnulfie, czy wiesz, w jakich oni
 Barwach tajnego króślą cudotwórcę?

ARNULF.

Cóż mówią?

SYFRYD.

Mówią, że rycerz w misiórcce,
 Twojej postawy, z godłem „para dłoni
 Srebrnych” szczęśliwym fortuny obrotem
 I dzień i życie Ottona ocalił.

ARNULF.

Moję postawy? nie słyszałem o tém.
 No i cóż złego, gdybym się pochwalił,
 Że to ja byłem.

SYERYD.

A ja gardło daję,

Że ty.

ARNULF.

Syfrydzie, nigdy się nie taję

Z wiarą w życzliwość twoją.

SYFRYD.

Czyż to pora
Wspominać jakąś drobnostkę? to boli.

ARNULF.

Wiecznie wspominać ją będę. Pod Rora,
Przez muzułmanów wzięty do niewoli
W zbroi, przy słupie, w kajdanach ja stałem;
Ty mnie odbiłeś, dotarłszy z oddziałem.

SYFRYD.

Więc to pamiętasz? a dane mi śluby
W dzień ów straszliwy, żyją też mój luby,
Choć letargicznym snem w śmiertelnej szacie?

ARNULF.

Żyją... przysiągłem, że w ciężkiej potrzebie
Środków nie ważąc, stanę obok ciebie,
Choćby do oczu śmierci.

SYFRYD.

Stań więc, bracie.
Wzywam cię w imię przysięgi.

ARNULF.

Wyzwanie
Przyjmuje, mów więc?

SYFRYD.

Gdy chwila nastanie
Wyroczna, przyznaj, że tajnym rycerzem
W masce, ty byłeś; lecz, pomnij: probierzem,
Prawdy niech będzie zimna krew, słów mało,
Spojrzeń... żadnego: jednoby złamało
Cały ten zamach. Zeby być na chwilę,
Czém być winieneś, chciej zdać się na chwilę
Tém, czém nie jesteś, zgnieść dumę, a schwycić
Cześć nieśmiertelną.

ARNULF.

Rozumiem: przemycić,
Ukraść ją—ależ to podłość, bez miary.

SYFRYD.

A ślub? przysięga? gotowość ofiary?
Błagać nie myślę dla skrzeczenia świetnej
Iskry z twych piersi. Cofasz się, to dobrze:
Wręcz mi odpowiedz.

ARNULF.

Ach! bądźże szlachetny:

Krwi chciój, uleję sownie i chobrze.

SYFRYD.

Nie tak to było, gdy z bladeścią trupa,
Z dreszczem w kajdanach odbity od słupa
Padłeś zemdlony na moje ramiona
Jędrne, łuskate, gdzie było to męztwo?
Gdzie krwi pogarda?

ARNULF.

O! krzywdo szalona,

Wściekła!

SYFRYD.

A śluby? krzywoprzysięstwo?

ARNULF.

A hańba wieczna do zawarcia powiek?

SYFRYD.

A cześć? Arnulfie, wyroczny ów człowiek
Skonał już. Otto sam, na własne oczy
Widział, jak ranny, pada, krwią się broczy;
Mamy więc kłębek. Ty, niby w popłochu,
Laur opuszczony podnosisz i z prochu
Otrząsas, chwytasz ostatnie sylaby
Roli i kończysz. Czyżes to za słaby,
Na przekaz roli? Ach! na miłość boską.
Tybyś ją spełnił, jak tamten mistrzowsko,
W jego warunkach. Pomyśl na ostatek,
Że ty, niejako, wracasz mi zadatek;
Szaleń, podłością, jak chcesz, nazwij sobie
Moje żądanie, a wszak to ja robię,
Nie ty; ja trzymam na tém kielźnie dzikiem,
Twoje sumienie. Nie jest-żes dłużnikiem,
Moim, Arnulfie?

ARNULF.

Choć dusza się wzdryga,

Muszę, i spełnię... więc to jest intryga?
Wskaż mi wygraną. Jakież to ja kradnę
Klejnocik z palca trupiego, a kładnę
Na palec zbawcy?

SYFRYD.

Kwiat, światło poranne...

Bóstwo piękności. Gdy Otto sownie
Snując pochwały, wygłosi w zachwycie,
„Wybieraj“ wtedy ujmiesz moją Annę
Za rękę białą...

ARNULF.

Annę?

SYFRYD.

Dech przytłumisz...

ARNULF.

Ja, jój nie kocham.

SYFRYD.

Ale ja, rozumiesz?

Niczém świat dla mnie, niczém słowo, cnota;
Przeszłość, i żywot, i żywot żywota,
Jeśli ty zdradzisz, niech gniją w ohydzie.
Kocham, słyszałeś?

ARNULF.

Syfyrydzie, Syfyrydzie!

Słup askieleński byłby dla mnie chwilką,
Straszną, katowską; ale jedną tylko;
Życie shańbione, o! to wieki wieków
Ogni piekielnych!

AKT II.

SCENA I.

(Apartament w pałacu—Marya, wsparta na wezglowiu, u stóp jój siedzi Anna i czyta—Irmengarda i Kunigunda).

MARYA.

Powtórz, co jest jemu, snuje się po głowie?

ANNA.

Miłość, niezłomną przysięgą on zowie;
Zaparcie siebie.

MARYA.

A czém je odpłaca?

ANNA.

Właśnie mi w książce karta się odwraca,
Dalej stron pustych kilka; głębi dzieła
Jeszcze nie doszła.

MARYA.

Ani on, niestety!

Dosyć, rzuć książkę. Czegós to westchnęła?

ANNA.

Pani, ja wierzę, iż tam, dla poety,
Wyżej, są gwiazdy szczęśliwsze; pod niemi,
Mniejsza, to gwiazda tych, co go na ziemi
Kochają.

MARYA.

Wdzięczna mrzonka, lecz zwodnicza;
Fantazyja kształtom upięknia oblicza:
Zła to mistrzyni, nie uczy, lecz łudzi;
Bo gdzież jest prawda, gdzież jest wiara w ludzi,
W tę otchłań? i ty, tylko powiedz szczerze,
Masz tajemnicę?

ANNA.

Pani!

MARYA!

Wierzę, wierzę.
I ja mam swoją. A wiész co? najlepiej
Wyrzucmy z siebie, każda swego smoka,
Niech się nadstawią, tak, okiem do oka;
Który którego spojrzeniem oślepi?
Drzysz? dziewczę! słuchaj, jak mi palec mały
Jakaś pokusą tętni nieustanną;
Chodź, spojrz mi w oczy: kochasz ty mnie, Anno!

ANNA.

Kocham ja, kocha panią świat ten cały.

MARYA.

Muszę pogwarzyć z tobą. Irmengardo,
Ułóż brylanty w mojej gotowalni:
Dziś mam wystąpić najceremonialniej,
I—i ten kornet królowej z kokardą;
Idź z Kunigundą.

(odchodzi Irmengarda i Kunigunda).

Oto serce moje
Zdjęło koronę. Patrz, sierota stoję,
Bez majestatu przed tobą. Na Boga,
Ukój mię, nakarm miłością, ty droga
Duszycko; bratnio wzajem się ośmielmy,
Jak dwie wieśniaczki na szarym zagonie
Gwarząc, ufnością wzajemną się dzielimy.

ANNA.

Dobrze, ja będę mówić o Ottonie.

MARYA.

Ot... czy twarz księcia nowy blask słoneczny
Olśnił?

ANNA.

Tam nowy blask byłby zbyteczny.
Również i księżna tak myśli.

MARYA.

Tak, dziecię,
Myślałam w owój, już zaprzeszłej chwili,
Kiedyśmy, zdala od siebie, marzyli
Wzajem o sobie. Było to o świecie;
Wtém zeszło słońce, dzień wkroczył od rana;
Dniu bez litości, ileż twoja jasność
Marzeń zabiła!

ANNA.

Księżno ukochana!

MARYA.

Po co „ach?“ Toż ja jestem jego własność
Kupiona z żywym i nieżywym sprzętem,
Czcią, obowiązkiem. Miłość, jestto praca
Dwóch serc: kto zyskał, ten zyskiem odpłaca;
Lecz miłość sknerstwem ziejąca i wstrętem,
Co stworzy taka miłość, prócz widziadła
Męk i przekleństwa? O! wieki zadrzęmią,
Niebo się pierwój ucałuje z ziemią,
Niż spoją nasze serca.

ANNA.

Jakże zbladła
Wasza Dostojność; zdasz mi się w przestworze
Za jakimś widmem przelotném słać oczy,
Bo moje oko nic dojrzeć nie może;
Co to za widmo?

MARYA.

On,—oddycha, kroczy,
Nuci, rumaka mi kieżna, wieczera;
Mąż, mąż prawdziwy, ideał rycerza
Na całą ziemię, i rzewny, i dzielny;
Mnie—wróg i butny; grozi, lecz nie rani,
Tylko omija.

ANNA.

Najjaśniejsza pani,
Odmęt pod tobą,—skiuń zmorze piekielnój,
Niech precz odstąpi.

MARYA.

O! mściwiéj ja pocznę:
 Wstępem, jak wroga, na boje wyroczone
 Wyzwę pokusę, schwycić, zgnieść ją muszę,
 Wyrwę z niéj duszę i stratuję duszę;
 I konającą, moim majestatem
 Przyznam za więźnia,—ale dosyć na tém:
 Serduszko twoje to książka bez wiersza,
 Nikt tam nie wpisał jeszcze słów katuszy,
 Walk lub zwątpienia. I nie chcę ja pierwsza
 Żółcią wyrzeźbiać na karcie téj duszy
 Hieroglifów gniewu.

ANNA (*klękając*).

Nieszczęśliwa!
 Rozdziernij pani te czarne przedziwa
 Przedemną,—miłość i cierpienia twoje,
 Wszystko mi odkryj.

MARYA.

Ha! to masz oboje.
 Anno, ja kocham — nie Ottona!...
 Stało się! oto los po mojej skroni
 Dyamentowe przekleństwo już roni.
 I On przedemną w nicosć się zapada...
 Już zapadł... nie dbam o to, kto dziś włada
 Nad pustką serca; gdyż znekana walką
 Dusza ta butna jest moją wassalką.

ANNA.

Biędny! więc kochał cię zdala, czuł, marzył,
 Tylko męk serca wyznać się nie ważył:
 Nieprawdaż?

MARYA.

Ależ, na wszystko się ważył.
 Miłość i cnota rycerska, dwie siły
 Równéj potęgi, o serce walczyły:
 Rycerz zwyciężył.

ANNA.

O! chwiała mu, chwiała!
 Szlachetny rycerz; anibym myślała,
 Że duch drga jeszcze w świecie, wśród posuchy
 Wieku; lecz znałam jednego...

MARYA.

Tyś znała?...

Wymów to imię...

ANNA.

Braknie mi otuchy.

Wasza Wysokość chyba nie uwierzy,
Ile to skarbów ubóstwienia leży
W lepiance mego serca... jestem żoną.

MARYA.

Żoną? jak dawno?—czyją?

ANNA.

Ach, władczyni!...

Ślub potajemny,—mrokiem go spełniono,
Ale pod świętym sklepieniem świątyni;
Czyn wiekopomny świadczyć o nim będzie:
Twojej nam tylko brakło przy obrzędzie
Sankcyi królewskiej. Niestety, ze szczerem
Bolem wyznaję...

MARYA.

Któż jest bohaterem?

ANNA.

Rycerz, którego czei potwarz nie splami;
Czynem świetniejszy, niż rodu wielkością.

MARYA (*niespokojnie*).

Mów, mów!... już teraz jesteśmy siostrami.
Bo i On, co to zmusza mię z miłością
Czekać odwetu—tam, za gwiazd dzielnicą,
Gdzie grzechy gasną, korony nie świecą,
I On przed śmiercią w boju się nie cofa.

ANNA.

Wasza Wysokość niech pomnieć to raczy,
(A pomnąc przeszłość szlachetnie przebaczy):
Ja jestem córką owego Waltofa,
Który za zdradę legł pod kątą mieczem.
My też sromotnej pamięci dziedzice,
Kryjąc przed światem straszną tajemnicę,
Mściwój cesarza woli nie złorzeczym,
Lecz w trwoźnej trosce wyglądamy chwili,
Kiedy czyn wielki wyroki przechyli,
Wspomnienia zbrodni z pamięci wyżenie,
Podziw wywoła i ułaskawienie
Dzieciom zbrodniarza. Oto chwila łaski
Nadeszła — spadną laury i oklaski,
Bo czyn spełniono...

MARYA.

Ach! czy myślisz może
O masce, która dziś sprawia na dworze
Tyle pogwaru? Jeśli tak, prawdziwie
W głowę zachodzę, zżymam się i dziwię,
Że wciąż tak milczy, że zamiast ukradkiem,
Po laur i ciebie nie sięgnie otwarcie.

ANNA.

Wasza Wysokość słyszałaś wypadkiem,
Jakie ma godło? Otóż mnie, tak, w żarcie,
Że nigdy grubszych prac się nie podejmę,
Zwą „Białe ręce.“

MARYA (*coraz niespokojniej*).

Ależ imię, imię?

ANNA.

Nie śmiem, bo Wasza Wysokość się gniewa.
Przyjdzie czas—błagam—racz mi być cierpliwa.
(*Wchodzi Lotar z otoczeniem*).

LOTAR.

Pan Najjaśniejszy śle prośbę usilną
O Jój przybycie do rycerskiej sali.

MARYA.

Z powodu... (jakoś zda mu się zbyt pilno)
Czy nie objawił?

LOTAR.

Najjaśniejsza księżno,
Nakoniec ową potęgę orężną,
Dwie „Białe ręce“ w tłumie odszukali.

MARYA (*z trwogą do Anny*).

Pójdź, pójdź!—przeczuwam, że za chwilę staniem
Na dnie zagadki. W tym kłębkę żywota,
Gdzie chaotycznie dzień z nocą się mota,
Chyba przed jedném tylko rozwiązaniem
Zadrzęćbym mogła—ale nie—i wtedy
Nie zadrzę.—Pójdźmy.

SCENA II.

Wielka sala w pałacu. Uczta rycerzy. Otto przewodniczy. Amala, Her-
man, Ulrych, Rajnold, Welf i wielu innych.

OTTO (*z niecierpliwością*).

Kiedy? dlaczego zniknął? najwyraźniej

Sam go widziałem.—Ciebież, chrobry duchu,
Gniewa nagroda? uwielbienie drażni?

RAJNOLD.

Nie, ziemioładzco! lecz w Arnulfa uchu
Melodye słowa książęcej pochwały
Wśród tylu widzów, rostrojem zabrzmiały:
Skromna to dusza.

OTTO.

Tak, dusza wojacka,
Bez równowagi; to ci grzmi z nienacka,
To znów przycichnie; to do płaczu skory,
To srogi. Dziwna, żem go owój pory
W polu nie zoczył.

HERMAN *(na stronie)*.

No! jeśli w dniu owym
Sam nie widziałem, jak truchta, parowem,
Zdrowszy od rydza, chyłkiem ślady żłobił;
To czart jakiegoś Arnulfa podrobił:
Czekajmy kto wie, na co się to przyda.

AMALA.

Czego zażąda, rycerzu Hermanie?

HERMAN.

Nie słyszysz? Rajnold, z pod szeptu Syfryda,
Łaszcząc się, jak pies, prosi o wezwanie
Anny; już piją, jak amen w pacierzu,
Do białych rączek.

AMALA.

Co?

HERMAN.

Zimny rycerzu!
Brońże praw swoich; raj ci się wymyka.
To szpieg ten, włóka, wiecheć w obec ciebie,
Nie wart okurzyć prochu z jój trzewika,
Ręką twą komuś kasztany wygrzebie?
Laur skradnie?

(wchodzi cesarzowa, Anna i damy orszaku).

CESARZ.

Oto w świątecznej bladości.
Wschodzi ozywca gwiazda moich gości;
Jeszcze gość jeden, a rzeknę: Ottonie,
Tyś najszczęśliwszy z szczęśliwych na tronie.

(wchodzi Arnulf).

Powstańcie mężo, bo wchodzi dostojny
Wrogów pogromca; o gładkim puklerzu,
Droższym od koron: witaj mi żołnierzu,
Mianuję ciebie naszym mistrzem wojny.

ANNA.

Arnulf? ach, wszystko stracone!

MARYA.

Więc, dziecię

To nie twój rycerz?

ANNA.

Nigdy, nigdy w świecie!

MARYA.

Ale bohater, w tobie zakochany,
Pod twojém godłem na wroga pierś godzi,
Pod twojém hasłem walecznym przewodzi.

ANNA.

Kto mu pozwolił, na Chrystusa rany,
To jakiś podstęp; broń mię od bezprawia:
Broń mię, Amalo.

MARYA (z przerażeniem).

Cóż ciebie obchodzi,
Amala... milczmy, bo Otto przemawia.

OTTO.

Toast Arnulfa, białych rąk rycerza,
Barona Aymu.

ARNULF (na stronie z gorzką ironią).

A brat jego, milczy,
Wzrok miota, z głębi pomroku wyszczerza
Zęby dziękczynne: brnij masko!...

OTTO.

On milczy...

Lecz Rajnold, nito zacny przeniwierca
Do rąk mi złożył klucz od skrytek serca,
I ślubów jego. Arnulfie, masz słowo:
Odgadłem twoją gwiazdę biegunową.
Milczy... tak! miłość przemienia w dziewicę
Najwaleczniejszych. Ja więc mgłę rozświecę,
Będę językiem hołdu nieśmiałemu.
Najstodsza księżno, pozwól z twego grona
Odczepić jedną perłę dyamentu;

Księżno, pozwalasz?

MARYA.

Paniel

CESARZ.

Oto ona,

(*biorąc Annę za rękę*).

Śmiało, dziewczątko, śmiało powtarzamy.

ARNULF (*z uniesieniem, klękając*).

Wielki cesarzul przebacz miłościwie;
 Nie ja to pragnę w dozgonném ogniwie
 Zespolić serce téj czcigodnej damy,
 Z mojem, jest tutaj mąż, mniej samolubny,
 Ale godniejszy: Syfryd, brat mój ślubny,
 Krwi mój wierzyciel. Z paszczy Askelonu
 On mię wyzwolił, on przez moje usta,
 Błaga o tkwiące u podnoża tronu,
 Orędownictwo Germanów Augusta.
 Dla mnie zaś...

OTTO.

Dokończ—ty, moje przedmurze,
 Siebie zaparłeś.

ARNULF.

Dar, ostatni w życiu...
 Chciałbym jak pielgrzym, o cichym kosturze,
 Odejść w pokoju.

OTTO.

Nié mam ja na zbyciu
 Mieczu Arnulfów moich? nie dopiero
 Dusz, budujących miłość przyjaciela,
 Na grzechach własnej; lecz muszę, bo szczerą
 Dałem przysięgę. Myśl w słowo się wciela—
 Mości Syfrydzie, bierz trofjéj zdobyty.

(*Syfryd, powstając, zbliża się ku Annie, ale w pośrodku staje Amala*).

AMALA.

Moja... precz, póki w żyłach nie zawrzała,
 Krew...

MARYA (*słabnąc*).

Twoja!

HERMAN (*do Welfa*).

Patrz, patrz, jak w oczach kobiety,
 Drży tygrysyca, jak ta ręka biała,

Harpii szponami strute piersi toczy,
W marmur się wgryza.

AMALA.

Żono, podnieś oczy;
Żono, dopóki w tych żyłach krew bieży,
Ty jesteś moją.

(*Marya mdleje*).

ANNA.

Ach! kto w Boga wierzy,
Ratujcie księżnę!

(*do Amali*).

Puść mnie!

OTTO.

Jezu Chryste,

Co to jest?

MARYA (*po chwili*).

Nic, nic, wspomnienia ojcyste.
Nic, nic—podobno mieliście turnieje!
Nie przerywajcie: nie!

(*spogląda na klęczącą Annę*).

Co to się dzieje?

Tu klęczy jakaś kobieta.

OTTO.

I zdrowiem

Wabna i wdziękiem; jaka jój rodzina:
Ja nie wiem.

AMALA.

Ale ja wiem, i odpowiem:
Córka Waltofa.

OTTO.

Co? rokoszanina?
Zdrajcy? fałsz!

AMALA.

O nie, władzco miłościwy,
Ewangeliczna prawda.

OTTO.

O! nie dziwy,
Z krwią się parając, shańbioną dwukrotnie,
Rycerz się w tchórza przerodził sromotnie;
Waltofie! czyliż jeszcze z pod mogiły
Na najdzielniejszych ziać będzie dech zgniły,
Serca twojego?

(z ironią).

Odstąp, gwiazdo młodzi.
Za wierność, której wymownie dowodzi
Świeża miłośćka, dzięki ci składamy.

(orszak wyprowadza Maryą z sali).

Stadło odstępcze! takie właśnie stadło,
Przed wieki, rajskie pogwałciło bramy,
A cześć, niewinność biała, wstyd—przepadło,
Wszystko przepadło. Tę dłoń, śnieżnej bieli,
Ale dziedziczném pokalaną błotem,
Puść mi natychmiast.

AMALA.

Chyba wraz z żywotem.

OTTO.

O! któż mnie zbirem przezwać się ośmieli,
Jeśli cię zgniotę? hej, kajdan; niech skona
W więzach... A co on tam ciśnie do łona?
Nowy bunt?

HERMAN.

Władzco, to jest plama święta:
Rana, żelaznym kłem wroga wycięta.

OTTO.

Jakto?

HERMAN.

Są ślady, jak parła krwi fala.
Blizna trwa jeszcze, (o przekłeta masko!)
Przysiędzbym gotów, najsroższą niełaską
Dotknij mię, panie, jeśli nasz Amala,
Nie jest ów rycerz Aymu, zagubiony,

OTTO.

Bodaj tak było; ten brylant z korony,
Wyrwałbym gotów; ależ „Białe ręce?”

AMALA.

Moje to godło: dwie dłonie dziewczęce,
Srebrne, do modłów złożone; spojrz na nie,
Pod takiem godłem, Najjaśniejszy Panie,
Ile duch mocen, krew młodością czerstwa,
Broniąc twojego tronu aureoli,
Dziko walczyłem.

OTTO (*ściskając go*).

O! perło rycerstwa.

AMALA.

Przyrzekłeś, godny cesarskiej wszechwoli
 Dar dla zwycięzcy. Oto dzień spełnienia:
 Nad tym człowiekiem, który w ślepym szale
 Podjął się stawiać siła mojej chwale,
 Panie, wyrzeknij słowo przebaczenia.

OTTO.

Przebaczam, chociaż taki czyn, niestety,
 Był sfałszowaniem rycerskiej monety.
 Arnulfie, przemów; jakiemiż zaloty
 Zły duch cię skusił, żeś mu w serca błonie
 Dał usłać gniazdo? Bogu twój istoty—
 Honor oddałeś mu w zastaw?

ARNULF.

Ottonie!

Ja, jednem słowem, rozwikłam tę przędzę,
 Gdy je wyrzeknę, społem zawołacie
 „Dosyć.”

OTTO.

Wyrzeknij.

ARNULF.

Wyrzekam.

(wpada na ostrze swojego miecza).

SYFRYD.

O! bracie.

ARNULF.

Władzco, oszczędzaj mą pamięć.
(umięra).

OTTO.

Oszczędzę.

Usuńcie trupa; niech potwarz nie plami
 Czei samobójcy; walczył z poganami,
 Aż po dzień zgonu był nieskazitelnym.
 Arnulfie, pokój twym cieniom śmiertelnym.

(wynoszą Arnulfa; marsz pogrzebowy).

Już dość żałoby; w pośród łez przymierza,
 Jedna zbyteczna nad tak smutną klęską
 Gniołłaby serce zmarłego rycerza.
 Wróćmy na sądy; niech ucztę zwyciężką
 Godna wojaków zakończy otucha.
 Zbliź się Rajnoldzie, muszę ci do ucha
 Szepnąć mistyczne słówko.

HERMAN (*do swoich*).

Jak myślicie?

Czy Rajnold kocha?

WELF.

Kocha?

HERMAN.

Mianowicie,
 Pewną... dojrzałość? Jeśli tak, to zginął;
 Otto na piękne dzisiaj się zawinął
 Do rozgrzészienia. On tu pokryjomu,
 Nie spowiadając, w połowie pokuty
 Gotów go zbawić; a! to dzień zatruty,
 Plagą hymenu: chciałbym już być w domu.

WELF.

Widzisz go, teraz skinął na Ulrycha.
 I temu słodzi, a wciąż się uśmiecha.

HERMAN (*z przerażeniem*).

Ot, aż mu wargi od śmiechu się krają;
 Oj źle—chłopaczki, wielkie szczęście macie,
 Że tu na dworze, między kobiet zgrają
 Mało piękności doparnych.

OTTO (*do Hermana*).

Kamracie,
 Nic nie wiesz, jaki gościniec posiadam
 Dla ciebie.

HERMAN.

Panie!

OTTO.

W téj chwili spowiadam
 Von Kunigundę.

HERMAN.

Niech sumienia znoje
 Ulżą jój duszy.

OTTO.

A cóż mówi twoje?
 Alboż ty kiedy patrzysz w głąb sumienia?
 Pójdź, mój wiarusie, tu nie masz wykřętu,
 Wyznała skryte i dawne cierpienia.

HERMAN.

I przedawnione, jeśli nie do szczętu,
 Zbutwiałe, w skutek nadmiaru jój wieku.

OTTO.

Dość, dość trzpiotarstwa; zlituj się człowieku:
Toż ona mówi (może nie dasz wiary)
I o zakładzie miłości.

HERMAN.

O! stary
Bocian, klekotka. Niegdyś byłem skory,
W braku wabniejszych, nosić jój kolory;
Ale dziś kwita, starko młodoluba.

OTTO.

Weż, jak swą własność.

HERMAN (*z pośpiechem*).

A jabym nadmienić,
Że jestto raczej własność Belzebuba,
Uczciwszy uszy.

OTTO.

Jakżeśto ocenić
Tajne boleści serca!

HERMAN.

Te boleści,
(Licząc sumiennie, jak złoto w szkatule)
Trwają; dalibóg, z czubem lat czterdzieści
I z sutym czubem; a chroniczne bóle,
Są, jak podagra, co rzadko uśmierca.
Zaś moja głowa, to własność nietknięta
Cesarskiej Mości, lecz mojego serca
Ja pan i tak mi dopomagaj Święta
Urszulo i jój falangi panięce,
Ze go odbronię, albo z karkiem skreję
Jedno i drugie.

OTTO.

Ty, kutwo uparty,
Toż przecie mojej ciałochronnej warty
Głowę zostaniesz?

HERMAN (*klękając*).

Duszo wielkowladna!
Gdybym miał tyle rąk, co Argus oczu;
Do cudzych bogów nie poszłaby żadna
Na służbę.

OTTO.

Służ więc, nie gnij na uboczu.

Amalo, zbliż się.

(Amala zbliża się, inni odstępują).

Pierwszy w pierwszych rzędzie.

Przyjm do rąk wiernych tajemne orędzie,
Księżna miłuje w tobie męża sławy,
Wielbi żołnierza. Lecz u jój podnóża
Kłęczy mąż drugi, to błąd z obawy,
To znów rumiany, jak prowancka róża,
Gdy ją maj pierwszym tchem wiosny owionie:
Ty mnie pojmujesz.

AMALA.

O! wielki Ottonie,
Pojmuję, ale zrozumieć nie mogę;
Dufaćbym pragnął, nie śmiem, czuję trwogę;
Czy tu myśl władcy rysów nie przyczynia.

OTTO.

Nie—jestto dusza skryta jak świątynia,
Z zewnątrz jój stróżą mury, drzwi i kraty;
Dumna, wielmożna, czuć w niej szczerp królewski;
Lecz głąb' szlachetna, z przejrzyością łezki;
Sięgnij dna myślą, dojrzysz świat bogaty,
Żyzny, jak deszczyk, co to letnim ranem,
Niby ci szepcze „podemną są kwiaty.”
Ach! czemuż to ja nie jestem kapłanem
Owój świątyni, a w butnym jój duchu
Niéma dla serca mego posłuchu?

AMALA.

Da Bóg, odwaga, mój książę, odwaga.
Młodą jest, miłość jój co dzień się wzmaga
I będzie waszą.

OTTO.

Uważ na ostatek:

Nie ją obwiniam, bo kiedyś to kwiatek
Miłości rozkwitł bez słońca? jam korny,
Czuły; lecz wrószszy w brząk mego szyszaka,
Nie mogę z siebie otrząsnąć żołdaka.
Amalo, jesteś i rycerz i dworny
I dziewośćbie rokowałeś dla mnie;
Na dźwięki mowy kochania, tyś pierwszy
Roztwarł jój serce, mówiąc mi nie kłamnie,
Że ich słuchała.

AMALA.

Służebnik najszczęsniejszy

Był twym tłumaczem.

OTTO.

I do dna znasz tonie
Serca kobiety. Więc mi się nie wzdragaj,
Rycerzu, bracie mój, mój współ-Otonie,
Broń mię raz jeszcze, raz jeszcze ubłagaj,
Aby wierzyła, że pod tym pancierzem
Cicha tchnie słodycz, lecz dopowiedz z bólem,
Ze gdyby Otto przestał być żołnierzem,
Nieszczęsny, przestałby musiał być królem.

AMALA.

Czyż to poselstwo spełnić mam istotnie,
Ja? Panie! serce nie dobrze tu wróży.

OTTO.

Bracie, bez ciebie wszystko bezpowrotnie
Stracone; z tobą zażeganie burzy,
Zwycięstwo, bo tak *moje* serce wróży.
Pójdźmy!

(Otto odchodzi, opierając się na ramieniu Amali).

KONIEC AKTU II-GO.

(Dokończenie nastąpi).

WSPOMNIENIA MOJE

O DZIAŁANIACH WOJENNYCH KORPUSU POD DOWÓDZTWEEM GENERAŁA JANA
HENRYKA DĄBROWSKIEGO, W ROKU 1813 *).

PRZEZ

Prota Lelewela.

Zbliżał się dzień 15 sierpnia, dzień imienin cesarza, zwykle w wojsku uroczyscie obchodzony. Z dniem tym kończyło się zawieszenie broni, należało więc uprzedzić na to oznaczony dzień; w dniu 10-tym we wszystkich korpusach obchodzone było to wojskowe święto. My obchodziliśmy go w Zerbst nabożeństwem, obiadem urzędo-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za styczeń r. b.

wym, fajerwerkiem, illuminacją i balem. Uroczystość tę podzielali z nami mieszkańcy miasta. Do szybkiego walca trudno było namówić Niemki, a zupełnie nieudawała się próba mazura.

Z dniem 16 sierpnia na wszystkich punktach rozpoczęły się kroki wojenne. Lewe skrzydło wielkiej armii, złożone z czterech korpusów: Oudinota, Regniera, Bertranda, i korpusu jazdy Arighi, księcia Padwy, wyruszyło na nieprzyjaciela, który zastępował Berlin. Wojsko to składało się z Prusaków, korpusu jazdy rosyjskiej Czerniszewa, i z wojsk szwedzkich; wszystkiém tém dowodził następca tronu szwedzkiego Bernadotte, zaszczycony przez Napoleona stopniem marszałka państwa i tytułem księcia Ponte Corvo, który w téj chwili niewahał się krew bratnią przelewać i przyłożyć ręki do zguby Napoleona, a klęski ojczyzny.

Pod Trebbin odniósłszy korzyści korpusy francuzkie, staczają bitwę pod Grosberren na widoku mając Berlin. Mocno porażeni, śpiesznym marszem w odwrocie dążą pod Wittemberg, i zbierają się pod Torgau.

Teraz w całej téj pozycji za Elbą, nasz tylko korpusik pozostał, wystawiony przeciw takim nieprzyjacielskim siłom.

Napoleon oceniając zdolności Dąbrowskiego tak w prowadzeniu małych wojen, jako téż przezorność i ostrożność jego, powierzył jego pilności tę przestrzeń od Wittemberga ku Berlinowi. Okrywanie Wittemberga i prawego brzegu Elby, było więc zadaniem Dąbrowskiego. W Wittembergu dowodził generał Lapoype z nielicznym garnizonem, zaledwie w obrębie swoim mógł się zachowywać.

Dąbrowski małemi siłami swojemi odgrywać miał tę poważną rolę. Aby więc o sobie w nieprzyjacielu wyrobić większe przekonanie, większe okazywał siły, w kilku punktach robił silne rekonesanse, oraz liczne patrole, które ciągle ścierały się z nieprzyjacielskimi, i zwykle z korzyścią naszą. Mógł generał polegać na doświadczonych oficerach, którym powierzał te wyprawy, a którym zalecał ostrożność, aby się nie ryzykowali na zbyt śniate kroki, nienarażali niepotrzebnie żołnierza. Każda strata chociażby jednego, już generała do gniewu pobudzała. Powtarzał nam, że ma to od cesarza mocno poleconém.

Z rekonesansów przypomniny znaczniesze. Bieliński Julian, naówczas dowódzca batalionu 4-o pułku, stoczył silną walkę z przemagającym nieprzyjacielem pod Belzig, wstrzymał ataki i w całości do obozu powrócił. Rekonesans, którym dowodził pułkownik Kostanecki, z batalionem podpułkownika Skrzyneckiego pod Wettinem, i Rudnickiego Józefa z pułku 4-o piechoty na Juterbok, poparty przez generała Krukowieckiego, godzien téż wspomnienia.

Kostanecki obskoczony przez hurmę kozaków Czerniszewa, w otwartém polu w czworobok zwinąwszy swoją kolumnę, długi bój toczył. Na odgłos przeciągłych strzałów, pośpiesza Żółtowski z kilku kompaniami; lecz zanim na plac boju podążył, ogień ustał. Zastaliśmy

Skrzyneckiego spoczywającego w lasku brzozowym, Kostaneckiego bez życia.

Kostanecki wielce był kochany od żołnierza ¹⁾; miał on teraz przy sobie do pomocy trzech ułanów: ci rozżaleni postanowili zemstę. Widząc w pewnej odległości grupę oficerów nieprzyjacielskich, spodziewając się w tém gronie Czerniszewa, postanowili go złowić, a korzystając z kurzu piasku i dymu strzałów, puścili się ku nim, i złowili... ale nie Czerniszewa.

Był nim świetnie ubrany w mundurze koloru niebieskiego, suto srebrem haftowany, adjutant króla pruskiego, jako dodany od króla amator. Rannego oddano do Wittemberga generałowi Lapoype. Względnie bardzo traktowany, później nieodpłacił się. Z forpocztów naszych przywieziono ujętego włościanina, przy którym znaleziono pisma kompromitujące pana adjutanta. Pochodził on z Berlina, z rodziny znanój Dąbrowskiemu. Generał nie zrobił szkodliwego dla niego użytku.

Rekonesans Rudnickiego Józefa z dwiema kompaniami pułku 4 piechoty i szwadronem jazdy Łagowskiego, przebył ostrzejszą walkę z Prusakami pod Juterbokiem. Obskoczony przez przemagającą siłę nieprzyjaciela, walecznie ją odpierając, utrzymał się do przybycia w pomoc generała Krukowieckiego. W walce tej, tak on Rudnicki, jako i kapitan Śmigiełski i kapitan ułanów Dunin Seweryn, odznaczyli się mężstwem i wytrwałością. Obszerny opis tej wyprawy przez samego dowódcę skreślony, jest w tomie III *Cmentarza Powązkowskiego*, wyd. K. Wł. Wójcickiego.

Takimi to śmiałymi działaniami Dąbrowski powstrzymywał postęp nieprzyjaciela.

Posterunkowe utarczki, flankierowanie jazdy codzienne bywało. Rosyane z naszymi spotykali się często z butelką w rękę. Razu pewnego kozak powitał Dunina, jako znajomego z ojczystego domu na Ukrainie, i na pamiątkę udarował batożkiem. Później wydany był rozkaz, aby niedozwalać tych zaprzyjaźnień.

¹⁾ Kostanecki Telesfor należał poprzednio do pułku jazdy, utworzonego w roku 1796 w legionach włoskich. Pułk ten odznaczał się odwagą we wszystkich wojnach, a szczególnie w wojnie hiszpańskiej przeciw Hiszpanom i wojskom angielskim. Znali go dobrze Hiszpanie, nie darmo zwali go też *los infernos*, postanowili więc koniecznie zagładę tego pułku. Pułkiem dowodził waleczny Konopka. W osiem pułków jazdy otoczyli go Hiszpanie, wśród wąwozów; na czele swego pułku Konopka, z nim szef Ruttie Andrzej, z pałaszem w rękę zdołali się walecznie przebić, ale tylko z kilku ułanami. Pułk obskoczony przez przemagające siły, już uważany był za zupełnie stracony, lecz szef szwadronu Kostanecki, prowadząc bój do ostatka, pułk ocalił. (Czytaj o tém *Wspomnienia wojskowe* Wojciecha Dobieckiego, str. 255, i *Pamiętniki moje* ²⁾ *Hiszpanii* Kajetana Wojciechowskiego, str. 45).

Wkrótce po walce Rudnickiego, w tój samej miejscowości pod Juterbokiem i Denewitz w dniu 6 września marszałek Nej stoczył bitwę. Po owęj przegranej bitwie przez Oudinota pod Grosbeeren, Nej, jako dowodzić mający całemi północnej armii ruchami, przybył do Torgau, a mając wyruszyć przeciw nieprzyjacielowi, prosił i otrzymał od generała Dąbrowskiego w pomoc batalion pułku 2-go i szwadron ułanów Biernackiego, które poprowadził pułkownik Siemiątkowski. Nej ufał więcej tój słabej eskorcie, aniżeli czterem korpusom, złożonym z rozmaitych oddziałów wojsk zwątpiałych wypadkami poprzedniami, i nie zawiódł się wcale. Przed rozpoczęciem bitwy, świadkiem był sławnej szarzy ułanów naszych na piechotę pruską w czworobokach, o której Nej w raporcie do cesarza tak chłudnie pisał, gdy przytém posyłał do głównej kwatery dowódcę brygady jazdy westfalskiej, który niewykonał rozkazu, nie poszedł w pomoc ułanom naszym w ich nierównęj walce.

Świątyn ten czyn za wiele nas kosztował: z całego szwadronu powróciło 13 ułanów z pułkownikiem Siemiątkowskim. Reszta na placu boju z szefem Biernackim, kapitanem Sucheckim i innymi, poległa. W czworobokach mnóstwo legło Prusaków od lanc i szabel ułanów, ale to nie nagrodziło straty naszych.

Następnie bitwa przegrana. Wojsko w nieładzie uprowadza Nej do Torgau. Gdyby nie batalion nasz, klęska mogła być boleśniejsza. Nawet bagaże marszałka stracone, których ocalenie zawdzięczał marszałek kapitanowi Zielińskiemu Karolowi.

Po przegranej tój bitwie i odwrócie wojsk Neja pod Torgau, nieprzyjaciel silniej na nas następował; to zmusiło Dąbrowskiego do opuszczenia prawego brzegu Elby. W Wittembergu przebyliśmy rzekę i stanęli w Wörlitz.

W owym czasie miejsce to wslawione było precudnym ogrodem. W pośród niego noc spokojnie spędzona, nie bez marzeń, gdy przeszła tęskna myśl do ogrodów w ojczyźnie jak Puławy, Arkadya, a przytém przypomnieli się zakątek domowy, a rodzice, krewni, przyjaciele...

Z Wörlitz wyszedłszy i pokazawszy się nieprzyjacielowi, który zajmował Dessau, wracamy do Bitterfeld. I znowu atakujemy nieprzyjaciela w Ragu, ten usuwa się do Dessau; więc my znowu do Bitterfeld do Dölitsch.

W czasie tym marszałek Nej, w inném miejscu szczęśliwszy, poraził Prusaków i zajął most na Elbie, przy ujściu Elstery. Na takich demonstracyach wojennych na naszej północnej linii zeszedł czas do końca września.

Miesiąca października pierwsze dni, podobnie. Zajmujemy znowu Ragu, atakujemy nieprzyjaciela w Dessau dla formy, w dalszych ruchach odpieramy atak nieprzyjaciela pod Pretsch. Z Dölitsch wychodząc przed słońca wschodem, Napoleon pokazał się przed kolumną naszą zdala; podniósłszy w górę znany kapelusz, głośnie powitał nas

słowami: *Bon jour Papa Dabrowski, comment te portes tu et tes troupes?* Dąbrowski podjechał na chwilę do cesarza.

Napoleon w zamiarze rozdzielenia sił nieprzyjacielskich, i aby zapobiedz ich koncentracji, daje wojsku dyrekcyą na Berlin. Nim z lewego brzegu mieć będzie most na Elbie pod Rosslau, na prawym brzegu wojsko Neja zwalczać ma nieprzyjaciela. Pod Wittembergiem, najprzód korpus nasz w dniu 11 października wieczorem przechodzi most na Elbie. Pułk 4 niebawem w nienacka napada na Prusaków, otaczających fortecę. Noc nadzwyczajnie ciemna, silny wiatr, pomocą im były. Przy wschodzącym słońcu, z wysokiego wzgórza pod Appollendorf ujrzeliśmy w śpiesznym odwrócie wojska pruskie. Idziemy za nimi: Żółtowski prowadzi flankierów, wołyżerów, przy nich Szweryn, Konarski z artylerją; reszta piechoty w kolumnie. Jazda po naszej lewej stronie brzegiem Elby. Przybywa nam sześć armat artylerji konnej saskiej. Kraj otwarty, równina bez przeszkód, ztąd wielka korzyć nasza. Ścigamy więc nieprzyjaciela z ogniem działowym i karabinowym, wielu niezdolnych podążyć Prusaków wpada w ręce nasze. W Koswig oddział nieprzyjacielski zdawał się chcieć nas powstrzymać. Gościnne nasze Księżne Anhalteńskie mogły mieć bez narażenia się piękny wojenny spektakl. W lot wyparty nieprzyjaciel, a po domach i podwórzach zbierano jeńców. Do półtora tysiąca jeńców tych odprowadzało cztery kompanie do Wittemberga.

Tak pędziło się nieprzyjaciela, nie dając sobie ani jemu na chwilę odetchnienia. Jeżeli my szybko ścigali, on równie szybko przed nami uchodził.

Ze zmrokiem stanęliśmy pod Rosslau. Już i tu nieprzyjaciela nie było. Nawet Szwedzi, co miasto dotąd zajmowali, znikli, pozostawwszy na rynku jedną haubicę, jednego zaspanego pastora, ale przede wszystkim bogato zaopatrzonego magazyn, a wytworny, godzien samego Bernadottego. Chleb, séry angielskie w wielkich kregach, a nawet wyborne szynki. A do tego i okseft przedoskonałego araku. Prócz tych żywności, sporo spodni z sukna szaraczkowego, bardzo przyzwoitego. Spodnie przydały się żołnierzowi, ale w téj chwili więcej przydały się wiktuały; po całodziennéj nieustannéj pracy, jak apetyt, tak téż i pragnienie dobre było. I mnie téż dostało się wypełnić manierkę wybornym trunkiem.

Posilwszy się temi szwedzkimi specyałami, z generałem Żółtowskim zajęliśmy na kwatery trawnik w pobliżu stodołki, w której zaległ dowódzca Dąbrowski.

Niedługiego potrzeba było czasu, aby ściągnąć sen na powieki nasze, przygotowane do dłuższego wypoczynku, a tu zaledwie minęła godzina, budzi mnie grzecznie grenadyer i mówi: „panie adjutancie, do generała.” Dąbrowski otrzymał rozkaz do pilnowania budowy mostu, a w razie potrzeby niesienia pomocy, aby most ten równo ze dniem był ukończony. Cesarz z wojskiem ma go przebywać. To powiedziawszy Dąbrowski dodał: „nie chcę i nie mogę użyć do tego *moich*

dzieci (bracia Mycielscy), tobie powierzam wykonanie.“ „Gdzie, w którym miejscu buduje się ten most?“ zapytałem generała. „Ja ci tego powiedzieć nie potrafię, przecie go znajdziesz.“

Siadłem więc na koń, noc nie ciemna ale czarna; powierzam się instynktowi poczciwego deresza i losom, w Imię Boże, upatrując rzadkich obozowych ogników! Przy ogniskach śpiący lub nie śpiący żołnierz tyle wie co ja. Wpadam nareszcie na kolumnę jazdy kirysierów w marszu, zaledwie że ją nie rozbijam, tak nic nie widać. Jest to korpus Sebastianiego, który idzie do Aken w dyrekcyi Berlina, tam gdzie my pewnie jutro pójdziemy. Nareszcie, przyjazne losy, po świetle większych ognisk, doprowadziły mnie do pożądanego celu. Oficer wyższy wojsk saskich, inżynier czy saper, zapewnił, że nawet wczesnie przededniem most będzie ukończony. Powracam zatem, koń tylko wie którądy. A ponieważ generał polecił zdanie sobie raportu, więc zdaję i uzyskuję dobre słowo: „dziękuję ci, idź spać;“ usłuchałem więc i śpię. Lecz nie wiem czyli godzinę całą snu użyłem, zbudzony, zawołany stałem przed generałem a on mi mówi: „widzisz adjutanta marszałka Neja, przywiózł on rozkaz aby most ten został spalony a to natychmiast. Mój Lelewelu, ruszajże śpiesznie, bo na to trzeba czasu, a to już bliżej dnia, a już zarówno ze dniem niema być mostu, a powracaj, bo i my ze dniem wyruszamy.“ Rozporządzenie to dokładnie wykonałem, powróciłem, a gdyśmy wyruszyli, generał z huku pękających materiałów zapalnych miał przekonanie o spełnieniu rozkazu co do zniszczenia mostu.

Tak zamiast do Berlina, jak sobie obiecywaliśmy, wracamy do Wittemberga. Teraz mogliśmy podziwiać: co może, do czego zdolny barbarzyńiec Niemiec. Kilkanaście dni wystarczyło im do zniszczenia oraz spalenia bratniego grodu, tój kolebki i grobu ich Lutra Marcina, a przecież sami Lutry Prusaki to byli.

Niedosyć mając własnych granatów, bomb, przyzwali pomocy rakiemników angielskich z ich kongrewskiemii racami. Spalili miasto swoje, miasto niewinnie cierpiące. Niedosyć, że miało fortecę, niedostatek, garnizon francuzki, że wały i mury jego ostaniały nieprzyjacielskie wojsko. Tu poraz pierwszy okazała się użyteczność rac tych na zniszczenie. Tak długo jak korpus nasz okrywał Wittemberg, stało miasto całe.

Cesarz świadkiem był tój naszej wyprawy, z przeciwnego brzegu Elby przyglądał się i podziwiał, jak to nam mówił przysłany z rozkazem, aby Dąbrowski podał imiona w akcyi tój zasłużonych. Dopełnił tego generał i mnie na liście zamieścił.

Kiedy Napoleon odparłszy Blüchera zajął most na Muldzie, byliśmy obok wojska saskiego. Ostrzeżony cesarz o szerczącym się złym duchu w wojsku saskim, wezwawszy oficerów, do koła, przedstawiał im obowiązki względem ich króla a jego alianta, a miał dodać, że kto niechętny sprawie, ktoby nie chciał pozostawać w obecném położeniu, niech raczćj usunie się jawnie. Oficerowie protestowali przeciw nie-

godnym zarzutem, oświadczali niewątpliwą życzliwość dla cesarza a wierność królowi.

Skośmy przeszli na lewy brzeg Elby, nieprzyjacielskie wojska wraz z nami następowały, i znowu na przedzie wojsk fancuzkich odpieramy zachodzącego nieprzyjaciela; zajmujemy Kemberg: nieprzyjaciel usuwa się do Dessau, dnia 15 stanęliśmy pod Düben, a nazajutrz 16 maszerujemy do Lipska.

I począł się dzień 16 października i ta walka, która ostatecznie rozstrzygnąć miała los tegorocznej kampanii Napoleona, którą toczyli monarchowie z Napoleonem, Francją i Polską.

Równo ze dniem wyruszamy z pod Düben. Już od dnia wczorajszego jęczała ziemia pod odgłosem huku dział. Dzisiaj w marszu słyszymy to bez przerwy, coraz huczniej w miarę przybliżania się; nakoniec około południa stajemy w bliskości Lipska. Niebawem odbiera Dąbrowski *breveta* na ozdobę Legii honorowej nam udzielone, a wydane przed czterema dniami to jest 12 w Düben, a przytém rozkaz odebrania wsi zajętej przez nieprzyjaciela. Całą siłę piechoty naszej prowadzi Dąbrowski do walki. Pierwszy który pada, jest waleczny Lewartowski, porucznik 2-go pułku, ze świeżo otrzymanym *brevetem* w rękę, i ztąd w najwyższém uniesieniu ducha wyzionął: szczęśliwa to chwila dla żołnierza!

Wyparli nasi ze wsi nieprzyjaciela, gdy z za wsi przywitał nas ogień kartaczowy i masa strzelców rosyjskich w rozsypanym biegu uderza na nas.

Wśród wsi, w której żołnierz nasz dzielnie ogniem karabinowym odpowiada, Żółtowski daje mi rozkaz żądania pomocy od marszałka Marmont, do którego pozycyi nasza dotyka. W odległości od nas kilku staj, artylerya w jednej linii zajmowała wyniosłość nad szeroką doliną, zdrużej strony na wyniosłości, linia armat nieprzyjacielskich. Na całej tej linii szedł ogień działowy. Przebiegłszy tę całą linią, zastałem marszałka przy ostatniem dziale. Potrzebę naszą w jaskrawych przedstawiłem kolorach; nic nie pomogło: dostałem odprawę. Wszystko co ma jest u niego użyte, pomocy więc dać nie może. Słowa te jego zaskoczyła kula, która wryła się w ziemię i piaskiem go obsypała. W powrotnym pędzie mijam marszałka Neja, który w swoim piaskowym na wierzchu surducie, przez lunetę ruchy nieprzyjaciela śledzi, a wśród tej obserwacji od kuli działowej koń pod nim pada. Przy marszałku strzelec konny, prowadzący gotowego konia, podaje, na tego marszałek wsiadł, i zwolna dalej jedzie.

Kiedy wpadam do wsi, już nasi z nięj wyparci. Przyjęty kilku strzałami udało mi się wrócić w stronę do swoich całemu, ale deresz przypłacił sprawę życiem, ugodzony kulą.

Wśród gradu kul i kartaczy, Malinowski dowódzca 14-go pułku, trzyma dobosza aby bił *raliement*. Nieco dalej Młokosiewicz leży z zgruchotaną nogą: żołnierze unoszą go ¹⁾.

¹⁾ Młokosiewicz Franciszek, ten bohater, obrońca forteczki nadmor-

Tu pada Cichocki pułkownik 4-go pułku, kula przeszła głowę od ucha do ucha. Krzyżanowski kapitan zrywa trawę, zatyka otwory, aby wstrzymać wybuch krwi; z dwoma grenadyerami kładziemy na związane karabiny, i unoszą go z pola bitwy ¹⁾.

Widzimy w dali jak podpułkownik Trembicki w tył przegięty, z ręką prawą na plecach, ujeżdża z placu boju; a więc ranny, a Jan Nepomucen Siemiński kapitan z batalionu jego wskazując nań palcem, do nas woła: „patrzcie, Trembicki ranny w mantelzak.”

A wielużto jeszcze padło w tym zaciętym boju, których pamięć nie zdołała zachować.

Dosiadłszy szczęśliwie klaczy, którą mi poczciwy Jan podał, mogłem dopiero odnaleźć Żółtowskiego, który wdłuż całej linii bojowej w najcieplejszym ogniu zagrzewał przykładem żołnierza: tam zdałem mu sprawę z niepomysłnej wyprawy.

Tę straszną półdzienną walkę wytrzymałszy, zwolna ustępując z placu boju, nienapierani, w końcu stanęliśmy na miejscu spoczynku, i tylko od strony Marmonta dochodzą nas złowrogie odgłosy; to on ze stanowiska spędzony, i jak mówiono, utracić miał coś z armat.

Prawie do połowy mając zmniejszone szeregi, głęboką czuliśmy boleść ze straty tylu walecznych braci. Boleliśmy równie nad tymi, co pod pozorem odniesionych ran lub cierpień na zdrowiu, usunęli się, aby wśród murów Lipska szukać ocalenia: szczęściem nie tak wielu takich było.

Przenosiła się myśl na dzień jutrzejszy, czy podobnie mamy się obliczać, kto zaś pozostanie koutrolerem? Aleśmy pozostawali z tą ideą niezłomną i z tą pewnością, że z takim wodzem a przedsięwzięciem, jak jest nasze, zwycięzko wyjść musimy.

Równo ze dniem, a był to 17, wyruszamy ze stanowiska naszego; przez godzin dwie znosimy ataki nieprzyjaciela bez strat z naszej strony: mówiono, że w boju tym poległ Niemierowski, generał od picchoty korpusu Sakena. Było już dobrze z południa, gdyśmy stanęli pod samym Lipskiem; zajmujemy bramę Halską, ogród po jej lewej stronie, będą-

skiej Fuengerola w Hiszpanii w r. 1810, który nielicznym oddziałem pułku 4-go Księstwa Warszawskiego nie tylko zdołał obronić tę miejscowość przeciwko flocie angielskiej atakującej go od morza, ale i równocześnie licznemu oddziałowi angielskiemu pod dowództwem Lorda Blainlaj. Samego pana Blainlaj, z całym jego oddziałem wziął w niewolę. Opis szczegółowy czytać można w *Bibliotece Warszawskiej*, tom I, 1842 r., str. 515 i w tomie II str. 241.

¹⁾ Krzyżanowski Seweryn urodzony w Kijowskiem 1789 r., należał do wojsk Księstwa Warszawskiego w Hiszpanii wojujących (pułk 9 picchoty). Odbywał tam wszystkie kampanie i następnie w latach 1812, 1813 i 1814. Gwiazdą Legii honorowej i krzyżem *Virtuti militari* nagrodzony. Staraniem jego pułkownik Cichocki z największego niebezpieczeństwa w bitwie lipskiej wyrwany, uprowadzony i wyleczony został. Po r. 1815 był podpułkownikiem w pułku strzelców gwardyi.

cy ponad brzegiem rzeczki Party, która przedmieście to otacza. Po stronie prawej dotykać mamy korpusu generała Regnier, w którym Wirtembergi i Sasi. Dąbrowski daje mi rozkaz zniesienia się z generałem Franquemont, który dowodził wojskiem wirtemberskiem i polecił oparcie o niego naszego prawego skrzydła, a to stanowił pułk 4-y, obecnie pod dowództwem gros-majora Dobrogojskiego. Wojska tam żadnego nie spotykam. Żołnierz pokazuje mi dom, w którym [znajduje się pułkownik książę Hohenloe. Zapytuję pułkownika o wojsko, o generała Franquemont, a on mi mówi: „Daremniebyś pan szukał generała i wojska jego, hańbą okryci jesteśmy, nie należą już oni do nas, tak samo, jak Sasi.” Po wiadomości téj pułk 4-y, zająwszy bramę Halską, rozciągnął się dalej, oczekując na oddział, któryby zajął opróżnioną pozycyą.

Brygada 18 lekkiej jazdy Krukowieckiego, złączona z brygadą jazdy francuzkiej generała Fournier, zastąpiła ruchy naszej piechoty. Dzisiaj Dąbrowski dowiaduje się, że Krukowiecki samowolnie opuścił stanowisko, przeszedł przez miasto do księcia Poniatowskiego. Krukowiecki, jak to wyżej się rzekło, umiał wkraść się w zaufanie Dąbrowskiego, a znał antagonizm dwu tych wodzów; kiedy teraz Poniatowski, tak wysoko położony jest u cesarza, że go marszałkiem państwa mianował, jego więc raczej niż Dąbrowskiego trzymać się należy. Czyn ten zmartwił, rozdrażnił uczucia Dąbrowskiego, a osłabił oddział generała Fournier.

Po rozlokowaniu wojska, poszedłem w środek miasta, aby co pożywnego dla Żółtowskiego i dla siebie uzyskać i tam na Brühl-Strasse spotkałem szefa batalionu Trembickiego z pułkownikiem. Wypytywali się troskliwie, co się z nami dzieje i o osoby, które ich więcej interesowały. Dzięki Bogu, obaj zdrowi, cali.

Cichość, która panowała przez dzień ten 17, uważaliśmy za bardzo fatalną; mówiono, że cesarz zmęczony nareszcie, w niezwykłym stanie sennym spoczywa, a tymczasem nieprzyjaciel korzysta, ściągając spokojnie swoje ogromne masy, przygotowuje się do stanowczej walki.

Tuż przy bramie Halskiej po stronie jej lewej stał budynek piętrowy, naksztakt altany w mur pruski zbudowany, pusty: tam rozłożyliśmy się z Żółtowskim.

Dzień 18-ty z rana, Żółtowski wychodzi i woła: „Wstawaj, ósma blisko: powitają nas.” Zerwałem się z podłogi, a za ledwie zeszedliśmy na dół, już na nas wita pierwszy strzał z działa. W pośpiechu zapomniałem, że we framudze pozostała manierka, w niej resztki zdobyczy z Roslau. Powracam więc po depozyt mój i ledwie co wziąłem go na siebie, kula mur pruski ławo łamie, przelatuje wedle mnie, robi drugi wyłom w przeciwległej ścianie i idzie sobie dalej w świat; nie było co dłużej tu robić, bo wkrótce przejdzie tędy druga, a za ledwie jestem na dole, druga już łamie te wątle ściany. Powiedziałem sobie: kiedy te ominęły z początkiem dnia bitwy, więc i przez dzień cały całym się będzie.

Głównym punktem do bronienia była brama Halska, zatarasowana, w niej otwór na działo jedno z sześciu naszych i furtka gotowa do wyjścia. Po lewej stronie ogród, przed nim rzeczka wązka, głęboka, ocembrowana; przystępu do niej broni dział pięć i karabiny pułku 2-go i 14-go. Czwarty pułk broni powierzonej mu bramy i muru na prawo bramy. Pozycki takięj Czwartaki nauczyli się bronić w Hiszpanii.

Przed frontem naszym płaszczyna otwarta ciągnie się do Golis. Jestto miejsce spacerów, tu się często bywało w czasie zajmowania kwater w Lipsku, tu mnóstwo stoliczków, jak zwykle w Bergarten obśiadały damy i mężczyźni publiczności tutejszjęj.

Trochę na lewo w oddaleniu przed frontem naszym był duży gmach fabryczny, obecnie na lazaret zamieniony, w nim pełno rannych jeńców wojennych. Gmach ten zajęty przez oddział pułku 14-go, stanowił ważny obronny punkt pozycyi naszjęj.

Od samego rana na całą linią naszą z kilkudziesięciu dział rzucał na nas pociski nieprzyjaciel: jakże słabo sześć dział naszych mogło na nie odpowiadać. Oddział 14-ty w lazarecie skutecznie prażył nieprzyjaciela, lecz zmuszeni do ustąpienia, biegiem przybyli do linii naszjęj. Nieprzyjaciel zajął ten gmach i bardzo korzystnie użytkował z niego, kulki jego sięgały szczególnięj na kanonierów wymierzane. Dąbrowski zniewolony był zapobiedz temu, kapitan Konarski puszczo-ny granatem gmach zapalił i mieliśmy szczegolne widowisko wyskakujących cknami z piętra jegrów. Jegry pędem rzucili się na nas; wstrzymani zostali przed rzeką, gdy piechota zakryta gęstwiną drzewa ich prażyła. Konarskiemu zrobił Dąbrowski uwagę, że niedosyć energicznie działa nasze odpowiadają nieprzyjacielowi; na to Konarski: „Trudno aby sześć naszych wydołać mogły 30 co naj-
mnięj nieprzyjacielskim, a przytęm szcędzić należy naboji, te są już ku końcowi.” Dąbrowski wysyła mnie do parku. Przez miasto wypada-ło je prowadzić. Okropnięszy to widok niż na placu boju: na całych ulicach, wsparci na ścianach domów, zalegali ranni wszelkięj broni, już opatrzeni i jeszcze nieopatrzeni, z oderwanými częściami ciała, cierpiący, konający, zaczęm ich nie pomieszczą w lazaretach już dobrze zapek-
nionych.

Kiedym przybył z amunicją, a zsiadłszy z mojęj klaczki, zdawałem sprawę Dąbrowskiemu z tego com zrobił i widział, kula armatnia odrywa nogę zadnią klaczy. Anizeli zdołałem zebrać myśl aby zdjąć z nie-
szczęśliwjęj kulbakę, mantelzak, druga nielitościwa w oczach moich zdruzgotała kulbakę i dobiła poczciwą hiszpankę, a mnie pozbawiła ostatnięj posługi. Niedługo potęm, z dalej stojących klaczy Żółtowskie-
go, siwjęj i wilczatjęj; wilczata poległa, a siwa mu pozostała.

Kiedy teraz stoję przy Dąbrowskim i oczekuję na jego rozkazy, jeger z za rzeczki tak dobrze wycelował, że kulka jego trafiła do celu. Rzecz mi generał: „Dostałes?” „Nie, generale.” „Przecież ja słyszał idź zaraz do Dybka, niech obejrzy, a przytęm powiedz żonice mojęj, że mo-
że być o mnie spokojną; nie narażam się, jestem w miejscu bezpiecz-

ném." „Jako, więc generał uczysz mnie kłamać?" a Dąbrowski na to: „No, no, idź i powiedz jej, co ja mówiłem ¹⁾."

Ogród, który stanowił pozycją naszą, był dzikiemi, wysokiemi drzewami gęsto pokryty; od strony miasta stał dom, czyli pałacyk piętrowy, w nim Dąbrowski miał kancelaryą, bagaże, żonę. Tam Dybek opatrywał rannych, tam widziałem tych, co nie chcieli być rannymi. Generałowej wyrazy męża dosłownie opowiedziałem. Z wizyi doktora okazało się, że kulka dobrze była wymierzona, bo naprost serca; że natrafiła na przeszkodę w grubą skórę ładownicy, w okucie metalowe na nią, odskoczyła i oderwała guzik od szlify. Chociaż nie było uszkodzenia, doktor namaczał, natarł czemś, tymczasem guzik u szlify przyszyto.

Krótko trwała cała ta operacya, pośpieszyłem do generałów, aby dzielić z nimi ich położenie. Pędziła mnie troskliwość o ich osoby, które wysoko bardzo szacowałem.

Ciągły ubytek ludzi, mianowicie kanonierów, zagrażał niepodobiestwem bronięcia pozycyi. Dąbrowski wysyła z tém do Neja, Mycielskiego Michała. Mamy już dwie armaty zdemontowane, przy jednę zastępują kanonierowie oficerowie pułku 2-go piechoty, kapitanowie: Klimkiewicz Antoni, Rembowski Józef, Wybranowski Roman, Pruszyński Jan. Dąbrowski z Żółtowskim nie oddalają się na chwilę, na ten ciągły morderczy ogień wystawieni; Dąbrowski nieporuszony, zgnębiony, jakby wyzywający przeznaczenie. Oficerowie błagają, aby się usunął z tak zagrożonego punktu. Z wiszorem w ręku Klimkiewicz rozgorączkowany wykrzyknął: „Ustąp ztąd, generale, na osobę Twoję niespokojni spoglądamy; odrywa nas to: możesz być generale pewnym, że i bez Twojego nadzoru, będziemy pełnić co nam honor nakazuje." Rozdrażniony tém generał, widząc w niezwykłym stanie walczącego kapitana, posądził go, że upojony trunkiem, a on żadnego nie używał.

¹⁾ Żona generała Dąbrowskiego z domu Chłapowska, której ojcem był Ksawery Chłapowski, niegdyś podczaszy, poseł na sejm czteroletni i do roku 1794 dowodzący oddziałem w powstaniu wielkopolskiem. Zaczyna ta pani zawsze gotową była dzielić trudy męża swojego. To jej do męża przywiązanie, o mało niespowodowało w roku 1812 katastrofy. Kiedy Dąbrowski nad Dnieprem, a Konopka w Słonimie formuje pułk ułanów gwardyi litewskiej dla Napoleona, Dąbrowska z Konopkową udają się do mężów. Przybywają pod Słonim w chwili, kiedy kozaki Czaplca z korpusu Tormansowa napadli na organizujący się pułk. Adam Sołtan oficer, w obronie pań tych stawiający, wraz ze wszystkimi kolegami popadli w niewolę, a generałowe zaledwie wstecznym szybkim marszem ujęć zdołały.

Nie zraziło to Dąbrowskiej, powtórnie się puściła, dostała się szczęśliwie do męża, a gdy ten raniony był w bitwie przy Berezynie, ona starannie wprowadziła go do domu.

Zbliżał się wieczór, z nim spodziewaliśmy się ostatniego na nas ataku, którego wytrzymać będzie niepodobna. Już na bramę Halską silniejszy napad następuje; picchota tu się zbiega i rzesistym ogniem odpięra nieprzyjaciela. Czwartaki stojący po prawej stronie bramy, z domów, z piętrowych okien, z dymników, a drugiego pułku z ogrodu, ciągłym, nieprzestannym ogniem ubijają mnóstwo atakujących. Już zdawało się i co było bardzo możebne, że nieprzyjaciel użyje swęj przemagającęj siły na zdobycie pozycyi naszęj i rzeczywiście w tęj chwili mógłby z łatwością wdrzęć się do miasta i tēm zagrozić całej armii.

Wtenczas dopiero odetchnęliśmy, kiedy nadszedł nam w pomoc pułk młodęj gwardyi. Zuchwale otwieramy bramę, a pułk *tambour-battant*, idzie wprost na nieprzyjaciela.

Ciemność zapada, Francuzi powracają; kiedy niekiedy zdala słyszeć się dają strzały, ale i te ustają; cisza zaległa, przy lazaretach tylko gwarno, a wielką drogą do Francyi, wojsko w odwrocie defiluje noc całą.

W kilka godzin Dąbrowski wczwał do siebie Żółtowskiego i mnie, i rzekł: „No, generale, chcę, abyś wiedział, jaki raport zdaje cesarzowi, a ty, Lelewel, słuchaj; po dniu dzisiejszym wam się to należy.“ Raport czyta Kuczborski. Kiedy przyszło, że Krukowiecki z jazdą samowolnie opuścił stanowisko, dla czego tēz generał Tournier, którego nieprzyjaciel srodze naciskał, niemiał pomocy od nas, i ztąd straty dotkliwe, Dąbrowski ścisnął rękę Żółtowskiego i rzekł: „Wybacz, generale, niesprawiedliwości, których może kiedy z męj strony doznałeś. Dzisiaj przekonałem się o twojęj godności, a pamiętając na dawne stosunki nasze, spodziewać się mogę, że mi to zapomnisz.“

Dalęj było w raporcie, że wojsko wzorowo czyniło swą powinność, że oficerowie odznaczyli się wielką gorliwością, którym to w danych razach winno być przypominane. Szczególnięj zaś poleca względem cesarza, generała Żółtowskiego i kapitana adjutanta Lelewela. A wtedy rzekł do nas: „Tēm dopełniłem powinności i wdzięczności mojęj.“ Raport w końcu obejmował niepodobieństwo choćby przez chwilę obronienia pozycyi nam powierzonęj.

Z brzaskiem dnia następnego, a 19 października, na wszystkich punktach dokoła miasta, zewsząd zbliżona rozpoczęła się kanonada z dział i ręcznęj broni; kule, granaty, które między nas padały, druzgotały najgrubsze drzewa, a te pomostem zalegając, zagłuszały nas już bezbronych ze śmiertelném niepewności oczekiwaniem.

Przyszedł nareszcie rozkaz do opuszczenia stanowiska i do marszu w ślad za uchodzącą armią. Wysłany na prawą naszą stronę, z za bramy Halskięj ściągdam oddziały pułku 4-go. Przebieramy się przez zawały powalonego drzewa; wpadamy w ulicę, w któręj wojsko całe w odwodzie. W miejsce korpusu naszego w ogród wstępuje dywizya francuzka Duroutta, dowodzona przez generała Regnier, przeznaczona

do zasłonięcia z téj strony armii w odwrocie. Każdy z nas w tłum siłą wtłaczać się zmuszony, piersią o plecy poprzednika oparty. Ten prawdziwy kondukt pogrzebowy, zwolna się posuwał.

Pomimo straszego huku kanonady i przewidywać dających się następstw, mieszkańcy Lipska zapełniali okna mieszkań swoich. Jedni z widoczną radością, tryumfem, drudzy z politowaniem, współczuciem, przesyłali nam uczucia swoje. Nareszcie jakby wypchnięci, wyszliśmy z obrębu miasta, i przez groble, mosty na Plejssie i Elsterze i dalej pod Lindenau. Gdzie było można, na boku traktu, zbieramy się do jakiegoś porządku, a następnie posuwając się w gorzkiem milczeniu, stanęliśmy pod Lützen, zatrzymani na spoczynek nocny, pozbawieni wszystkiego: bagaże i co kto miał, pozostało w Lipsku na łup nieprzyjaciela. Każdy powiedzieć mógł: *Omnia mea mecum porto*.

Tu dowiedzieliśmy się, że korpus ósmy, z wojsk naszych złożony, pozostawiony w Lipsku dla osłonięcia ostatnich korpusów francuzkich, z powodu przedwczesnego wysadzenia mostu na Elsterze, całkowicie wpadł w ręce nieprzyjaciela, i że księżę Poniatowski, chcąc się salwować, znalazł zgon w nurtach Elstery.

Tyle strat naraz poniesiono: żal srogi ścisnął piersi nasze. I znowu stawała na myśl ta przyszłość nasza. Widzieliśmy już naszego Dąbrowskiego jako dowódcę nowych legionów, które składać miały reszty korpusu naszego i jazdę, która pozostawała pod Sokolnickim.

Dnia następnego 20-go, w dalszym marszu ku Wejssenfels dochodzi nas wiadomość, że nie Dąbrowski, lecz generał brygady księżę Sułkowski mianowany wodzem Polaków ¹⁾. Zgroza najwyższa objęła wszystkich umysły, głębokie to zranienie serc naszych. Powtarzano: Jako, ten, który bezprzestanku służył wiernie sprawie jego, który poświęceniem się tyle przyczyniał się do jego tryumfów, którego czynny nad Berezyną i teraz w obronie Lipska, rzeczywiście zasłoniły armią od większych klęsk; człowiek ten obecnie odepchnięty, zhańbiono

¹⁾ Wybór Sułkowskiego na dowódcę opisuje *Journal Sokolnickiego* od str. 66. Opisuje najprzód niespodziewane przybycie brygady 18-tój Krukowieckiego do korpusu 4-go jazdy. Następnie są dwa ustępy, opisujące samowolne postępowanie jego, niewykonanie danych rozkazów, szerzenie złego ducha w wojsku.

Sokolnicki dowodził wówczas korpusem 4 jazdy lekkiej po księciu Valmy objętym. Dalej tak powiada: „Krukowiecki w przewidywaniu odpowiedzialności i skutków rygoru wojskowego, tak za samowolne ustąpienie z placu powierzonego mu przez Dąbrowskiego, jako też z powodu niewykonania rozkazów Sokolnickiego, postanowił zuchwałstwem uprzedzić złe następstwa. Stawił się przed siedzącym w karcie cesarzem, jako delegowany od polskich wojskowych, z przedstawieniem, że ogólném życzeniem jest, aby Sułkowski był ich dowódcą. Jak nie miał Napoleon zawierzyć honorowi wojskowemu, a zwłaszcza honorowi generała?

ny! kiedy i prawa starszeństwa i prostej sprawiedliwości nie miano na względzie. Co mógł zawinić Napoleonowi? Czyby on uląkł się patryotyzmu Dąbrowskiego? Pamięta naród te poświęcenia, te zawody. Legiony we Włoszech w nagrodę miały Saint-Domingo. Za pomoc w kampanii 1807 r., wojska nasze w Hiszpanii. Za wojnę w 1809 r. oddana Austryakowi Galicya, którą wojsko polskie dla kraju swojego odzyskało. Rozerwane, zmarnowane zastępy polskie w wojnie 1812 roku. W końcu, bohaterskie poświęcenie się w tej kampanii. Przypomnienia te były we wszystkich ustach. Byli i tacy, co przypominali sobie obowiązki względem rodzin, nie chcieli zrzekać się swojej i ich przyszłości; woleli raczej zrzec się zasług stopni swoich za powrót do ojczystej ziemi, zwłaszcza teraz, kiedy cała Europa na nas następuje, a ostatnia nadziei gaśnie iskierka.

Z temi czarnemi myślami za armią postępowaliśmy dalej. Czas dęszczowy, droga śliska, lub błoto rozrobione. Przy osłabionych siłach po tylu bezsennych nocach, do tego mocno zakatarzony, wlokłem się wśród kolegów niedoli. Tak dostrzegł mnie przejeżdżający Dąbrowski, przystanął do nas. Serdeczny żal ścisnął mnie spojrzawszy na niego, gdy naraz ta krzywda wyrządzona mu stanęła mi na myśli. Bo cóż to za wyraz ogromu boleści był na nim wryty, ileżto on naraz utracił: klęska w boju, odjęte znaczenie, pozostała żona w Lipsku, i upadek sprawy. A on ulitował się nademną, i kazał mi podać konia siwego, wyprężonego z pojazdu, którego uprowadzić niezdolano. Siadłem na tego wysokiego konia oklep, a niósł nielitościwie. Po krótkim marszu, zsiadłem, powróciłem do kolegów, aby z nimi dzielić przykrość położenia. Szczególniej cierpiać moralnie i fizycznie kapitan Jordan. Fizycznie, bo i choroba skórna mocno mu dokuczała. Kiedy inni szybciej iść mogli, ja go nieodstępowałem, a było i słabych, wlokących się, i naszych i Francuzów niemało, i większe było cierpienie, jak owo zeszlęj zimy w odwodzie z Moskwy. I zaciągnęliśmy się do Frejburga i blisko rzeki Unstrut, gdy naraz opadła nas jazda nieprzyjacielska, kozaki i ułani Sasi w ponsowych mundurach, a kiedy kozacy zajmowali się maruderami, my z Jordanem dostaliśmy się ułanom. Oficer ich był obecny, po ludzku nas podjęli; skończyło się na oddaniu ułanom sakiewek. Tak poprowadzeni zostaliśmy z innymi do Lipska.

Z tém kończy się opowiadanie faktów, których byłem świadkiem; jedno pozostaje dodać jako ważną uwagę, o ile walka między stronami wojującemi nierówną była. Zdaniem autorów, siły sprzymierzonych wojsk dwa razy tak liczne były, jak siły Napoleona; my inaczej tego doświadczali. W każdym spotkaniu mieliśmy przed sobą o kilka razy nad nasze siły liczniejszego nieprzyjaciela, czyli to w piechocie, jeździe, a nadewszystko w artylerji. Też same uwagi czynione były ze strony korpusu Poniatowskiego. Jedynie męstwo oficerów i żołnierzy naszych otrzymywały plac boju.

PRZEGLĄD

ODRODZONEJ LITERATURY PROWANSALSKIEJ.

PRZEZ

S. z Ż. Duchińską.

Dramat rozgrywający się w łonie Francyi.—Zbudzona literatura południowa. Gaskoński poeta Jakób Jasmin. *Wspomnienia*. Korony poetyczne. *Wiersz do miasta Agen*. Inauguracja pomnika na cześć Jasmina. Ruch umysłowy nad Rodanem. Poeci Prowansalscy.—Roumanille, Fryderyk Mistral.—Młode lata poety. Stary ojciec. Domowe tradycje. Towarzystwo Felibrów. Ostatni zbiór poezyi Mistrala: *Lis Iselo d'Or*. *Wiersz na weselne gody*. *Święci z kamienia*. *Wodotrysk w Arlezji*. *Spotkanie*. *Skon żniwiarza*. *Dobosz z pod Arcole*. *Psalm pokutny*.

I.

Francya wstrząśnięta do gruntu wypadkami ostatniej wojny, szarpnięta w całości swojej od wschodu, podejrzliwem okiem spogląda na poetyczno-lingwistyczny ruch, objawiający się od lat dwudziestu w jej południowych prowincjach. Mówimy tu o wysileniach tak zwanych Felibrów prowansalskich, czynionych w celu podźwignięcia z upadku, słynnego niegdyś języka naddziadów, przywrócenia go do dawniej godności literackiej.

Ruch Prowansalów czynnem jest oddziaływaniem przeciwko ścisłemu karbom jedności, w które kierownicy wielkiej rewolucyi wprzęgli ludy francuzkie, w końcu zeszłego wieku. Środek ten konieczny wówczas dla ocalenia Francyi, wobec sprzysiężonych na zgubę jej nieprzyjaciół, i dziś jeszcze, po upływie lat tylu, zarówno jest niezbędnym, jeśli zechcemy sądzić rzeczy z politycznego stanowiska. Ale z drugiej znów strony, alboważ dzieje nie uczą, że wszelki gwałt, chociażby w wielkim dokonany celu, może być tylko czasowym, że wszystkie ustawy przeminać muszą, jeśli sprzeczne z instynktem ludów, z ich fizjologiczno-psychicznem usposobieniem?

Nie dziwimy się, że politycy francuzcy, podejrzliwem okiem patrzą na te dzisiejsze porywy Prowansalów, tak pełne samodzielnej siły. I dziś, jak ośmdziesiąt lat temu, Francya zmordowana wojną, targana wewnętrznem szamotaniem się stronnictw; i dziś zewnętrzny nieprzyjaciel wlepił w nią bystre oko, i przyłożył ucho do jej piersi, baczny na każde uderzenie krwi w żyłach, gotów korzystać z wszelkiego objawu bezsilności. Z bolem i upokorzeniem patrzą francuzcy patryoci

na te nowo powstałe katedry języka prowansalskiego, po wszystkich uniwersytetach niemieckich, nawet pod bokiem ich w Strasburgu; zoburzeniem czytają owe broszury, w których erudyci niemieccy ¹⁾ przypominają Prowansalom dawną ich niepodległość, w których fałszując dzieje, mieniają ich pierworodnymi dziećmi cywilizacji rzymskiej; co więcej, łączą ich z Włochami prawem wspólnego rodowodu, dlatego że Gallia Narbońska rzymską była na sto dwadzieścia lat przed Cezarem, pogromcą reszty Gallów! A ileż dotkliwszą być musi dla francuzkich patriotów, rola jaką odgrywają Włosi w tej sprawie? Rola to w rzeczy samej bardzo wstętna w oczach zimnych nawet i bezstronnych sędziów. Świat wie, że Francji zawdzięczają oni swą jedność państwową; oni tylko zapominają o tém, i bez względu na wyższe cele, wraz z centralistami niemieckimi spiskują otwarcie na zgubę narodu, który nie szczędził dla nich krwi i ofiar!

Trudno, powtarzamy, dziwić się mężom stanu francuzkim, że patrzą z podejrzeniem i obawą na umysłowy ruch w Prowancyi. Lecz zapytamy, ażali życie ludów ma podlegać pragnieniom najsumienniejszych nawet polityków, którzy dlatego właśnie że są politykami, mają cele ograniczone potrzebą danej chwili; gdy tymczasem narody czerpiąc życie z nieskończoności, muszą przechodzić fazy zmienne, nie dające się ująć w karby czystego rozumowania? Mamyż się tu dziwić Prowansalom, że dążą do rozwoju swego indywidualizmu, skoro wszędzie to ma miejsce?

Prowansale nie idą tak daleko, nie pragną oni wracać do stanu dawniej udzielnosci, nim kraj ich prawem spadku przeszedł pod berko Francji, za synów Ludwika świętego. Nie myślą oni bynajmniej o separatyzmie, nie czują się połączeni z Włochami prawem wspólnego rodowodu, choć język ich zachował niektóre brzmienia, wspólne z językiem włoskim. Dążą oni głównie do autonomii w dziedzinie języka i literatury, a jeśli posuwają się do zaprowadzenia jakich miejscowych swobód, to nie więcej jak inne prowincje francuzkie, którym zarówno cięży centralizm, tamujący samodzielny ich rozwój.

Taki to dramat rozgrywa się dziś w łonie narodu francuzkiego; dramat wspaniały i żywotny! Występują z nim do walki dwie potęgi, zarówno wielkie. Z jednej strony, patriotyizm w rozległym znaczeniu, patriotyizm czuwający nad bezpieczeństwem państwa, dla którego rekojmią jest najściślejsze zespolenie wszystkich sił narodowych; z drugiej strony występuje ten patriotyizm mniej rozległy, ale za to głębszy i rzeczywisty, ogarniający przedewszystkiém miłością domowy zakątek, dzwonnice swego kościoła, i swoje miejscowe tradycje. W czasach

¹⁾ Podczas wojny 1871 r., profesor z Halli Boehmer wydał broszurę: *Die provensalische Poesie der Gegenwart*; w dziełku tém oblicza z niesłychaną przesadą 10,000,000 Prowansalów, posiadających własny język, własną literaturę, a „oddzielonych od Francji linią graniczną silnieć określoną niżli koryt do Menu.“

normalnych oba czynniki wprowadzone w grę, przyszyby snadno do równowagi, na mocy wzajemnych ustępów; inna rzecz dziś, kiedy czujny nieprzyjaciel dokłada drew do ognia, usiłując z drobnej iskry rozdmuchać wielki płomień, aby wyciągnąć rękę po łup, w chwili powszechnego zamętu.

Patrząc na wyroby literackie całej Europy, któż w nich nie widzi wyraźnych usiłowań do wydobycia się z więzów centralizacji? Idee w duchu państwowym starożytnego Rzymu, które zaraziły społeczeństwa europejskie w czasach tak zwanego *odrodzenia*, muszą w końcu ustąpić przed ideą federalizmu, a na tej drodze jak mniemam rozwiąże się dramat wstrząsający dzisiaj Francją!

Nowo rozbudzona literatura prowansalska ma wielką przeszłość w świetnej niegdyś literaturze Trubadurów, i to właśnie stanowi żywotną jej siłę. Dzisiejsi poeci z chlubą zwracają się do czasów, kiedy zponad Rodanu, Durancy i Garonny, rozbiegali się tłumnie piewcy, niby roje słowicze na wszystkie strony świata; kiedy Trubadurowie nie przestając na wieńcach zbieranych w własnym kraju, zdobywali wawrzyny po drugiej stronie Alp i Pireneów, w Aragonie i Lombardyi. Pamiętają dzisiejsi poeci, jak wytworny język tych Trubadurów, słynny język d'Oc, przyczynił się dzielnie do ogładzenia i wyrobienia chropawej mowy ich nadsekwanskich braci! I tenże to język, skutkiem klęsk miejscowych i ogólnego upadku ducha, przyszedł do takiej poniewierki, że po upływie kilku wieków stał się prostaczym gwarem, niezdolnym do wyrażenia wyższych myśli i uczuć. Wyrwać ten język z poniżenia, wrócić mu dawną godność, stało się celem dzisiejszych Prowansalów. Myśl ta kiełkowała oddawna w pojedynczych umysłach; podjął ją przed czterdziestu laty, perukarz Jasmin z Agen, śpiewak rzewnych poemacików w narzeczu krajowym. Był on istną jaskółką zapowiadającą wiosnę; pieśni jego zbudzone technieniem romantyzmu, wydzwoniły hasło odrodzenia dla prowansalskiej literatury.

Poemata Jasmina wyśpiewane po gaskońsku, w jednym z tych licznych gwarów, na które rozpadł się sponiewierany język Trubadurów, prawdziwą były dla wszystkich niespodzianką. Świeże obrazki wysnute z życia ludu, przemówiły do każdego serca. Nie były to jakieś konwencyonalne sielanki, tworzone na wzór starożytnych: owe Fransonetki i Marty Jasmina, to proste dziewczeczki z nad Garonny. W każdej powiastce zawarta myśl swojska i dodatnia; każda rzewna w gruncie, ożywna humorystyką; w każdej uśmiech przebijają zpoza łez, jak promyczek słońca zpoza chmury. Dodajmy do tego wytworny smak artystyczny, z jakim poeta rzeźbił obrazki swoje, a dziwić się nie będziemy, że imię Jasmina okrążyło, w oka mgnieniu, całą południową przestrzeń, od Pireneów po Alpy; że wkrótce potem z ojczyzny starych Trubadurów, wybiegło za Loarę na północ, tam, gdzie język Truwerów, wykształcony pracą wiekową, stał się dziś żywym wyrazem i tryumfem Francyi literackiej.

Paryż zapragnął poznać gaskońskiego śpiewaka: Jasmin wzywany głosem powszechnym pōpieszył do stolicy. Było to w r. 1842. Złociste podwoje pałaców otworzyły się przed genialnym perukarzem. Sam król otoczony rodziną, przysłuchiwał się jego natchnionej pieśni. Najpierwsi krytycy ówczesni: Nodier, Villemain, Sainte Beuve, Lavergne, Mazade, Pontmartin, zgodnym chórem ogłosili go wielkim poetą. Nodier stawia go obok Lamartina i Berangera; Sainte Beuve mieni go Manzoniem langwedockim; Mazade Lafontainem, Villemain ostatnim z Trubadurów. Nie przewidział snąc wielki krytyk, że ten ostatni Trubadur pociągnie za sobą całe szeregi nowych, nie odgadł, że pieśń jego to raczej hasło skowronka zwiastujące wiosnę, nie zaś kwilenia łabędzia wobec grobu!

Ze zcją powitał Paryż gaskońskiego poetę. Wobec gorączkowego rozchucia ówczesnej literatury, (którą Michał Grabowski słusznie nazwał szaloną), prawdziwi miłośnicy piękna, z rozkoszą poili się dźwiękiem ludowej liry; głęboko poruszyły ich, owe cudne prostotą obrazki, wysnute z rzeczywistości, podniesionej do idealnych wyżyn. Akademia francuzka zrozumiała całą doniosłość tych poezji: przyznała jednomyślnie poecie nagrodę Monthyon, w ilości 5,000 franków, dołączając do niej złoty medal. Villemain w imieniu zgromadzenia, oddał mu zaszczytne świadectwo. „Najwyższą pochwałą tego samodzielnego talentu, wyrzekł wielki krytyk, jest nieskażona czystość natchnienia. Bóg, ojczyzna, dom, wierna i uczciwa miłość, szlachetna przyjaźń, liłość dla sieroty i wielkiej nędzy ludzkiej: oto pobudki ślicznych utworów gaskońskiego poety!“

Tak to uroczyście i serdecznie powitała Francya, przed czterdziestoma laty, żywioł zrodzony w jednej z krańcowych prowincyi, który wzmacniał zasób sił estetycznych i moralnych całego narodu. Język prowansalski nie raz i wtedy wtędy ucha Paryżanom. Byli wprawdzie i tacy, którzy pragnęli dowieść, że język ten oddawna umarł, że wskrzesić go niepodobieństwem. *E pur si muove!* odpowiedział na to Nodier, słowy Galileusza: język, który wydaje takich poetów, nie może być umarłym.

Jasmin spokojnie przyjmował te hołdy, nie odurzony wcale dymem sypanych mu kadzideł. Gdy go zapytywano, jakim cudem odkrył tę przeczystą krynicę poezji, za którą tylu innych ugania się na próżno, w odpowiedź na to, odczytywał wesoły a zarazem rzewny poemacik, utkany cały ze złotej przędzy dziecięcych wspomnień, bogaty skarbem domowych tradycyi, tēm nieprzebranēm źródłem poetycznego natchnienia. Oto początek owego poemaciku pod tytułem: *Mes souvenirs*:

Skoro przyrzekłem, niechże się stanie:
Gdziem się urodził, opowiem, panie.
Wiek już zgrzybiały schodził ze świata,
Miał on przed sobą tylko dwa lata,
Kiedy w zakątku uliczki starój
W domu, gdzie szczurów lęły się ohmary,

W nędznej komorze, nagiej i pustej,
 (Było to w czwartek, w same zapusty)
 Z ojca garbuska, z matki kaleki,
 Dziecię rozwarło na świat powieki.
 Jam był tém dzieckiem!... ja!... Miły Boże!

Gdy się królewicz rodzi bogaty,
 Na powitanie grzmią mu armaty;
 A ja, syn krawca... marne nieboże!
 Świat mnie z milczącą wita pogardą
 I nikt nie uczi, nawet petardą!

Acz nie grzmią trąby, nie biją działa,
 W ciasnej izdebce, wśród ciszy głuchej
 Rośnie w kolebce dziecinka mała,
 Wkoło spowita w grube pieluchy;
 Pościółka cała w łąty i łątki,
 Ptaszemi pióry naphana lekko.
 Biedne chłopiątko!... ale pierś matki
 Zdrowe na pokarm daje mu mléko;
 I pieśń matczyna niańczy je przecie,
 Więc jak królewskie wyrasta dziecię!

Długo tak było, aż naostatek
 Siedem okrągłych zbiegło mi latek.

Wy, rozmiękczone zbytkiem pieśczochoy,
 Ogrzane sztuczniém ciepłem ogniska;
 Lada pustota, lada skok płochy
 Krople wam potu z czoła wyciska.
 Nędzne chérłaki! a nam tak zdrowo
 Biegać po dworze w zamieć zimową:
 Bosi, półnadzy, nie marzniem wcale,
 Ani na letnim nie schniem upale,
 Gdy jak cyganki, od słońca czarni
 Po łąk zielonój harcujem darni!

Tak mi dzień za dniem wesoło spływa
 A gdy zadzwoni kłosisista niwa,
 Gdy Święto-Jańska zorza zaświeci,
 Żwawo na ostrów popędzim dzieci;
 Daléjże w płasach wśród wrzawy pustej,
 Zbierać gałązki, wióry i chrusty,
 Na cześć świętemu. Niechajże nocą
 Jasne ogniska w rząd zamigocą.

Choć mgła jesienna niebo przysłania,
 Zawsze pogodnie w méj duszy młodziej!
 Kiedy nadeszły dni winobrania,
 Rączo dojrzałe zrywam jagody.
 Niech sobie zima pola ubieli,
 Niech opustoszy z liści winnicę

Niéma zabawy nad wieczornicę!
 Prządki zasiadły w krąg do kądzieli,
 U każdéj w ręku warczy wrzeciono,
 Smolne łączywa na ogniu płoną;
 My, na ławeczce za piec ukryci,
 Z motka na kłębek zwijamy nici.
 Każdy ciekawie nadstawia ucha.
 W izbie cichutko; wtém głos podniesie
 Stara babinka, zgarbiona, sucha:
 Prawi nam duby o zbójcach w lesie,
 O czarownicy, którój moc taka,
 Że czleka zmieni wnet w wilkołaka.
 O bladych wiedźmach, jak w pomrok czarny,
 Chyłkiem wylażą z ziemi cmentarnéj!
 Strwożony nieraz tchu nie pochwycę,
 A kiedy zegar północ uderzy,
 Gdy naszą ciemną zbiegam ulicę,
 Niby óma duchów tuż za mną bieży!
 Widźmy chichoczą, wilkołak wyje,
 A ja uciekam na łeb, na szyję!
 Ale niech rankiem pierzchnie mrok szary,
 Słonko rozpędza grobowe mary;
 I znów wieczorem siadam na ławie,
 Wytrzęszczę oczy, słucham ciekawie.

Długo tak było, aż złoty wątek
 Przerwał się nagle .. nie dla mnie gody!
 Lat mi dobiegał pierwszy dziesiątek,
 Płasałem z dziatwą pełen swobody;
 Bawim się w wojnę, harcujem zwawo,
 Bijemy w bębny, dzwonim w szabelki;
 Aż tu w ulicy tłum jakiś wielki:
 Jednym poskokiem zwrócę na prawo.
 Co widzę?... Starca dwaj ludzie niosą,
 Siedzi na krześle, jak gołąb siwy;
 Mój-że to dziadek? drży, ledwie żywy;
 Pot mu na czoło wypłynął rosą:
 Przy starcu idzie ojciec i matka,
 Krewnych i druhów cała gromadka.
 Ezy mi strumieniem z ócz się puściły,
 — Tyżeś-to—wołam—dziaduniu miły!
 Biegnę, do piersi głowę przytulę;
 On cicho westchnął, objął mnie czule,
 A gdy go smutny ściskam i pieszczę,
 Łza mu z powieki spadła gorąca;
 Nigdy nie leż jego nie widział jeszcze.
 I podniósł rękę... tak była drżąca,

Jak liść osiny...

— Być-że to może?

Ty nas opuszczasz, dziaduniu drogi,

Tobie się nasze sprzykrzyły progi?

— W szpitalu—rzecze—uslane łożo,

Mnie tam ostatniej czekać godziny;

Nie płacz-że dziecię, trudnaż to rada!

Od niepamięci, z dziada, pradziada,

Tam umierają wszystkie Jasminy!

Umilkł i zamknął błękitne oczy

I cień mu jakiś czoło pomroczy.

Poszliśmy za nim do wrót szpitalu,

Serce mi w kęsy rwało się z żalu,

I poraz pierwszy wtedy... ach, wtedy!

Okropność naszej poznałem biedy!

W taki to sposób poeta przebiega wszystkie przygody życia swego. Opowiada, jak chodził do szkółki, jak go z niej wypędzono; jak po raz pierwszy ujrzawszy na scenie Kopciuszka, postanowił bądźco bądź zostać komedyantem; jak ulegając woli rodziców, z bólem serca odstąpił zamiaru; jak śleczął nad piórem w biurze notaryusza, aż znudzony wreszcie niewdzięczną pracą został perukarczykiem; jak potem otworzył własny sklepik, gdzie golił brody i trefił fryzury, a w chwilach wolnych bawiał wiersze na papilotach; jak wreszcie pojął młodą żonę, a dzięki jej gospodarności i własnym zabiegom, zwolna porastał w pierze tak, że mógł nie tylko wyżyć sam w dostatku, lecz niemniej odpedzić biedę od progu rodzicielskiego. Z jakążto wtedy radością i dumą rozbił ów nieszczęsny fotel, na którym od prapradziada wynoszono Jasminów do szpitala, gdzie czekało łożo śmiertelne!

Pióro zarówno jak brzytwa posłużyło Jasminowi. Nie jednym wierszem, mówi, załatał dziurę w dachu. Dzięki pierwszej książeczce, którą puścił w świat z tytułem *Papiloty*, był jego tak się polepszył, że kupił za miastem mały dworek z winniczką; przez wdzięczność nazwał go także *Papilotem*.

Czasami jednak poezya nabawiła kłopotu biednego Jasmina. Opowiada on, jak razu jednego poeta Armand, który ceniał jego utwory, przybył do Agen, chcąc poznać się z nim osobiście. Jasmin podjął go w domu, jak przystało. Przy uczcie, gość wniósł zdrowie nowego trubadura. Był to poeta starzej szkoły, przywykły dosiadać skrzydlatego Pegaza i bujać po Olimpijskich wyżynach. Jął więc opowiadać w mowie bogów, jak Apolo przechadzając się raz nad zielonym brzegiem Garonny, napotkał Nimfę leśną, rozspiewaną dźwięki słowiczemi; jak Amor utkwiał strzałę w dwu nieśmiertelnych sercach, jak z tych związków zrodziło się cudowne dziecię: tém dziecięciem był Jasmin.

Stary krawiec wsparty na stole słuchał panegiryku, zrazu nie zrozumiał o co idzie; nie rozumiała i matka owych poetycznych prze-

nośni, ale poruszona skandowaną deklamacją, wreszcie rozradowana hołdem oddawanym synowi, rozplakała się rzewnie.

— Tyś synem Apolina!—zawołał poeta donośnym głosem, wskazując na Jasmina ręką.

Czoło krawca pochmurzyło się; zacisnął pięść gwałtownie.

— Co on gada? czy słyszysz, Katarzyno?... co on gada?...—szepnie do żony drżący z gniewu.

Spojrzy na nią, widzi niezwykły rumieniec na jej twarzy. Nieboga oczy utkwiła w talerz; łzy płyną zpod jej powiek. Te łzy doprowadzają męża do wściekłości.

— Płacze! co to jest? — woła bezprzytomny — więc mój syn nie jest moim synem!?

— Twój on, twój! jak mi Bóg miły! — odpowie matka załamując ręce błagalnie.

Biedny syn zrozumiał rzecz odrazu: uściśnął ze łzami rodziców.

— Ojczel!—zawołał—ty byłeś owym Apolinem. Matko! ty byłaś ową rozśpiewaną nimfą leśną... Chwilę cierpliwości, ja wam to wszystko wytłómaczę.

„Nie łatwo mi to przyszło — dodaje poeta — musiałem poruszyć cały Olimp, wyjaśnić wszystkie symbole i metafory, aż koniec końcem zrozumieli mnie wreszcie.“

Jasmin głęboko czuł ważność poezji; wiedział on, że natchnienie aby wydało owoc, potrzebuje stosownej długiej a mozolnej uprawy. Był to myśliciel, jak nim jest każdy prawdziwy poeta. Dał on w tym względzie wielką naukę, wspartą na doświadczeniu. Będąc raz u jednego w Montpellier, w czasach, kiedy sława jego imienia rozlegała się już po całej Prowancyi, odebrał wezwanie od garncarza Perotta, znanego z pieśni nad Rodanem: ten wiedząc z tradycyi o dawnych zapasach Trubadurów, pragnął wystąpić z Gaskonem do poetycznej walki.

„W dniu umówionym—pisze garncarz—przybędę do Montpellier. Weźmiemy czterech sędziów, obznajmionych z literaturą. Niech nam zadadzą trzy przedmioty, osadzą nas w osobnych izdebkach, postawią u drzwi strażę i trzymają tak dwadzieścia cztery godzin. Co napiszemy, drukowane będzie na korzyść szkółki miejskiej.“

Oto pełna taktu odpowiedź Jasmina. W kilku słowach dał on surową przestrożę nie samemu tylko garncarzowi.

„Odebrałem na wyjeźdném—pisze on—pańskie poetyczne wyzwanie. W żadnym razie nie byłbym go mógł przyjąć.“

„Jako! chciałbyś pau, aby Muza moja, rozmiłowana w słońcu i wolności, pozwoliła zamknąć się na klucz i trzymać pod strażą, jak złoczyńca? Każesz jej wykończyć trzy przedmioty w ciągu dwudziestu czterech godzin! Myśl sama przenika mnie zgrozą! Z całą pokorą wyznam panu, że Muza moja, wierna starożytnym tradycjom, wydziela mi tylko po dwa albo trzy wiersze na dzień. Pięć poematów moich: *Fransonetka*, *Marta*, *Słepa*, *Wspomnienia* i *Bliźniaki*, kosztują

mnie dwanaście lat mozolnych trudów, a obejmują ledwie do dwu tysięcy pięćset wierszy.

„Siły nasze, jak widać, nie równe; ja nie mogę mierzyć się z panem. Koń uprzęzony do ciężkiego wozu, nie prześcignie lokomotywy, rozpedzonej po gładkich szynach. Sztuka twórcza nie może iść w zapasy z fabryką!

„Muza moja pokonana przed rozpoczęciem walki; racz pan zapisać to pokorne wyznanie.

„P. S. Znasz pan Muzę, teraz poznaj człowieka. Oceniam chwałę, ale nigdy cudze wawrzyny nie spędzają snu z powiek moich.“

Cała Francya oceniła Jasmína. Gdziekolwiek dał się słyszeć, sypano mu pełną ręką wieńce i kwiaty. Pierwszą koronę uwiło mu Bordeaux. Stara Akademia Tuluzka Klemencyi Izaury mianowała go członkiem swoim i obdarzyła złotą różczką. Ową różczkę odebrał poeta w r. 1840 u łoża konającej matki. W lat dwanaście potem odebrał zaszczytną nagrodę Akademii Francuzkiej. Najdłużej czekał na uznanie rodzinnej swój kolebki. Wybiła wreszcie upragniona godzina. Miasto Agen uwieńczyło poetę w imię południowej Francyi. Nieprzeliczone tłumy ludu przybiegły na tę uroczystość narodową.

Szczęśliwy Jasmin, odebrawszy koronę z rąk mera, podziękował za nią rzewnym wierszem. Oto krótki wyjątek:

Drogi ty miasto! po życiu przeżytym,
Gdy kres dni moich zbliża się do końca,
Ty mi drożynę ścielesz aksamitem,
Miodem zaprawiasz promień mego słońca!
Kochałem zawsze twą modrą Garonę
I stromą skalę, co za tron ci służy;
Kochałem twoje błonia ukwiecone
I woń ozywczą twych zielonych wzgórzy.

Dziś stokroć bardziej miłuję cię jaszcz, z
Od ciebie nowy ład się rozpoczyna:
Gdy inni swoje kamienują wieszczę,
Ty złoty wieniec zaplatasz dla syna!
Ty jego sławą szaszczycasz się dumnie.

O! lepiej żywe rozpromienić czoło,
Niżli umarłym kłaść palmy na trumnie
I grób otaczać bluszczami w około.
Nieraz widziałem, jak drobniuchna gwiazda
Ponad lirnika błyskała mogiłą;
Gdybyż on zdobył miłość swego gniazda,
Zamiast gwiazdeczki słońce-by świeciło!

Ostatni to był za życia tryumf poety, ale nie po raz ostatni w Agen brzmiało tryumfalnie imię Jasmína. W lat dziesięć potem bracia zasypali ziemią jego zwłoki, porzucili na grób setki wieńców. I znów po czterech latach wdzięczne miasto powołało kraj cały na

inauguracją pomnika, który wzniosło lirnikowi swojemu. Było to w maju r. 1870. Tłumy ludu z całej przestrzeni, wydeptanej niegdyś stopami Trubadurów, zbiegły się na tę uroczystość. Wszystkie miasta południowej Francji: Bordeaux, Tuluza, Marsylia, Avignon, Limoges, Nîmes, Arles, przysłały do Agen przedstawicieli swoich.

Spadła zastona pokrywająca pomnik wpośród grzmiących oklasków; słońce wiosenne rzuciło jasny promień na spiżowe czoło poety, górujące nad tłumem. U stóp pomnika podniósł głos dorodny młodzian, ze smagłym, cudnie pięknym obliczem, z błyskawicą natchnienia w czarném oku. Tym młodzieńcem, wieszcz prowansalski Mistral. Głos jego najwyższym był tryumfem Jasmina. Godny spadkobierca wieszczej liry, uznawał w nim pierwszego karczownika rodzimego zagonu, twórcę poetycznego odrodzenia w południowej Francji. Dajemy w przekładzie ten wiersz, którego wdzięku i siły pióro nasze oddać niezdolne.

Wielka uderza dla nas godzina,
 Tryumfem naszym tryumf Jasmina!
 W imię oraczy, co wiodą pług
 Po naszej stariej prowanskiej ziemi
 I przyśpiewują dźwięki swojskimi,
 Trubadurowi niech spłacę dług.
 Witajcie najprzód bracia Gaskony!
 Z wyciągniętymi ku wam ramiony
 Od wód Rodanu przychodzi brat!
 Próżno w was bila powódź szalona,
 Technieniem waszego wykarmion łona
 Mowy ojczystej nie uwiadł kwiat!
 Dziękuj ci, dziękuj! waleczne plemię!
 Gdy nam posucha paliła ziemię:
 „Ratujcie! krzyczymy, dopóki czas!”
 I oto pieśni strumień uroczy
 Od waszych krynic ku nam się toczy;
 Blaskiem słonecznym oświeca nas!
 Pieśń Jasminowa prosta i szczerza
 Łzy nam wyciska, serca otwiera;
 Karmi nas, pieści!... Zkądże ten oud?
 Bo jak on Pindar, Tebańczyk boski,
 Jasmin opiewał rodzinne wioski,
 Swe góry, rzeki, swój kraj, swój lud!
 Gdy szkolny pedant rzecze doń sucho:
 „Twój gwar gaskoński razi nam ucho,
 Poeto, nowych poszukaj dróg!”
 „Nigdy, ach nigdy! śpiewak zawoła,
 Strzedz mi dzwonnicy mego kościoła,
 Tu mnie na czatach postawił Bóg!”

Jak stary pątnik, rozdaje słodko
 Ziarna różańca, zwrotkę za zwrotką
 Rzuca dla braci: słucha go tłum,
 I swobodniejszą piersią oddycha,
 I pije chwałę z jego kielicha,
 Karmi się dźwiękiem rodzimych dum!
 Z tych pirenejskich oto krawędzi,
 Gdzie wzrok dosięże, gdzie myśl popędzi,
 Mrowisko ludu nadciąga w krąg;
 Chwałą śpiewaka naród dziś dumny,
 Wnet u spiżowój onój kolumny,
 Sypną się wieńce z tysiąca rąk!
 Słuszne te hołdy, te wieńce chwały,
 Przez Ciebie język nasz zmartwychwstały,
 Błyszczący z wiekowych odarty skaz,
 W takt mu Atlantyk wtórzy wspaniale,
 I wód śródziemnych wtórzą mu fale:
 Wielki Jasminie! tyś pomógł nas!

Kto ten Mistral? To chwała Prowancyi, to żywy jój wyraz, to słynny twórca *Mireli*, wykładanej dziś po tyłu niemieckich uniwersytetach.

Aby go lepiej poznać, sięgnijmy okiem w przeszłość.

Jasmin zadzwonił pobudkę nad Garonną. Pieśń jego niby ożywcy strumień, rozbiegła się po wszystkich stronach, gdzie panował język langwedocki; najsilniejszy oddźwięk znalazła nad Rodanem, poruszyła z barci roje pszczół prowansalskich.

Pierwszy na widownię występuje Roumanille, syn ogrodnika z Saint-Remy. Porywa on lirę domową, nastraja na ton wyższy; pobudkę do pieśni czerpie w świętém uczuciu, w miłości do stariej matki swojej. Ta matka nie umie po francuzku, a pieśń przy kądzieli najmiłszą dla niej rozrywką! w braku innych, śpiewa piosenki w zepsutym gwarze ludowym. Te prostacze dźwięki rażą poetyczny zmysł wykształconego w szkole syna. Szlachetnym wiedziony popędem, rzuca on pieśń za pieśnią; każda technie świeżym wdziękiem, właściwym ludowej poezyi. Forma ich dawna, ale zidealizowana myślą wyższą; język dostępny prostaczkom, ale ogładzony z wyrażenń gminnych. Roumanille, rzec można, wydobył z [pieśni ludu] przeczyste ziarno, a odrzucił z nich tylko ościstą i szarą plewę. Zbiorek maleńkich jego utworów, wydany p. t.: *Margaretido* (Stokrotki), poruszył wszystkie serca. Pieśni wyśpiewane dla matki przebiegały z ust do ust; dziewczęta śpiewały je chórem przy żniwie, przy zbieraniu oliwek, zimną przy kotowrotku.

Te proste piosenki, stały się hasłem dla poetów prowansalskich. Szczęśliwy zbieg wypadków połączył Roumanilla z piętnastoletnim chłopcem, który miał podjąć krzepką dłońią chorągiew odrodzenia. Było to w roku 1845. Roumanille otrzymał miejsce profesora w Avinionie: tam pobierał nauki Fryderyk Mistral. Gorąca przyjaźń zawiązała się między uczniem, a niewiele starszym nauczycielem. „Zorza rozbłysła w smętnéj duszy mojej, mówi Mistral, kiedy Roumanille dał mi poznać swoje śliczne stokrotki, tchnące wonią łąk naszych! Nie znałem wtedy jeszcze cudnych poematów Jasmina. Uścisnęliśmy się pod dobrą gwiazdą i nigdy ta gwiazda nie przestała nam świecić!”

Mistral zbudzony pieśnią Roumanilla, porwany później czarem poematów Jasminowych, zawdzięcza wiele tym dwóm przewodnikom na drodze rodziméj poezji. Ale oprócz owych dwu wpływów, inne jeszcze oddziaływały od kolebki na tę przeczystą duszę. Sięgnijmy więc do źródła poetycznych jego natchnień; powtórzmy cudną kartkę autobiografii, nakreśloną piórem słynnego Prowansala.

„Urodziłem się, mówi Mistral, we wsi Maillane r. 1830, we wrześniu w dniu N. Panny. Maillane leży w Arlezyi. Okolica to piękna; od południa błękitne Alpile rysują się na widnokregu. Wieś liczy do 1,500 mieszkańców.

„Rodzice moi sami uprawiali swój zagon. Ojciec, którego straciłem w 1854 roku, ośmdziesięcio-czteroletnim starcem, był wiernym typem dawnych czasów. Zobaczmy jak poznał moję matkę.

„Było to latem w dzień Ś-go Jana. Franciszek Mistral, wdowiec po pierwszej żonie, stał na polu w pośród ścinających żyto kosiarzy. Grono dziewcząt zbierało upadłe kłoski. Ojciec Franciszek, jak go powszechnie zwano, spostrzegł między niemi śliczną dziewczeczkę, która została nieco za innémi, widocznie zawstydzona. Zbliżył się do niej.

— Kto ty jesteś maleńka?—zapytał ją łagodnie—powiedz jak się nazywasz?

— Jestem córką Stefana Poulinet, wójta z Maillane—odręcze nieśmiało dziewczeczka—imię moje Delajda.

— Jakto? córka Poulineta chodzi na pokłosie?—przerwał zdziwiony ojciec.

— Gospodarzu!—odpowie dziewczyna—jest nas w domu sześć córek i dwu chłopców. Nasz ojciec, choć ma niezły kawałek ziemi, ilekroć prosimy go o co, odpowiada nam zawsze: „Moje dziewczki, jeśli chcecie nowych sukienek, zapracujcie na nie własną ręką!” Dlatego przyszedłam zbierać na polu kłosy.

„W sześć miesięcy po tém spotkaniu, ojciec Franciszek poprosił Poulineta o rękę Delajdy, a ja jestem ich dzieckiem.

„Pierwsze moje lata zbiegły w chacie wieśniaczej, w towarzystwie oraczów, kosiarzy i pastuszków. Przypominam sobie te czasy z najwyższą rozkoszą, tak samo jak biędny ojciec Adam przypominać musiał swój Eden! Każda pora roku nasuwała nowe prace. Orka, siew, strzyżka owiec, sianokos, hodowla jedwabników, żniwa, winobra-

nie, zbiór oliwek: wszystko to roztaczało przedemną wspaniałe obrazy wiejskiego życia, tak urozmaiconego w jednostajności swojej. Życie to mozolne nieraz, ale w gruncie rzeczy jakże piękne, krzepkie, spokojne i niepodległe!

„Widzę, jak czeladź i najemny lud idzie w pole z bronią i radłem, lub z kosą na ramieniu; jak pracuje poważnie: istnieje owo grono żeńców na obrazie Leopolda Roberta. Mój czcigodny ojciec góruje nad wszystkimi wzrostem, szlachetną postawą i zdrowym rozumem.

„Był to wysoki, piękny starzec; każde słowo jego pełne powagi i godności; umiał rozkazywać: z rozkazem dawał siłę. Dobry i pobłażliwy dla biedaków, surowym był tylko sam dla siebie.

„I on także w krzepkich latach zaciągnął się był na obronę Francji. Nieraz w długie wieczory opowiadał nam przygody z dawnych wojen. Za czasów terroryzmu, przebywając w domu, wykopał wielki dół i przechowywał w nim podejrzanych, dopóki trwała zawierucha wewnętrzna. Chronił ich nie pytając, jakie kto nosił barwy. W najgorszych czasach nakazano mu przewozić zboże do Paryża, gdzie panował głód wielki. Wówczas właśnie, ścięto głowę królowi. Francja osłupiała, jakby rażona gromem. Powracając przez Burgundję w dzień zimowy, gdy koła grzęzły w topielisku, a deszcz z wichrem ciął prosto w oczy, spotkał jadącego drogą sąsiada.

„Obaj podróżni zsiadli z wozów, podali sobie ręce.

— A kędyż to wleczesz się, bracie, w one piekielne czasy?—zapytał ojciec.

— Obywatelu!—odpowie sąsiad—jadę do Paryża, wiozę świętych i dzwony.

„Ojciec zbladł, łzy wytrysły mu z oczu; zdjął kapelusz, pokłonił się kornie świętym patronom i dzwonom kościoła swego.

— Bodajbyś przepadł!—zawołał oburzony.—Czy myślisz, że w nagrodę za takie świętokradztwo wybiorą cię na członka rządu?

Sąsiad pochylił głowę ze wstydem!

„Mój ojciec głęboką miał wiarę. Czyto zimą, czy latem, każdego wieczora klękał z domownikami, odmawiał głośno pacierz. My powtarzaliśmy jego słowa. W długie wieczory odczytywał na głos ewangelię. Dawnym obyczajem, uroczystie obchodził święta Bożego Narodzenia. W wigilię błogosławił głównię, a potem mówił nam o dziadach i pradziadach, wystawiał ich żywot poczciwy, odmawiał modlitwy za ich dusze. Swoboda unysła nigdy go nie opuszczała: czyto w deszcz, czy w pogodę, zawsze był dobrej myśli. Kiedy wieśniacy utyskiwali na suszę lub na powódź, napominał ich słodko:

— Co wam się troszczyć, bracia moi—mówił podnosząc rękę w górę—Ten, kto tam jest, wie najlepiej co robi; On zna najlepiej, czego dla nas potrzeba!

„Umarł jak patriarcha. Przygotowawszy się religijnie na śmierć, przywołał dowowników: płakaliśmy wszyscy, otaczając łożo kochanego.

— Dzieci moje!—rzekł do nas—czego płakać? Ja odchodzę spokojnie, dziękuję Bogu za wszystko, co Mu winienem, za mój długi żywot, za pracę, której błogosławił!

Zawołał mnie potem do siebie.

— Fryderyku—zapytał—jaki czas?

— Deszcz pada, ojciec—odpowiedziałem.

— Dobrze—odparł—niech sobie pada, będzie pogoda na zasiewy!

I oddał duszę Bogu!”

Pod takim to wpływem wzrósł i rozwinął się poeta. Był on już krzepkim, dwudziesto-pięcioletnim młodzieńcem, już sława opromieniła jego czoło, gdy umarł zacy ojciec. Z chlubą starzec patrzył na syna. Niewymowną słodyczą napełniała myśl poetę, że ojciec nie tamował nigdy młodzieńczych jego porywów; że jakkolwiek sam prosty wieśniak, umiał jednak ocenić dobrodziejstwo nauki i hojną ręką łożył na wychowanie dziecka.

Fryderyk Mistral nie należy bynajmniej do samouków. Dalekim on także od próżności wielu, słynnych nawet pisarzy francuzkich, którzy jak Dumas i Wiktor Hugo, w autobiograficznych zapiskach, radziby przekonać świat, że ich nigdy niczego nie uczono; że nie skrepowani w szkolne więzy, własną siłą jak orły wzbijali się ku słonecznym wyżynom: że wszystko zawdzięczają potędze własnego geniuszu! Z całą prostotą wyznaje Mistral, iż kilkanaście lat przesiedział na szkolnej ławie, co przecież, jak wiemy, nie wstrzymało twórczych polotów jego ducha.

„Miałem lat dziesięć, mówi on, kiedy oddano mnie do szkoły wiejskiej; ale tak często wybiegałem na pola i lasy, że rodzice moi, aby położyć tamę tym niewczesnym wybrykom, zawieźli mnie do Awinionu i umieścili na pensyi; ztąd pod czujną strażą, dwa razy na dzień, chodziłem do liceum.

„Początki trudne były, dodaje, żyliśmy w zamknięciu, pod rygorem, istnie jak jagnięta w owczarni mego ojca! Ja szczególnie czułem się obcy pomiędzy kolegami. Przywykłem do swobodnych piasów, jak tu wysiedzieć w miejscu! Wkoło mnie brzmiała obca mowa, nie ta, jaką gwarzono przy domowym ognisku naszym! Jeżeli się kiedy odezwał po swojemu, nauczyciele sztydzili ze mnie bez litości!

„Ślęcząc nieraz nad nudnym tematem, tęskniłem w duszy za pieśnią prowansalską, którą matka śpiewała bezustannie przy kądzieli. Dzwoniły mi w uchu te rzewne zwrotki, o *Biednej grzesznicy Magdale*nie, o *Majtku Marsylczyku*, a szczególnie o *Ptaszku w klatce*, co wykołysały moje dziecięce lata i wykarmiły duszę moją czarem rodzinnej poezyi!

„A jednak, dodaje Mistral, pomału zacząłem smakować w nauce. Upodobanie to wzrastało z każdym rokiem, wytworna piękność starożytnych pisarzy, wnikała mi w głęb' serca; poznałem w Homerze i Wergilim: żywe odbicie prac, wyobrażeń, obyczajów ludowych z rodzinnej wios-

ki mojej. Wówczas to w głębokiej tajemnicy począłem tłómaczyć pierwszą eklogę Wergilego na prowansalski język.“

Daléj opowiada poznanie z Roumanillem, niewymowną rozkosz z jaką słucał jego pieśni wyjętych żywcem z ust ludu, a podniesionych do formy tak idealnéj. „Obaj, mówi on, porwani jedną myślą, pragnąc uszlachetnić pieśń naszych matek, poczęliśmy pilnie badać odwieczne księgi prowansalskie, postanowiliśmy odbudować język, na zasadzie tradycyi narodowych.“

Z końcem roku 1847 ukończył Mistral nauki w liceum Awiniońskim. Wrócił szczęśliwy do wiejskiej swéj zagrody, pomagał pilnie ojcu w gospodarczych zabiegach; w chwili wolnéj chwycił za pióro. Pod natchnieniem Wergiliuszowych *Georgik*, w ciągu kilku miesięcy nakreślił pierwszy poemat *Żniwa*. Inne niestety wtedy żniwa rozpoczęły szalone tłuszcze na ulicach paryzkich! Bracia mordowali braci; krew ściekała potokiem do Sekwany. Czarne chmury przysłoniły widnokrąg. Łoskot walących się tronów, z hukiem dalekich dział, dobiegł na brzegi Rodanu, i wstrząsnął do gruntu sercem prowansalskich poetów. W obec spadającego się w gruzy społeczeństwa, zapragnęli oni połączyć wspólne siły, i wyrwać z odnětu złoty watek zagrożonych tradycyi! W tym celu Roumanille począł wydawać w Awinionie, w języku ludowym, pismo zbiorowe *Il provençalo*. Tu Mistral ogłaszał pierwsze swoje utwory.

„Dobrzy rodzice, mówi poeta, zrozumieli że praca na polu intelligencji, pożyteczniejsza dla mnie, niż mozół gospodarczy. Wysłali mnie do Aix na kursa prawa. Tam chwile spędzone przy kodeksie cywilnym i nudnych pandektach, osładzałem sobie poezją. Otrzymaawszy licencyat w r. 1851 powróciłem do domu; wtedy ojciec rzekł do mnie:

„Synu! jam spełnił moję powinność, teraz na ciebie kolej. Ty umiesz więcéj, niżli mnie nauczo. Obierz sobie jaki chcesz zawód: zostawiam ci wolność zupełną.“

Do czegoż wziął się Mistral? Oto, jak mówi, zawiesił na kołku adwokacką swoję togę, i duszą całą utonął w tém, co najgorécej ukochał: rozpatrywał się w blasku swéj Prowancyi!

Za pośrednictwem Roumanilla, poznał całe grono poetów, ożywione z nim jedną myślą. Wiódł rej w tém gronie Aubanel, zagorzały propagator samostnego rozwoju prowansalskiej literatury. Zapal ogarnął umysły, rozpoczęły się zjazdy i literackie zebrania. Główném ich ogniskiem był Awinion. Tam Mistral w bratniém gronie odczytywał ustępy z Mireli. Towarzysze oczarowani pięknoscją poematu, przyklaskiwali z uniesieniem. Gorący ich poklask oddziaływał na poetę, z duszy jego dobywał nowe siły.

Zebrania te wkrótce systematyczniejszy przybrały charakter; poeci prowansalscy zawiązali towarzystwo Felibrów, w maju r. 1854. Nazwa Felibrów zagadkowa jeszcze dla wielu, nieobjęta żadnym słownikiem, w oczach naszych określa bardzo jasno ich dążność: poezye Mistrala dały nam klucz do rozwiązania zagadki. Nazwa ta jest poprostu połączeniem dwu przymiotników *fier-libre*: „dumny i wolny.“

Zadaniem nowego towarzystwa było przywrócić język do dawniej godności, a co więcej oddziaływać przeciw szalonym utopiom socialnym i przeciw powodzi grubego realizmu. Prowansale, przywiązani do wiary i tradycji praocjów, patrzyli ze zgrozą na szerzący się w Paryżu prąd nihilistyczny, podkopujący religią i narodowość, słowem wszelką idealną stronę życia; ów zgubny prąd, którego pierwszym objawem były krwawe rzezie czerwcowe, w 1848 roku.

Towarzystwo zaczęło publikować własny buletyn: jest nim kalendarz prowansalski, drukowany w Awinionie. W numerze z 1875 roku czytamy stanowcze oświadczenie, pokazujące wyraźnie jego dążność. Oto słowa Felibrów: „Obcy różnie nas sądzą, w rozmaite stroją nas barwy: w białą, w czerwoną, w fioletową. Niektórzy mienią nas Albigensami; wielu pomawia o chęć separatyzmu. Wszystko to czeze domysły! Felibry idą swoją drogą, trzymając się poza obrębem wszelkich politycznych stronnictw. Myśl ich wykwitła z najczystszej miłości kraju. Felibry są antypodami owej szkoły, kóra usiłując zatrzeć piętno narodowości, wprowadziła Francją w otchłań nieszczęść!”

Fryderyk Mistral, Roumanille i Aubanel, stanęli silnie jako filary towarzystwa. Roumanille założył drukarnią w Awinionie, Aubanel z całym żarem południowca rzucił się do walk polemicznych. Mistral najwyżej podniósł ideał Felibrów, najdzielniej udowodnił słuszność ich praw, pokazując w pysznym poemacie *Mirelle*, do jakiej potęgi wznieść się może język prowansalski, gdy prawdziwy mistrz potrafi nim zawładnąć.

Poemat ten, owoc siedmioletniej pracy, żywotną stał się protestacją przeciw wyrokowi konwencyi narodowej, wzbraniającemu Prowansalom używać mowy ojców. Wyrok ten przestrzegany po szkołach, przebrzmiał bez oddźwięku po nad wieśniaczą strzechą. Matki śpiewały jak dawniej swojską pieśń niemowlętom, i śpiewały dopóty, aż w końcu z tych niemowląt wzrosły Jasminy i Mistrele, i tę pieśń macierzystą przetopili w ogniu swjej pieśni, i rzucili ją na podziw światu, jako dowód że język ich nie umarł.

Pojawienie się *Mirelli* w r. 1859, stanowi w rzeczy samej, wypadek w świecie literackim. Jednomyślnie pochwały krytyków paryzkich, przeszły jak mówi sam Mistral wszelkie oczekiwania lirnika, śpiewającego na ton ludowej pieśni. Lamartine odczytawszy poemat, zawołał z uniesieniem: „otóż mamy Homera!” Słowa te powtórzył w swych literackich pogadankach. Paryż zaprosił poetę, uczcił go wspaniałą owacją; rząd ozdobił go orderem Legii honorowej. Akademia Francuzka uwieńczyła *Mirellę*, jako utwór wielkiego talentu, i równie wielkiej doniosłości moralnej. Wkrótce potem, śliczny ten poemat ukazał się na scenie z muzyką Gounoda.

Ojciec zmarły przed laty kilku, nie był już świadkiem tych tryumfów. Poła niemi serce dobra matka, z którą syn nigdy się nie rozłącał.

Widok kilku rulonów złota, ofiarowanych wraz z medalem przez Akademią, uradował wieśniaczkę.

— Przystroję ci pokoi—rzekła wesoło—wylepię ściany jasnym papierem, odnowię wszystkie sprzęty.

— Nie myśl o tém, matko—zawołał Mistral—to złoto należy do poetów, mnie nie wolno go dotknąć!

I pokoi został jak był dawniej, ale za to ilekroć ubogi brat Felibr zakochał w jego progi, nie odszedł nigdy z prózną ręką.

W siedem lat po Mirelli, napisał Mistral *Kalendala*, inny wielki pemat, nie ustępujący wartością pierwszemu. Bezstronna krytyka podniosła wysoko nową pracę, ale centraliści paryzcy, niechętni Felibrom usiłowali zdepopularyzować piękny utwór, w którym poeta usymbolizował słoneczną swoją Prowancją.

W ciągu ostatnich lat dziesięciu, Mistral poświęcił się innej pracy, nierównie mozolniejszej. „Pragnę gorąco, mówi on, przywrócić do uznania samego siebie to plemię szlachetne, które, w osmdziesiątym dziewiątym roku, Mirabeau zwał jeszcze narodem prowansalskim. Postanowiłem ułożyć słownik języka d'Oc, panującego w różnych odmianach na całym obszarze Francji południowej. Twarde to zadanie: dokonam go wkrótce, jeżeli Bóg pozwoli.“

Działalność Felibrów coraz szersze ogarnia koło. O ile Paryż pogląda na ten ruch niechętném okiem, o tyle znów przyklaskują mu wszystkie miasta południowe. Z głównego pnia wyrosło już mnóstwo nowych odrośli. Każde miasto ma swoje ognisko poetyczne, każde ustanawia konkursowe nagrody. Obok kalendarza awiniońskiego, powstają nowe pisma. Drukarnia Roumanilla puszcza w świat coraz to nowe publikacje.

Ten ruch tak w duchu czasu, porwał za sobą i Prowansalów, zamieszkujących Paryż. Ci związani w towarzystwo, przyjęli nazwę *Koników połnych*, (*Cigalliens*). Utrzymują oni stałe związki z południem. Niedawno oto, miasto Nimes przyjmowało uroczyscie braci paryzkich.

Fryderyk Mistral przerasta czołem wszystkich Felibrów, jak wspaniały dąb przerasta drzewa w lesie. Otoczony miłością i uwielbieniem braci, przewodniczy im na zgromadzeniach; wyrok jego stanowczy w sądach konkursowych. Nowy Trubadur obiega dokoła Prowancją, a śladem jego stóp sypią się wieńce, brzmia oklaski. Widzimy go u podnoży pirenejskich w Agen, gdzie w imieniu Felibrów, składa hołd Jasminowi; to znów w Awinionie i u wodospadu Wokluzy, gdzie w imię Prowancji, kładzie koronę na czoło Petrarki. Gdziekolwiek się ukaże, oczy wszystkich obrócone ku niemu. Jak niegdyś on Lumir czeski, co serce z sercem zakłątą zaśpiewywał pieśnią, jak wiesz czy nasz Adam, co zestrzelał duchy w jedno ognisko: tak i Mistral potęgą słowa, działa czarodziejско na braci. Do tego uroku przyczynia się wspaniała postać, piękne rysy jakby wyrzeźbione z marmuru dźwiętem greckiego mistrza, a obok tego, dziwna słodycz w obejściu, połączona z wieśniaczą prostotą.

Równa prostota odbija w każdym utworze poety. Podziwiamy ją zarówno w dwu epopkach *Mirelli* i *Kalendali*, jak i w najdrobniejszej pieśni. Sprawozdanie z dwu wielkich poematów, zostawiamy na koniec; zobaczymy najprzód zbiór ulotnych poemacików i piosenek, wydany rok temu pod tytułem *Lis Isele d'Or, (Złote wyspy)*. Tytuł sam wydaje się zagadkowym; te bowiem pieśni wyśpiewano nie na wyspach, ale na stałym lądzie, między Rodanem a Alpami. Łatwo jednak zrozumieć myśl autora. Naprzeciwno przystani w Hyeres, widać wpośród fal morza Śródziemnego, grupę stromych wysepek; promień słońca upada na nie w daną chwilę. Na wydmach równie krzemienistych jak chuda gleba tych wysepek, powstała odrodzona poezja prowansalska, odbijająca w sobie złoty blask ideału.

Z prawdziwą nieśmiałością dajemy w przekładzie kilka pieśni. Jak się tu podnieść do tej cudnej prostoty, właściwej samemu tylko utworom ludowym? Jak tu oddać iskry, tryskające ze słów poety, a zrodzone pod skwarem słonecznej Langwedocyi? Czujemy całą nieudolność, poważamy się jednak odtworzyć w naszej mowie, choćby kilka ustępów, aby dać poznać, jeśli nie czarodziejski urok poezyi Mistrala, to przynajmniej piękną jego duszę, ożywioną szczerym zapałem, zakochaną w najczystszyim ideale.

Zobaczmy oto z jaką szlachetną dumą, poeta wylicza zasługi swych praojców, tych wiernych piastunów domowej tradycyi. Przytaczamy piosenkę zaimprovizowaną na weselne gody bratanka.

Nowożeńcy z jednego byli rodu, wspólne wyniańczyło ich gniazdo.

Koronę ze zwrotek niosę wam na gody,
 Dorodna dziewczeczko, rzeczki panie młody!
 Z jednego wy dębu dwie odrośle nowe,
 Niech wami się drzewo poszczyci rodowe.
 Poczcwi ojcowie, w paśmie wieków długiem,
 Nie mały kęs ziemi zaorali pługiem;
 Prababki kołaczo piekły z mąki białej,
 I płótna nie mało na krosnach utkały.
 Barczyste junaki rosną w naszym domu,
 Na czole dziewczeczek nie dopatrzeć sromu!
 Nie darmo ojcowie w Narodzenie Boże,
 Kolendy nad żłobkiem śpiewali w pokorzo.
 Nie darmo kropili ogień świętą wodą,
 Gdy gwiazda nad cichą świeciła zagrodą.
 Jak dawniej świeciła, i dziś ona świeci,
 Ich błogosławieństwo spłynęło na dzieci.
 Kłos piękny ta siejba wydała ofiarna,
 Wy oto z ich plonu dwa młodziuchne ziarna.
 Nie dajcież płołunom wyrość na zagonie,
 I w sadzie ojczyste hodujcież jabłonie!
 Na łąco czy w polu pamiętać wam o tém,
 Że każda piędź ziemi złana ojców potem.

Niech w domu się waszym odrodzi dąb stary,
 Niech w górę nowemi zaszumi konary.
 Niech miłość wzajemna jasno wam połyska,
 Jak w noc świętojańską, na górach, ogniska.

W tym zbiorze obejmującym do stu pieśni, każda podobnie wyśpiewana w najczystszyim nastroju ducha. Postać dziewicza przedstawia się tu zawsze w blasku prawdziwie idealnym.

Oto legenda wysnuta z miejscowej tradycyi. Podanie mówi, że w noc Wszystkich Świętych, Chrystus zstępuje z nieba, i na arlezyjskim cmentarzu (Alikampie), błogosławi sam chleb i wino. Wówczas święci kamienni, co stoją rzędem w przedsiönku katedry św. Trofima, zstępują z marmurowych swych kolumn i podążają na gody Chrystusowe. Z tego podania utworzył Mistral, cudny prostotą poemacik o młodocianej Arlezyance.

ŚWIĘCI KAMIENNI.

Ze spuszczonei w ziemię oczyma,
 Schody świętego mija Trofima.
 Ściany kościoła w pomroku toną,
 Nieszporne świece właśnie gaszono.

Święci kamienni, co strzegą proga,
 Błogosławili ją w imię Boga;
 Oko ich pilnie jój towarzyszy,
 Gdy ku domowi podąza w ciszy.

Wdzięk jój niewinny oczy pochwyca,
 Przejzysty promień bije z jój lica;
 W kościele na bok nie zwróci głowy,
 Ani zagadnie próżnemi słowy.

A gdy z poważném brzmieniem organu,
 Psalmi po łukach płyną ku Panu;
 Dusza dziewczęcia tak się weseli,
 Jakby ją w niebo nieśli anieli.

Święci kamienni patrzą co rana,
 Jak w domu Bożym zgina kolana,
 Z pokorném sercem, w skromnej odzieży,
 A potem skrętnie do pracy bieży.

Gotowi tarczą być jój w potrzebie,
 O łaskę dla niej błagają w niebie;
 A gdy noc ziemię kirem zasłoni,
 U drzwi kościelnych tak radzą o niej:

„Radbym ja szczerze, mówi Jan święty,
 Aby rzuciła ziemskie ponęty;
 Świat serce pychą zarazić może:
 Takićj lilijce kwitnąć w klasztorze!“

A święty Trofim odpowiedź na to:
 „Łatwiej dni przeżyć za cichą kratą,
 Lecz blaski słońca na ziemi gasną,
 Niechże jój świeci gwiazdeczką jasną.“

Święty Honorat rzecze po chwili:
 „Gdy po północy, o bracia mili,
 Księżyc roztoczy promienie drżące
 Nad rzeką naszą po cichój łące,
 My z naszych kolumn zbieżym ku ziemi;
 Pan dziś ucztuje ze sługi swemi:
 Tam w Alikampie przed swą drużyną,
 Chrystus poświęci sam chleb i wino.“

A święty Łukasz odpowie: „Zgoda!
 Niech pójdzie z nami dziewczeczka młoda;
 Na gody suknię damy jój białą,
 W rąbek błękitny odziewem całą.“
 Wybiła północ z kościelnej wieży,
 I każdy święty z kolumny zbieży;
 Na Bożą ucztę gromadka rusza:
 Poszła z nią czysta dziewczeczki dusza.

Nazajutrz z rana nim błysnął dzionek,
 Ona się zrywa, istny skowronek;
 Rozpromieniona wstaje tak wcześnie,
 Cudowneż gody widziała we śnie!
 Tam w Alikampie stół zastawiono,
 Aniołów roje w błękitcie toną;
 Chrystus chleb trzyma w przezycystej dłoni,
 A święty Trofim dzwoni a dzwoni.

Na inny ton opiewa poeta inną artezyankę. Cudna to królowna, istna Wanda nasza, *co nie chciała Niemca*, nie chce oddać ręki cesarzowi rzymskiemu. Milszy jój nad obcego przybysza ubogi woziwoda, rodowity artezyjczyk. Wymowny to symbol miasta, które pod długim panowaniem Rzymian nie zatraciło swój staro-galskiej narodowości. Oto ów maleńki poemacik.

WODOCIĄG W ARTEZYI.

W Artezyi przed laty
 Żyła cudna królowna,
 Kwiat uroczy nad kwiaty,
 Jak lilijka powiewna.
 Cesarz rzymski rzekł do niej:
 „Patrz! ja cierpię i płaczę!
 Weź koronę z méj dłoni!“
 Na to ona: „Zobaczę!“

„O! gwiazdeczko ty biała!
Duszę oddam ci własną
Za ten promień, co pała
Z twego czoła tak jasno!

Rozkaż, wszystko uczynię,
Dam, co człowiek dać może;
Gdy nadzieja mnie minie,
Chyba w grób się położę!“

„Zadość tobie niech będzie,
Dam ci rękę z tym krajem;
Lecz miej panie na względzie,
O co proszę nawzajem.

Przez opoki Trebonu,
Przez Kraony pustynie,
Niech do mego tu tronu
Zdrój Wokluzy dopłynie.“

Rzymski cesarz rad w duszy,
Nie żalować mu trudu;
Sam w te pędy wyruszy,
Sto tysięcy gna ludu.

Jedni schwyca łopaty,
Drudzy dalej do młota;
Pan nie szczędzi zapłaty:
Żwawo idzie robota.

Dnie i noce w niej płyną.
Mozół ludzki wytrwały,
Równa góry z doliną,
Zmiata z drogi zawały.

Łamie twarde opoki,
Suszy stęchłe bagniska;
Gdzie las szumiał głęboki,
Już słoneczko połyska.

Przez zielone Alpille,
Przysłonięte mgłą ciemną,
Rów przekopan: za chwilę
Już nim wody popłyną.

Nie żal srebra, ni złota,
Ni mozołu, ni trudów;
Dokonana robota:
Oj będziez-to cud cudów!

Otóż w jasny poranek
W artezyjskie tam mury,
Przed królewny krużganek
Zdrój potoczyc się z góry.

Lud wesoło przypada,
 Chmarą pędzi tak liczną;
 Niby owiec gromada,
 Pije wodę kryniczną.
 Cesarz głowę pokłoni
 Przed królowną swą piękną:
 „Bądź-że moją! rzekł do niej,
 Zwarte rygle niech pękają!
 O! gwiazdeczko ty biała!
 Rozsiěj blaski urocze;
 Gdy Wokluza zbyt mała,
 Wnet Erydan przytoczę.“
 „Nie dla ciebie te gody,
 Rzecz piękna z krużganku;
 Artezyjczyk tu młody
 Wodę nosi mi w dzbanku.
 Ja orzeźwiam nią lica,
 Nią w pragnieniu się poję;
 Milsza własna krynica,
 Niżli obce tve zdroje!“
 Umarł cesarz, pan świata.
 Wyszły wody Wokluzy.
 Wiotki powój oplata
 Wodospadu dziś gruzy.
 Zmienne serce kobiety.
 Strzeż się pięknych uroku.
 Bo ich miłość, niestety,
 Przetrwą ledwie do roku!

Wśród licznych pieśni, jedna tylko zdaje się wysnuta z osobistych wspomnień poety. Zgadujemy tu w tajemniczej osłonie pierwszą burzę, co wstrząsała młodém sercem, pierwszą boleść doznanego zawodu. Nie dosłyszec tu jęku, ni klątwy rozpaczliwej; czuć tylko żal i tęsknotę, jak w owym cudnym wierszu Pola:

A kiedy miniesz niebieskie kochanie,
 I cóż po tobie na ziemi zostanie?
 — To, co zostaje nam po wieszczém słowie,
 Po łzach, po rosie, po pieśni w dąbrowie!

Zobaczmy pieśń prowansalskiego poety.

SPOTKANIE.

Płynąłem ja w burzę,
 Brzeg sterczy opoką;
 Tam w zamku, na górze
 Widzę czarnooką.

Przopaść między nami,
 Drzwi zwarte nie pękają;
 Lecz w oknie czasami
 Widywałem piękną.

Był to sen wyśniony
 W marzeń moich niebie,
 Miłością szalony
 Wołałem: „Mam ciebie!“
 Skraśniały jój lica,
 Pochwyci dłoń moję:
 „Patrz! słońko przyświeca
 Idźmy tam oboje.“

Dolina tchnie cała
 Kwiatów aromatem,
 Ach! ona się stała
 Całym dla mnie światem!

Niech sobie ten parów
 Rzucą ptacy leśni;
 Do dębu konarów
 Przyrosły me pieśni!

I myśli i gwary,
 I dłoni uściski,
 Uśmiechów jój czary,
 I źrenic połyski;

Jój słówka palące,
 Łzy zpod jój powieki,
 Mych westchnień tysiące
 Tu wrosło na wieki!

Kwiateczki, co rosną
 W tój ciszy głębokiej,
 Gdy sycą je wiosną
 Alpejskie potoki;
 Ich zapach mniej świeży
 I miód ich mniej słodki,
 Niż słówko, co zbieży
 Przez usta szczebiotki.

Ten grom, co roztrąca
 Twarde łono skały,
 Dąbrowa szumiąca
 I Alp lodozwały:

Ich słowo złowieszce
 Ach! kogóż nie wzruszy,
 Lecz straszniej grzmiał jeszcze
 Huragan w mój duszy!

Dziś pomrok tak blady
 Owiał cię, dolino!
 Już stóp naszych ślady
 Zarosły darniną!

Zbiegła gwiazdka złota
 Szlaki powietrznemi,
 A mną wicher miota
 Po tój pustej ziemi!

Znajdujemy wśród tych myśli złotych dwa szerszych rozmiarów poemata: *Skon Żniwiarza* i *Dobosz z pod Arcole*, oba nadzwyczaj rzewne i dramatyczne. W pierwszym poeta ukazuje starca pomiędzy żeńcami. Dawny przodownik pada na zagonie omdlały od skwaru, ugodzony kosą młodszego i krzepciejszego parobeczka. Jęknął starzec, gromada kosiarzy otacza go dokoła, dziewczęta rzucają snopy; na widok krwi płaczą i zawodzą. Ale ten, co ma umrzeć, słodkimi pociesza je słowa, a potem obraca oczy w niebo, zleca duszę Janowi świętemu, patronowi żniwiarzy, w opiekę jego składa swój dobytek i ubogą rodzinę.

Mam ja tam w górze oliwne drzewa,
 Sam je na twardej sadiłem skale;
 Niech im rzeźwiący wietrzyk powiewa,
 Niech na tym strasznym nie schną upale:
 Biedne oliwki ocalze cudem
 Ty, co masz litość nad ludem!

Tam w naszych górach poza mgłą siną,
 Żona nad młodą czuwa rodziną;
 Wygląda biedna u wrót zagrody,
 Rychło z letniego wrócę zarobku:
 Niech sama z dziatwą, gdy przyjdą gody,
 Pieśń kolendową śpiewa przy żłobku.

Czuwaj nad niemi, o Janie święty!
 Czyż starczy ręka matczyzna?
 Chroń dziewczę moje, pączek nietknięty:
 Dzielnie wychowaj mi syna!

Jeżelim sarknął wśród mojej biedy,
 Przebacz, o święty nasz Janie!
 Toż i sierp twardy sarknie niekiedy,
 Gdy kamicę w drodze mu stanie.

O święty Janie, Ty Boży druhu!
 Wyciągam ręce do Ciebie;
 Ojczyźnie żniwiarzy, pokrzep mnie w duchu:
 Pamiętaj o mnie w Twém niebie!

Umilkł, i oczy stają mu słupem,
 Lica jak marmur zbielały;
 Chwilę niewiasty płaczą nad trupem:
 Jęk po przestrzeni brzmi całej.

I znów żniwiarze za sierpy schwycają,
 Bo kłos marnicze na suszy;
 Trzeba z dojrzałą uciec pszenicą,
 Nim się z niej ziarno wykruszy!

Drugi poemat: *Dobosz z pod Arcole*, osnuty na miejscowej tradycji. W mniemaniu ludu, młody dobosz, który bił w bęben do ataku na sławnym moście, był dzieckiem Prowancyi. Mistral podjął owo podanie. Powtarzamy w przekładzie cały poemacik.

DOBOSZ Z POD ARCOLE.

I.

PROLOG.

„Idźmy wierne Francyi syny!“
 Marsylianka brzmi rozgłosnie,
 Drgnęły wzgórza i doliny,
 W młodych sercach zapal rośnie;
 Głos do głosu dostrojony,
 Prowansale i Bretony,
 Normandowie i Alzacy,
 Pieją wspólny hymn ojczysty,
 A nad głową wiernych braci,
 Szumi sztandar trójbarwisty;
 Cel ich wspólny, jedna droga:
 Za Ren wygnać Niemca wroga!
 Grom uderzył, światło błyska,
 Do jedności droga blizka;

Zrozumiały Francyi ludy,
 Że winnice ich zielone
 Pod wspólnymi wzrosły trudy,
 Wspólnym potem użyźnione.
 Jedność! wielka to potęga!
 Ten, ów, mądre daje rady:
 Niech się ręka z ręką sprzęga!
 Dojrzewają winograpy,
 Przygotujmy każdą jedyną,
 Zlejmy do niej wszystko wino:
 Snadziej ustrzedz jednę kadzi,
 Toż jój Niemiec nie poradzi!
 Jak wyrzekli, tak się stało.
 Młode wino zaszumiało;
 Wokół pełna krąży czasa,
 — „Niech trwa wiecznie jedność nasza!
 Hej popłasać nam po łące!”
 Przyklasnęło rąk tysiące,
 Trunek zmącił zmysł gawiedzi!
 Dopatrzyli to sąsiedzi:
 Niemiec rzuca z dzbanem piwo,
 Szablę chwyta ręką mściwą;
 Z prądem Renu puszcza łodzie,
 Za książęty płynie swemi.
 — „Ha! pijany ty narodzie!
 Płasaj skoki szalonemi,
 Nam poskromić te swawole!”
 — „Kto was, Niemcy, o to prosi?
 Niechaj każdy swoje pole
 Sam posiewa i sam kosi!”

II.

BITWA.

W wojsku rzeczywopolitéj
 Służy dobosz, chłopiec młody;
 Rwie się w pole, walk niesyty,
 Jak się ryba rwie do wody.
 Pod Wokluzy zrodzon skałą,
 Wyniańczony krynic szumem;
 Wcześniej serce w nim zagrało:
 Bronić kraju bieży z tłumem.
 Śmiało naprzód wiara kroczy,
 Brat dodaje ducha bratu;
 Świat im śmiechem parsknął w oczy:
 Oni śmiechem parskli światu!

Wróg ich rozbił w dwa zastępy,
Do ataku trąby dzwonią;
Pokrakają głodne sępy:
Snać znęcone trupią wonią.

Każdy zastęp inném polem
Drze się naprzód z żartką duszą;
Tu na moście pod Arkołem
Oba razem zbiedz się muszą.

Szereg armat mostu strzeże,
Już rozwarły paszczę piekielną;
Ale mają pierś żołnierze,
A w téj piersi wolę dzielną!

Pierwszy oddział brnie wśród fali,
Wtém ogniste hukną działa;
Oh! nie przebrnąć im już dalej:
Od krwi woda zczerwieniła.

Drugi zastęp pomknio zwawieją,
Działa strasznieją zagrzmia jeszcze;
Setka trupa w krwi się pławi,
Pierś walecznych zdjęły dreszcze.

Lecz wódz serce ma zażarte,
W dzielném ręku błysła szpada;
— „Naprzód! — woła Bonaparte,
Most nam szturmem wziąć wypada!

„Za mną wierne grenadyery!”
Cożto... niktże się nie ruszy?
Widać postrach z bladéj cery,
Skra zapalu zgasła w duszy!

Biédna Francyo, twymże synom
Wobec wroga zbiedz przed bojem?
Nie zakwitnąć-że wawrzynom
Na styraném czole twojém?

Patrzmy... doboisz!... biédne chłoję!
Ciężki bęben czyż dotrzyma?
Czy przez cizbę się przekopie?
Wodza ściga wciąż oczyma.

Duch w nim dzielny, acz mdłe ciało,
Drzo się naprzód... dalej!... dalej!...
Dopadł wodza! stanie śmiało,
Palczkami w bęben wali.

Młode piskłę, puch na twarzy,
Słabe, wątłe, to nieboże;
Ale bęben straszno gwarzy,
O wolności, o honorze!

Gwarzy bęben szaleń wściokły,
Ogień pryska w każdym słowic;

Brzmi o bojach, o krwi ścieklój,
Powstał wszystkim włos na głowie.

I tchórzliwe te młodziany,
Co żaliły się z przekąsem
I zalekłe weterany,
Co mamroczą coś pod wąsem,
Kiedy bęben grzmi do szarży,
Nagle płomień z lic im bucha;
Głos się żaden nie poskarży:
Pędzą, istna zawierucha.

A na moście z obu brzegów,
W rząd ogniste biją działa;
O! nie wstrzymać tych szeregów:
Wali hurmem ciżba cała!

We krwi pada trup za trupem,
Wrzawa, zamęt, wir szalony;
Poza grubym dymu słupem,
Śmierć obfite kosi plony.

Marsylianka brzmi rozgłośnie,
Dobosz w bęben wali z siłą;
A walecznym serce rośnie:
Dzielne wojsko most zdobyło!

III.

PANTEON.

Pod okiem wodza kroczy pułk pieszy,
Pole szerokiém okrąża kołem;
Wesoły dobosz po przedzie śpieszy,
Chwała nad młodém polyska czolem:
Wódz dwie pałeczki w ręce mu kładzie,
Z kuści słońcовой, w złotój obsadzie.

Imię dobosza z ust do ust bieży,
Wnet je rozniosły pisma po świecie;
Mistrz je powtarza szkolnej młodzieży,
Kto żyw wysławia prowaukie dziecię;
Wieszcz jego imię pieśnią przekaże:
Jego posągi kują rzeźbiarze!

Zabłysła doba rycerskich czynów,
Rozbrzmiał po świecie huk dział szalony;
Szybuję orzeł syty wawrzynów:
Gdzie dotknie skrzydłem druzgocze trony;
W tym blasku słońca wśród walk odmętu,
Gwiazda dobosza zgasła do szczętu!

Runął bohater pod dział ogromem,
Korab' od brzegów powódź uniosła;

Wielcy pochyla czoło ze sromém:
Słabym rozbitkom nie schwycić wiosła!
W maluczkich tylko pioruna nie godzi,
Szczęśliwie dobosz wybrnął z powodzi.

Ubiegły lata. Z zagasłem okiem,
Siwy jak gołąb', z szramą na twarzy,
Chodzi po mieście chwiejącym krokiem;
Opuścił głowę, smętnie coś marzy;
Przed okiem starca, strugi krwi płyną:
Zobaczył króla pod gilotyną!

Słyszysz zwyciężkie ludu okrzyki,
Mota na wążek nic wspomnień słabą;
Brzmia pieśń pożarną Marsylijezki,
Pioruny słowa rzuca Mirabo;
Szczękają miecze, szumią sztandary:
Od krwi niemieckiej wezbrał Ren stary!

Pomni, jak niegdyś na wodza hasło,
Młodzieńczą ręką w bęben uderzy,
Jak z piersi krzesie iskrę wygasłą,
Jaki tchnie zapal w serca młodzieży;
Myśl z myślą, dusza zléwa się z duszą:
Karły w olbrzymy wyrosnąć muszą!

Dobosz utonął w przeszłości cały,
Liczy sokole one pisklęta,
Co je popędził do szczytu chwały;
On po imieniu wszystkich pamięta.
Był tam Massena, mąż niezwalczony,
I Lan ¹⁾ Gaskończyk od wód Garony!

Był Jan Bernadot, co zwalczać umiał
Siłą ramienia losy uparte;
Był tam król Murat, co wyrosł w tłumie,
Był olbrzym wieków, był Bonaparte!
A biedny dobosz?... starość go gnucie;
Umrze doboszem!... tak to na świecie!

Cóż mu przypadło? na ciele rany
I głębsza rana pod sercem, na dnie;
I cóż go czeka? grób zapomniany!
Łza nań gorąca nigdy nie spadnie!
Chwała, sen marny... czczą bańka z mydła,
A po niej męty, piana obrzydła!
„Lepiejby lepiej, kiedym był młody,
Śpieszyć do wioski, rzucić te boje;
Pić méj Durancyi przeczyste wody,
Spokojnie grzędę posiéwać moję;

¹⁾ Marszałek Lannes, ksiązę Montebello.

Z żoną i dziećmi żyć w ojców progu,
Niżli się w obcym tarzać barłogu!”

I łza na zwiędłe upadła lice,
Z dręczącą myślą starzec się biedzi;
Pomija kręte miasta ulice,
Nie słyszy nawet gwaru gawiedzi:
Z duszą zbołałą, z czołem schyłym
Stanął kaleka przed Panteonem.

Nad nim w powietrzu, jak wzrok dosięże
Zdobią wspaniale przybytku czoło,
Świeżo wykuci z marmuru męże.
Wieńce wawrzynu pną się w okolo,
Powyżej napis przyświeca złoty:
„Wdzięczna ojczyzna cześci wielkich cnoty!”

„Stary wiarusie! głowę do góry!”
Głos mu nieznany poszeptał z boku.
Ocknął się dobosz, spojrzysz na mury.
Słońce, ukryte w mglistym pomroku,
Nagle przed starca olśnionym wzrokiem
Oblało Paryż światła potokiem!

I widzi żołnierz na tle błękitu,
Kształty kopuły odbite jasno;
Cóż to? wśród męźów kutych z granitu,
Kogo zobaczył?... postać swą własną!
Pod okiem wodza, z dumą na czole,
W bęben do szarży bije pacholę!

Pijany szalem widzi tam w górze,
Siebie w słonecznym blasku promieni;
Wyżej nad gromy, wyżej nad burze!
Oblicze starca nagle się mieni,
Na wątłe siły zbyt ciężkie brzemię:
Martwy bohater upadł na ziemię!

Poemacik ten obiegił w mgnięniu oka całą Francją, powtórzyły go pisma, ogół przyklasnął mu z najwyższym zapałem.

Na wyższy jeszcze ton poeta nastroił lirę swoją po okropnych klęskach Francji. Ledwie że łuny pożarów zagasły nad Paryżem; w imię całego narodu wyśpiewał psalm pokutny. Dawno Francja nie posłyszała tak uroczych, tak głęboko religijnych dźwięków!

„Panie! woła poeta, uderzasz w nas straszniemi pociskami! żelazem barbarzyńców sieczesz nas, jakby trawę! miotasz nami, jakby wążem sitowiem! dopuszczając wojnę domową i niezgodę, ponizasz dumę naszą, zmuszasz nas do wyznania ciężkich win!”

Po jaskrawym obrazie następuje pokorna spowiedź:

„Panie! my winni! bardzo winni! porzuciliśmy stary obyczaj, zaparli się dawnych tradycyi, wyrzekli naszego Boga! zdeptali wszelkie poszanowanie!”

Po tej spowiedzi poeta kończy błagalną modlitwą:

W imię tych, Panie, wiernych żołnierzy,
Co z piersi wrzącą stoczyli krew
I czystym źródłem posoki świeżej.
Zżyźnili święty przyszości siew!

W imię tych matron, co ślą w rozpacz
Do tronu Twego błagalny głos,
Gdy wzrok ich synów już nie zobaczy,
Zsieczonych w polu, jak marny kłos!

W imię, o Panie! ciężkiej boleści,
Z jaką ten zastęp żalonych wodzów,
Śpiące w kołyskach sierotki pieści
Podźwiewkiem łzami zdławionych słów!

W nieznanie świata prostaczków imię!
W imię tych mężów potężnych sił,
Których złamały trudy olbrzymie,
Gdy krew do kropli zbiegła im z żył!

Przez te boleści, tych łez potoki,
Przez rumowiska zgorzałych miast;
Przez posian kośćmi on kraj szeroki
I zgliszcza wiosek, zarosłe w chwast!

Przez te żaloby, przez te pioruny,
Co straszno były w nasz stary dom;
Przez one krwawe pożarów łuny,
Przez wypalony na czołach srom!

Miecz Twego gniewu odwróć, o Panie!
Patrz na ten padół krwią ściekły w bród;
Niech już Twa ręka chłostać przestanie,
Twemi pociski zgnębiony lud!

Psalm ten wyraża wymownie myśl Felibrów, pokazuje cel ich i dążność. Tym celem oddziaływanie przeciwko bezbożności, przeciw gorszącej swawoli, przeciw nihilistycznym prądom zalewającym Paryż. Z całą siłą uderzają oni na tę gospodę przybłądów, owo zbiegowisko próżniaczej i rozpustnej gawiedzi, co rozrzuca pełnemi garściami złoto, a z niem razem sieje zarazę, znieważa świętość domowych ognisk; na tę ostoję fałszywych proroków, co burzą sumienia, trują serca jadem niewiści i w rękę szaleńcom wsuwają nóż z głównią pożarną!

Tę to ujemną stronę Paryża chłoszczą surowo Felibry; widzą oni jednak, że pod tą błyszczącą a skażoną powłoką kryje się inny Paryż, krzepki duchem, wytrwały w pracy, godzien utrzymać pochodnie cywilizacji.

Psalm Mistrala silnie uderzył Francuzów, podwójny okrzyk wydarł się z ich piersi: jedni potępili poetę, mienili go odstępcą idei narodowej; inni ukorzeni w duchu, odpowiedzieli nań okrzykiem szczerego uwielbienia.

Skarga Mistrala nie jest bynajmniej głosem pojedynczego człowieka, ani krzykiem samych tylko Felibrów. Cała Francya oddawna już uważa ten Paryż wysysający żywotną krew ze wszystkich części kraju, za przeszkodę do rozwoju prawdziwej swobody i pomyślności narodowej. Tę myśl wyraził poeta; trudno pomawiać go o chęć separatyzmu po tak gorących pieśniach jak *Dobosz z pod Arcole*, wyśpiewanych na chwałę jednej, nierozdzielnej Francyi!

PIĘĆ USTĘPÓW Z CYKLU
POWIEŚCI HISTORYCZNYCH *)

J. I. KRASZEWSKIEGO.

OCENIŁ

Ernest Swieżawski.

II.

Stara Baśń jako typ powieściowy cyklu niniejszego.—Stosunek metody w nim zachowanej do metod innych powieści tego rodzaju, obcych i swojskich.—Cechy Powieści historycznych uważanych za epos prozaiczne.

Przechodząc do krytyki leżących przed nami pięciu wykończonych już ogniw łańcucha powieści, któremi serca i umysł społecznych Kraszewski chciał spoić z przeszłością, zamierzał przykuć do taczki obowiązków dla niej i przez nią dla terażniejszości: musimy się nieco zastanowić nad wykonaniem tego, co w teorii dotąd wypowiedziałem.

Jestem o tyle szczęśliwszy od moich poprzedników niektórych, że, mając przed sobą obfitszy materiał, zyskuję możność wyciągania ogólniejszych wniosków, przeniknienia łatwiejszego zamiarów autora tak co do ogólnego sposobu traktowania przedmiotu, jak wykonywania szczegółów. Wszystkie właściwości perspektywy, że tak powiem, cyklicznej występują teraz dobitniej, wyraźniej, niż to mogło być w jednej tylko powieści. Z tej też racji zapewne, panowie Bobrzyński, Kaszewski i Chmielowski, pierwsi po trzech, drugi po dwu ustępach ze zbioru całkowitego, skręśliли swe uwagi.

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za styczeń r. b.

Wszakże o ile ogólny pogląd może zyskiwać, z jednej strony na tój obfitości materiału operowanego, o tyle z drugiej rośnie trudność w sformułowaniu orzeczeń sądu ogólnego.

Im bardziej bowiem łańcuch siostrzyc *Staréj Baśni* się mnoży, tém pokrewieństwo ich żywiej bije w oczy, tém typ ogólny, którego są szczegółowemi objawami, dokładniej się uwidomia. Indywidualne znamiona *Staréj Baśni* odnajdują się w dziełach następnych, przekształcają się w rodzaj matryc twórczych, które, wbrew może wiedzy autora, z nieugiętą konsekwencyą urabiają różnorodne temata w uderzające podobieństwa odbitki: jednego duchowego i materialnego wzoru.

Warunek ten i rezultat porównania, narzucony nam obiektywnie przez stan materiału, niech nas wytlómaczy z jednej strony wobec autora i czytelników, z treści sądu naszego, i zasłoni od zarzutu obie-rania tendencyjnie takiej metody, któraby z zasady musiała zmieniać stosunek zalet i wad użytego do sprawozdania cyklu powieści historycznych.

Z drugiej strony, konsekwencye metody porównawczej niech obro-nią nas od wyrzutu, że po kilkakroć przed oczy czytelnika stawiamy też same fakta, choć z innéj strony badane, inaczej może światłem krytyki rozjaśnione, jak to zdarzyć się mogło w powieściach. Nie koniec na tém.

Często u nas zarzucają krytykom, że—zamiast sądzić twory istnie-jące, wedle postulatów własnego tych twórców indywidualnego ich, że tak powiem, wzoru; zamiast ocenić jakim jest dane dzieło: ciż krytycy przykładają do pracy literackiej na stole dysekcyjnym ćwiertowanej, miary ogólnych typów; naciągają, jakby na łożu Prokusta, ten osobnik do miar, abstrakcyjnie z całego zasobu indywiduów—twórców, otrzy-manych. Słowem, trafia się nieraz, że krytyków posądżają o narzucanie autorom: swych widzeń, swych teorii, o nieuszanowanie twórczości in-dywidualnej autora. Zwłaszcza w zastosowaniu krytyki do powieści obecnych Kraszewskiego, ów zarzut może tém pewniej się nastęrczyć czytelnikom, im konieczniejszą się okazuje fachowa różnica poglądów autora i krytyka.

Mówiliśmy już, że krytyk tych powieści musi być dziejopisem, pe-dagogiem, estetykiem. Otóż w istocie może zachodzi wątpliwość i oba-wa nawet, czy przy wielkiej doniosłości szeregu zupełnego powieści z całych dziejów dawnéj Rzeczypospolitéj, pierwszy wzgląd nie zanadto przeważa nad dwoma drugimi; czy historyk zbyt wiele prawdy nau-kowej niebędzie wymagał od powieściopisarza. Pomijajmy kwestyą pe-dagogiki, bo ta chyba przesądzona jest twierdząco.

Na szczęście, autor *Staréj Baśni* sam niejako uprzedził niespo-dziewanych a rzekomych obrońców swoich i umocował krytyka do trak-towania jego pracy w sposób, zupełnie zadawalniający potrzeby kry-tyki. To *placet* autora na wyłuszczone powyżej sprawdziany jego po-wieści mieści się w formie i naturze aneksu, dodanego na końcu *Sta-réj Baśni* p. t. „*dopisek: dziejowe legendy*” (t. III, str. 189—208). Ze-

stawwszy w myśli ten *dopisek* z tém, cośmy wyżej mówili o druku wszelkich komentarzy, które dawniejsza szkoła beletrystów naszych dodawała do płodów swój wyobraźni, na tle historycznym osnutych, musimy przyjść do wniosku, że Kraszewski, odstępując tak od zwykłej swój metody pisarskiej, i to odstępując na korzyść tradycyi przez swych poprzedników wyrobionój, uczynił to nie bez świadomości celu i zasady podobnego odstępstwa. Skoro przyjął tak błędną estetycznie formę *dopisku*, musiał uważać, że albo temat obrobiony w powieści *Stara Baśń* nie odpowiada swemu zadaniu prologowemu, naturze powieści wstępnej, eksponującój niejako punkt wyjścia, motywa całości. Albo też sądził, że estetyczne opracowanie tematu nie jest dostateczne i należy jego niedokładności, choć po niewczasie, uzupełnić. Nareszcie jawi się trzecia alternatywa w wykładzie racyi bytu *dopisku* do *Starój Baśni*: Autor był zadowolniony i z tematu i ze swój fantazyi na dany temat, ale kłoniąc głowę przed wyższym jak własna wola artystyczna, autorytetem: czuł się zobowiązany dać czytelnikowi obraz rzeczywisty opisanych przez się wypadków, by złożyć z siebie odpowiedzialność za wprowadzenie go w błąd, *nawet w powieści*, co do pojęcia i wystawienia dziejów tak odległych czasów.

Spojrzawszy na treść *dopisku*, widzimy, że w nim autor: 1) zbiera w jedną całość rozrzucone rysy duchowej, moralnej fizyognomii Słowian; 2) przebiega i podane w *Starój Baśni*, i pominięte legendy dziejowe. Jest i trzeci punkt przez Kraszewskiego tu dotknięty, to jest 3) metoda, w jaki sposób należy traktować te legendy. Zaczynamy od metody, bo ta wyjaśni racją bytu dwu pierwszych uzupełnień.

Już przed 16 laty, Kraszewski w *Odczytach o cywilizacji w Polsce* (druk *Gazety Polskiej*, 1861 str. 24) podnosząc teorią Moraczewskiego z *Dziejów Rzeczypospolitej polskiej*, wyrzekł w zastosowaniu do podań dziejowych, że „lud z ubiegłych swych przygód tworzy to, czego dusza jego pragnie: ideał swój dziejowy. Prawda w nich nie absolutna (więc jak sądzimy nie bezstronnie-naukowa), nie kronikarska (t. j. niezależna od uprzedzeń i widzeń źródłopisarzy kolejnych), ale *duchowa*. Dla tego podania za podstawę badań dziejowych rzadko służyć mogą, ale są *tkanką ważną dla badacza narodowego ducha*”. Dziś w *dopisku* do *Starój Baśni* (t. III str. 194) pisząc o przerobieniu tych legend przez Długosza w XV wieku, „według idei owoczesnych” oświadcza nasz autor, że Długosz to uczynił równie swobodnie, i bez krytyki, jak późniejsze (legendy) przedstawił w świetle swojego czasu. *Niemoznemu* (jednak) *miec tego za złe* (kończy Kraszewski) *bo każdemu pokoleniu zdawać się musi, iż ono jest w posiadaniu prawdy wyłącznym*.”

Sprowadzając dwa te zdania Kraszewskiego, w przeciągu lat 16 wyrzeczone, do jednego mianownika, trzeba chyba twierdzić w myśl jego, że legendy dziejowe, jako surogat powieściopisarski uważane, powinny być 1) nietykalne w takich granicach, aby przeróbka nie zgasiła przechowanego w nich ducha narodowego. 2) Długosz, i w ogóle każde wcześniejsze i późniejsze pokolenie, byleby owego warunku (ad 1) do-

pełniło, ma prawo w nowym ukształtowaniu tych legend wyobrażać ducha narodowego, którego na swój sposób, względnie, prawdziwie, ile go stać na to było z jego zasobów, pojęło i odczuło. A więc fakta i osoby muszą być zmienione.

Ze taką była podobno myśl autora *powieści historycznych*, wynika z jego sposobu ułożenia „dopisku,” i z traktowania materiału historyograficznego i legendowego w samych powieściach. Co do dopisku, zebrał w nim jedynie Kraszewski rysy kronikarskie, malujące etyczną stronę Słowian. W niej, sądził widać, największy procent ducha narodowego się mieści. Jestto pogląd wymotywowania bardzo potrzebujący, i kto wie czyby mimo to dał się obronić. Następnie, lubo opowiada legendy, wedle wariantów Długosza, przecie nie przyjmuje ich biernie. Odrzuca je krytykująco, lub objaśnia analogiami ¹⁾.

¹⁾ W Lechu Długosza np. widzi herosa-eponyma ludu i ziemi i patriarchalne rządy ojca rodu i narodu, który rodziną rozrodzoną władał. W braku „widocznego pochodzenia czeskiego,” widzi wiązadło dziejów lechickich ze Słowiańszczyzną i uważa że „miejsza się w nim baśń ludowa słowiańska, potargany jakiś poemat stary z wysiłkiem niedołącznym do historycznego oddechowania epoki.” Przy sypaniu mogiły na Lasocie, przypomina sypano przez Szwedów ich władzcom pod Upsalą mogiły. „Z tój to mogiły zrodzona jest legenda o Kraku.” W rządach jednej z córek (Libuszy) w Czechach, spostrzega nową próbę związania Polski i Kraka ze Słowiańszczyzną. Przy opowieści o dwu synach Krakusa, Kraka i Lecha, nasuwa się Kraszewskiemu myśl, czy nie są przedstawicielami dwu dzielnic później połączonych, chrobackiej i lechickiej oraz porównanie, że i w legendzie późniejszej o św. Stanisławie powtarza się rozewiertowanie Kraka przez bratobójcę Lecha. Niedodał, że w *Odczytach* w bójce braci tych widział walkę plemion jakichś blizkich. W każdym razie uważa i to za cechę „ludowej powieści,” podobnie jak powieść o Wandzie, którą mianuje „podaniem mogiłuém,” z ust ludu wziętém jak o Kraku.

W „fabrykacyi,” w „kronikarskiej robocie niezbyt foremnój” o Przemysławie okrzykniętym Leszkiem, spostrzega potrzebę złączenia Lecha pierwotnego z Leszkami i zauważa, że „na dnie podania jest jakaś głucha tradycja o pauowaniu Lechów plemienia czy stanu nad krajem. Godna uwagi tylko (dodaje *Stara Baśń*, III, str. 199) że tradycja o prostém pochodzeniu Przemysława wspomina i że poczucie narodowe ciągle podnosi zasługę nad krew, jak później w legendzie o Piaście.” Pomijam *krytykującą* uwagę o wyscigach konnych, w których po Bandtkiem, Roepplu, Maciejowskim, Gutschmidzie, Zeissbergu, widzi tylko heraldyczny wykład herbowej podkowy (str. 201). Ważnego znaczenia dla teorii w *Starój Baśni* jest ciekawa tradycja o znaczeniu wyrazu Leszek z Długosza wziętego, że „było to miano powszechno i nadano je książętom wysadzonym do rządów, *jakoby miano godności*,” (w oryginale odznaczono). W wyborach nowego Leszka „przyszytych” na tle dawnego 12 wojewodów możnowładztwa widzi: „Jagielloński ej epoki Rplitéj natchnienie.”

O całości legend (*Stara Baśń*, t. III, str. 207) wyraża się znowu inaczej, że tak „jak się z pierwszego wejrzenia na cały ich ciąg przekonać łatwo, nader niefortunnie się składa. Usiłowanie połączenia ich z jakąś chronologią, z dziejami pewniejszych innych państw, nie wytrzymuje najbardziej pobłażającej krytyki. Szczegóły, niemal jedne, powtarzają się kilkakroć, scena przenosi z Krakowa do Gniezna, i z Gniezna do Krakowa bez widocznej przyczyny, Leszkwowie znikają i wracają. Jawnem jest że podanie o mogiłach Kraka i Wandy, i czeskie tradycje zostały wszyte w miejscu dowolnym. Mimo to wszystko (ciągnie dalej Kraszewski) w legendach tych *nie tylko imiona*, ale *główne rysy podań ludu* jeszcze dziś są widoczne. Naprózno tylko usiłował kto z tej tkaniny potarganej i sklejoniej dowolnie, stworzyć ciągłe następstwo wypadków.“

Wreszcie, taką konkluzją krytyczną wyciąga nasz autor ze swej pracy, która śmiało uchodzić może za nową wersją legend dziejowych, nie tylko za nowy pogląd na charakter treści tych legend. Oto słowa Kraszewskiego (III, str. 207—208): „Leszkwowie i ich panowanie, rząd gminowładny pierwotny, obalenie książęcej władzy Lechów przez kmieciów, których Piast przedstawia, są *jedynymi jasnymi pozostałościami historycznymi, które mają znaczenie...*“

Tu autor wszedł na drogę krytyki historycznej jeszcze wyraźniej jak w *Odczytach*, gdyż tam z Łepkowskim więcej trzymał się metody komentatorskiej. Tam odgadywał podania, uważając je za historyczne niejako symbola. Dziś układa je i oczyszcza, nawet nie na zasadzie porównania wszech wariantów, co byłoby jedyną metodą naukową, nie na zasadzie mytologii porównawczej, któraby przez sito swe przesiała prawdę czysto dziejową, zatrzymując sobie swoją własność. Dziś przyznaje Kraszewski w zakończeniu samém *dopisku*, że ów zbiór legend jestto „*plód wyobrażeń i natchnienia narodowego*,“ „na który składały się wieki,“ że „*są kwiatem tym wyrosłym na mogiłach, który coś przecie ma w sobie z ciała i ducha szczątków, pokrytych niem...*“— a przecie traktuje go jako zabytek dziejów istotnych. Bez zasłaniania rezultatu swój pracy jakimkolwiek bądź naukowym dowodem, przystępuje do sekcji tego kwiatu ducha narodowego, i rezultat takowej kładzie za osnowę powieści, już nie w charakterze dowolnego wątku beletrystycznego, ale jako rezultat studyów naukowych, jako kwintesencją historyczną natchnień i wyobraźni ducha narodowego.

W Popielowych stryjach spostrzega „*dwadzieścia plemion słowiańskich*.“ Cytuje przycém szeroko ustęp otrucie opisujący, „*aby o powieści Długosza (sic) dać wyobrażenie*“ (III, str. 204); tymczasem, mówiąc nawiasem jest to powieść Kadłubka tylko nieco zmieniona. Przy powieści o Piaście zaznacza, że Długosz (więc nie autor?) widzi w pielgrzymach aniołów lub apostołów Jana i Pawła, że nakarmienie i napojenie tłumu wyborców przez Piastę jest „*wielce charakterystyczne, gdy się wspomni sejmy późniejsze*.“

Takie postawienie kwestyi zdaje się przekraczać skromne ramy zadania powieściopisarskiego, choćby nawet nie pod grozą: *cyklu z całych* dziejów naszej dawniej Rzeczypospolitej podejmowanego, choćby zacieśnionego do zakresu *jednej* powieści. Gdy to przekroczenie ram jednak autor wyraźnie zapowiada w „dopisku“ komentatorskim, *eo ipso* poddaje się pod wszystkie jego skutki.

Mianowicie w powieściach historycznych Kraszewskiego nie będziemy szukali tylko tła epoki, na której akcja fikcyjna się rozwija, aby do niego przyłożyć sprawdzian, badań naukowych i przekonać się czy przybór zewnętrzny i atmosfera duchowa *fabuły* odpowiadają ułamkowi czasu i miejsca przez akcją lub bohaterów wskazanemu. Praktyka taka krytyczna nie przedstawiałaby trudności, aczkolwiek za główny szkopuł jej uważają rozmaitość rezultatów otrzymanych dotąd, np. w kwestyi dziejów początkowych, pierwotnej organizacyi Polski.

W chwili gdy Kraszewski rozpoczynał swe *powieści historyczne*, Kętrzyński obalił ostatnią podporę dotychczasowego labiryntu błędów, w rzeczy połączenia Lachów (niby to Lesgów, Lazzów, Ut-lachów, Leksowiów, Linchitów ilirskich) z szlachtą, etymologicznie i etnograficznie. Studya Szembery, Ireczka i wielu innych a po Maciejowskim, Lelewelu, nowsze Hubego, Piekosińskiego i: coraz więcej światła rzeczywistego rzucają na organizację wewnętrzną czy to Słowian czy Polaków (do XIII wieku). Było to tło naukowe, którego zużytkowanie wystarczałoby dla zwykłego beletrysty, do odmalowania strony społecznej. Większy kłopot stanowiłby mogły wypadki polityczne, na które zapatrywania się dość daleko rozchodzą, zwłaszcza gdy krytyka źródeł pozostawiała wiele do życzenia, i głównie może rzecz mąciła. Był jednak punkt wyjścia zgodny z wymaganiami naukowymi zwykłych powieści, a ten się przedstawiał nader naturalnie. Dość było przyjąć którą ze znanych metod pisania cyklów powieści historycznych, więc właśnie tylko tło dziejowe biorących, ducha epoki zużytkowujących: a sprawy się załatwiła bez kłopotu.

Wszakże „dopisek“ do *Starej Baśni* okazuje nam, że powieściopisarz staje na gruncie krytycznym nie beletrystycznym. Nikt bowiem po jego przeczytaniu nie może zaprzeczyć, by autor nie chciał iść w ślady całej szkoły euhemerystycznej, która w pierwszej księdze Mateusza (*resp.* Kadłubka), w zbiorze jej podań widziała zamierzchłe ślady historii politycznej. Naruszewicz, Lelewel, Bandtke, Ossoliński, Szajnocha, Bielowski, Maciejowski... to poprzednicy Kraszewskiego, gdy obok tego ciż sami nawet pisarze nawiasowo, a dalej Roeppl, Łepkowski, Saint Marte, Rogawski, Roemer, Grohmann, Karłowicz i wielu innych reprezentują kierunek mytologiczny w badaniu owych legend, uważają je za skarbnicę wiedzy do dziejów religijnych, obrzędów i t. p., pierwotnych Polan, Chrobotów i t. d., nie zaś do ich dziejów politycznych. Wolno było tak lub inak postąpić sobie Kraszewskiemu, iść za jednymi lub drugimi, jednocześnie, ale tylko w pracy o formie ściśle naukowej mogliśmy

bez słusznego zdziwienia napotkać szczegóły, obficie rozrzucone w dziele bądź cobądź beletrystycznym.

Jak „dopisek“ *Starój Baśni* wychodzi z obrębu reguł, przynajmniej przez Kraszewskiego w sposobie pisania powieści historycznych zachowywanych, tak z drugiej strony ten rodzaj usprawiedliwienia, jakby krytycznego, poglądów powieściopisarza przygotowywa nas do wyraźnie tak zwanych „epilogów“ treści niemal kronikarskiej w *Luboniach*, *Braciach Zmartwychwstańcach*, *Mastawie*, *Boleszczycach*, których zadaniem jest połączenie z sobą tych „powieści historycznych“ z jedną ciągłą „historją narodu.“

Ten sam charakter mają epizody w tych powieściach, które *in medias res* wprowadzając czytelnika, muszą przez usta swych aktorów zaznajomić go z precedencyami akcji. Widzimy to w *Braciach Zmartwychwstańcach*, *Mastawie*; tu w powieści o losach rodziny Kazimierza przed wygnaniem i chwilą jego pojawienia się w powieści; tam w autobiografii Chrobrego. Pieśni Słowana, oraz tu i owdzie zrobione uwagi w dyalogach *Starój Baśni* są wzorem po temu. W *Boleszczycach* pobyt w Kijowie tak samo jest opowiedziany w toku następujących po nim wypadków.

Jako dalszą cechę niepowieściowego zakroju cyklu ostatnich prac sławnego naszego pisarza, stawiamy nietylko bezpośrednie zużytkowanie ze źródeł, ile wyraźne cytowanie ich na dole stronic powieści ¹⁾ tak, jak to ma miejsce w pracach źródłowych, na materyale bezpośrednio opartych. Praktyka ta jest dla nas niezrozumiała, zważywszy, że mamy w tych samych powieściach setki dowodów bezpośredniego korzystania ze źródeł, i to bez najmniejszej wskazówki, że dane szczegóły z kroniki są wzięte. Nawet domysł, że Kraszewski chciał usprawiedliwić lub zaznaczyć cytata źródeł, swe odstępstwo od jakiegś przyjętej rutynicznie tradycyi, lub od prawdy dziejowej—wnet upada, bo tam gdzie to odstępstwo widoczne jest w rażący, (najniepotrzebniej nawet) krytykę sposób (bez widocznej korzyści dla „bajki“), tam usprawiedliwienia tego zgoła nie spotykamy, a szczególnie tam pożytek cytat byłby na miejscu. Tu należy np.: w *Braciach Zmartwychwstańcach* zastąpienie królowej w uwolnieniu Jaksów przez Teodora, i przekształcenie całej anegdoty symbolicznej (por. *Łązia Chrobrego*, Szajnochy) na fakt charakteryzujący Chrobrego. Poselstwo Jaksów po koronę, ich uwięzienie, i cudowne z więzienia dobycie się, należy nie do 1025 ale do 1004 (8). Opis sądownictwa (II, 14) inaczéj jest podany w Gallusie; Sławnikowie w Czechach w epoce *Braci Zmartwychwstańców* już nie żyją, (I, 119), bo przed 997 wyróżnięto wszech prócz ś. Wojciecha i Sobieborza: ś. Wojciech zginął 997, Sobiebor 1004. Oda margrabianka przed ślubem nie była na dworze Chrobrego.

¹⁾ *Lubonie*, II, str. 46, 58, 116, 209, *Bracia Zmartwychwstańcy*, II, 173, *Mastaw*, II, 97, *Boleszczyce*, I, 94, 121, II, 196.

Przez nadanie zaś téj formy naukowej swéj pracy, autor jéj naraża się chyba świadomie na zapytanie, czemu w cytatach nie jest konsekwentny, to jest czemu ich wszędzie przy użyciu źródeł nie czynił? Niedosć na tém. Ten pozór źródłowości usprawiedliwiłyby krytykę w jéj postępowaniu, gdyby chciała kontrolować cytaty jawne lub wplecione bez śladu w tekst powieści i ścisłość onych sprawdzać. Usprawiedliwiły ją nawet dostatecznie, gdyby zapytała się, czemu w użyciu źródeł nie trzymał się metody krytycznej, niebrał źródeł społecznych lub wcześniejszych, już z tego tytułu na większą wiarygodność zasługujących, od Bogułała lub Długosza np. w dziejach X—XIII wieku. Cytowanie kronik nastęrczyłoby nauce jeszcze jedną bardzo słuszną uwagę ze względu na formę naukową *powieści historycznych*. Gdy autor ich wykazał umiejętność łaciny średniowiecznej, oraz zapał do wertowania kronik w oryginale dla zdobycia jakiegoś charakterystycznego szczegółu, rodzi się pytanie, czemu w podobny sposób nie studiował dyplomatów? Akta, z XIII wieku pochodzące zachowały w sobie ślady dawniejszych czasów, z epoki społecznej wypadkom spisowanym w powieściach Kraszewskiego. Dochoowało się téż dosć, już drukowanych aktów z XII wieku. Ogół ich nie przedstawia danych politycznych, ale fakta społeczne, których zresztą uławnione zużytkowanie i przedstawienie systematyczne miał szanowny autor *powieści historycznych* w pracy R. Hubego pod tytułem *Prawo polskie XIII wieku*.

Ze Kraszewski z niego nie użytkował, że ciekawych dopisków Piekosińskiego do *Mon. Medii Aevi* z r. 1874 nie spotrzebował, możemy zrzucić na karb krótkiego przeciągu czasu, między wyjściem tych źródeł, z jego prac wpływającego. Wszakże, wobec licznych dowodów korzystania z prac Lelewela, Bielowskiego i Szajnochy, nasuwałaby się nauce słuszną racya do podziwu, czemu *Stara Baśń* w swéj treści społecznej, tak mało, że nie prawie śladów korzystania z dawniejszych prac Maciejowskiego, F. Zielińskiego (*Biblioteka Warszawska*), lub Ireczka nie przedstawia. Dokładność w jednych punktach, użycie źródeł i opracowań w jedném miejscu, pociąga za sobą nieodwołalnie dla autora obowiązek tych samych zalet gdzieindziej; zmusza go do ciągłej odpowiedzialności, dobrowolnie zaciągniętej, przed trybunałem raz uznanego sędziogo.

A teraz dodajmy do tego, że obfitość istotnie historycznych szczegółów, dochodząca do wyczerpania wszelkich znanych dotąd faktów, szkodzi bardzo często polotowi twórczej fantazyi autora; że prawie ciągle powtarza się w *powieściach historycznych* Kraszewskiego jeden i ten sam fakt, iż wyobrażenia zbiera się niekiedy do bardzo świetnego lotu. Lecz oto niezabawem, jak zestraszona swą śmiałością ptaszyna, przypada do dziejowego gniazdka, z którego na chwilę ulecieć chciała... przypada, mówimy, żeby nie powiedzieć upada, czy ugodzona śmiertelnie przez własną obawę i cześć dla swéj kolebki, od której za lekko-

myślnie niby poważyła się odbiedz, czy strącona z wyżyn powietrznych przez własny zamach przebiegnięcia zbyt prędko zbyt wielkich przestrzeni. Ogół znanych mi recenzji poważnych, przechyla się do ostatniej hipotezy, usprawiedliwiając jej możliwość mnóstwem prawdziwych drobiazgów.

Wszystko, cośmy dotąd powiedzieli o zewnętrznej stronie powieści Kraszewskiego, to jest o formie ich, przypominającej raczej dzieło naukowe, niż beletrystyczne, kazałoby sądzić, że to cześć dla dziejów, dla nauki, tak obezwładnia poniekąd energią jego wyobraźni twórczej.

Zauważyć dalej wypada, że autor w znanych dotąd i tu rozbiernych powieściach, trzyma się ściśle podziałów i panowań władców, na sposób zwykłych naszych podręczników historycznych. Co powieść, to nowy dział historii kompendyalnej. Czasy tak zwanych dziejów bajecznych zamknął Kraszewski w pierwszej powieści. W *Luboniach* opisał rząd Mieszka I. Następna praca, lubo podjęta żywot Bolesława I na jego schyłku, skreśliła go całkowicie i nawet objęła rządy Mieszka II. W dwu statnich, wichury, które zmiotły Ryksę i Szczodrego, znalazły miejsce swe.

Ta łączność wątku dziejowego, mimo odrębnej rzekomo budowy powieści pojedynczych, nastęrcza autorowi zadanie, stanowiące zwykle szkopuł tylko prac dziejowych, które przedstawić mają w nieprzerwanej powieści: nieprzerwany a drobny, ciągły a nieznaczny rozwój instytucji, wypadków i t. p. zjawisk, dotyczących całego narodu, nie jednostki. Zadanie to zmienia wręcz charakter *powieści historycznych*, które zamiast być charakterystyką jednostek i wypadków kulminujących w dziejach, przechodzą w zasadzie w szereg obrazków, liczebnie i jakościowo odpowiednich ilości i treści faz rozwojowych całego narodu. Jest to więc podręcznik powieściowy do dziejów naszych rzeczywistych.

Tak autor zstąpiwszy z drogi beletrystycznej (sądzimy, że świadomie), dał jak najzupelniejsze *placet* krytyce do zajęcia stanowiska zgodnego z charakterem naukowym i nauczającym jego pracy cyklicznej. I jeżeli krytyka będzie głównie uwydatniała strony estetyczne i doniosłość pedagogiczną powieści Kraszewskiego, i tylko wtedy wytknie błędy dziejowe, gdy artyzm lub dydaktyka (w myśl Bobrzyńskiego), lub zwykła ctyka niepotrzebnie przez nie zaszwankuje: nie należy tego ograniczenia się krytyki uważać za konieczność, narzuconą jej przez przedmiot studyów jej, lecz za wypływ własnej jej inicjatywy. Dobrowolnie, umyślnie obniża kryterium naukowe, poprzestając na dwu innych, zważywszy, że jest wobec nowej, dopiero wyrabiającej się formy literackiej.

Takie zaś porodziny nie odbywają się bez wstrząśnień, bez prób nieraz ułomnych, bez zbroczeń niemal potwornych. O ile studium ich jest ciekawe i konieczne dla oceny wartości następných ogniw cyklu, o tyle znowu przynosi z sobą łagodzące okoliczności; wykazuje tyle trudności naraz zbiegających się dla zdławienia nowego tworów, że mimowoli wymagania krytyczne maleją jeśli nie we wszystkich, to przynajmniej

w najgroźniejszym dla nowój formy powieściowej, warunkującym ją nawet, bo w naukowym kierunku.

Że to jest nowa forma beletrystyczna, najlepiej przekona krótki rzut oka na metodę dotychczasowych w Polsce oryginalnych lub tłumaczonych powieściopisarzy cykliczno-dziejowych, i porównanie z nią sposobu traktowania fantastycznych i dziejowych materiałów przez Kraszewskiego.

I tak: Walter-Scott, którego naśladowcami zdają się być Bernatowicz, wielokroć Bronikowski i inni, a więc który słusznie za dawcę jednego typu powieści historycznej naszej może być uważany, jest cyklikiem jeśli nie z ciągłości i wyczerpania pewnego wątku dziejowego, to przynajmniej z jednostajności atmosfery idealnej, jaka owiewa i przenika wszystkie jego powieści, czyni ogniwami jednego, choć nie systematycznie i pod różnemi nazwiskami ciągnącego się łańcucha. Dzieje Szkocji niezależnej, w życiu królów, zapędach możnowładztwa, przygodach młodych synów rodziny reprezentowane; zamęt wojen domowych, szarpiących łono ukochanej macierzy, wreszcie wypadki obchoźące autora jako wielko-brytańczyka: oto pospolity wątek powieści Walter-Scotta, oto ogólne ich ramy.

Aleksander Dumas (ojciec), który jeśli nie naśladowczy, to przynajmniej, dotąd jeszcze utrzymujący się, zapał czytelniczy rozniecił, zamknął się w okresie, jeszcze podobno ściślej dającym się oznaczyć. Czasy Francji od Franciszka I do Ludwika XIV, więc doba najwyżej rozwiniętego życia dworskiego, przepychu, intryg, pojedynków, doba podobnie ruchliwa, jak ta, którą obrał autor *Wawerleya*; lecz nawet w najmocniej uwydatnionym ruchu jednostek, zawsze tak zabarwiona ideą monarchiczną, ideą naówczas narodową, jak u Walter-Scotta miłością gór i niw rodzimych: oto pole, po którym stale a z lubością uwija się pegaz Dumasowski, strojny we wstążki *gages d'amour*, zawsze na posługach sekretnych. Takie jednak ograniczenie się w sferze działania beletrystycznego u obu pisarzy nie identyfikuje się z pedantycznym jój wyczerpaniem. Pisarz w polocie fantazyi niczém nie skępowanej, góruje w obu nad historykiem, któremu ciężą okowy wierności krytycznej. Dramaturg, a przynajmniej umiętny zaplątywacz węzła powieściowego i efektowy inscenizator, prym w obu bierze wobec sumiennego benedyktyna, który fakta na pergaminie z równą skrupulatnością pod daty chronologiczne zaciąga, jak za każdym pacierzem nowe ziarnko z różańca spuszczał. Fantazyja ich kapryśna ma coś z przymiotów motyla. Tu usiądzie, tam podleci, wyminie to, a tamto wybierze, nie wedle ważności wewnętrznej, lecz wedle chwilowych... rzekłbym natchnień, boć motyl to symbol duszy (Psyche). Ilekroć szept obcych względów, namowa i wskazówka zewnątrz płynąca, wkłada pochodnię niedowierzającego badania w dłoń Psyche, zamienia sympatyją estetycznego twórcy na studyum rozkosznisia umysłowego... tylekroć pierzcha spłoszony Amor. Kropła płonącej oliwy, która pozbawiła Psyche jój tajemniczego małżonka, to stał skalpela śledzącego w gardziółku sło-

wika tajemnice jego śpiewu. Morderca już wie... ale już nie słyszy. Psyche widziała... ale straciła, co posiadała... nie widząc.

Walter-Scott i Dumas, co do planu każdej z swych cyklowych powieści, mają zawsze na oku tylko estetyczne swe zadowolenie, za-dosć czynią doraźnemu popędowi muzy. Obręb zewnętrzny niejako, najdalszy ich działania, leży w ich duszy stale, i równo stale przejawia się w każdej powieści; lecz uwydatnia się dopiero w umyśle czytelnika w skutek obejrzenia wszech płodów skończonej produkcyi autorów. Zdawałoby się téż, że poza idealną atmosferą całego ich cyklu beletrystyczno-historycznego... brak im tchu nagle. Lecz w tej sferze nigdy nie czujesz, by pierś ich mozolnie pracowała, dla wydania pewnego w tej sferze zawartego ustępu. Sporadycznie pojawiając się, uzupełniają się samowolnie, to jest tak, jak powstawały.

Tęż samą łączność moralną, to pokrewieństwo familijne posiadają sanockie powieści Kaczkowskiego, choć o znaczenia typu osobnego nie dorastają. Kraj tam ginie w zaścianku, idea ogólna nie istnieje, więc i nie wpływa na bohaterów powieści, nie motywuje związku całości i fabuły pojedynczych.

Najbliższy zamiarami Kraszewskiemu Magnuszewski, tak nawet dziś w warszawskich pismach chwalony przez jednych (Wojciech Dzie-duszycki), a ganiony przez drugich (Piotr Chmielowski), chcąc skreślić dzieje kobiety polskiej, *wybrał* z nich trzy tylko fazy, trzy doby. Widzimy tu już rozmyśl, działanie więcej obiektywne; wszakże jest zgodne z naturą twórczości estetycznej, bo obiera tak obszerne pole, że skrzydła natchnienia nigdzie o szczeble klatki uderzyć nie mogą. Mniejsza z tém, czy obrał dobrze te trzy punkta przełomne w rozwoju ogólnym, czy obrobił je w szczegółach należycie (o co spór właściwie ciągle się toczy, a na czém teraz nie zależy). Fakt co do układu jest ten, że zamiast uspić czytelnika całą falą tonów i sprzecznych melodyi, Magnuszewski pokusił się wziąć z całej gamy dostępnej sobie trzy dźwięki, i z nich złożył „akord doskonały“ (*vollkomener Dreiklang*), dość silny, choć jeden, aby zostawić głębokie, wyraziste i ogólne wrażenie na duszy czytelnika, by dać mu jasną formułę dla mrocznych jego marzeń.

Ta wstrzemięźliwość w swobodzie przysłała na myśl i Bobrzyńskiemu w recenzji powieści Kraszewskiego, i wyraziła się anegdota z dziejów literackiej twórczości Goethego (*Dichtung und Wahrheit*). Po napisaniu *Goetza z Berlichingen*, przyszedł do „wielkiego poganina“ księgarz i wypraszał sobie u autora kilka utworów tego samego gatunku. Obiecywał za to dobre honorarium. Cześć dla piękna prze-ważała, a raczej była w zasadzie wyższą nad cześć złotego cielca w du-szy „wielkiego poganina“, bo Goethe w *Goetzu* jedynym, całe wieki średnie Niemiec przedstawił.

Z pracowników beletrystycznych nowszych Niemiec, Gustaw Frej-tag, zdaje się, najwięcej wpływu wywarł na pojęcie cyklu powieści historycznych Kraszewskiego, czy téż najwięcej podobieństwa z nim sa-

moistnego przedstawia. Jeden z krytyków francuzkich, tak powieści (*Die Ahnen*) Frejtaga charakteryzuje: „Nie jest to romans historyczny, gdyż akcja rozwlekła tego tytułu nieusprawiedliwiona; nie jest też to złomek eposu, bo brak bajce motywów dostatecznie silnych, co stanowi cechę tego gatunku poezji. Tém mniej można dzieło Frejtaga uważać za rozdział z historycznej pracy, za studjum obyczajowe, gdyż autor przynajmniej tego się wyrzeka. Jest to więc mieszanina tego wszystkiego, sprawiająca wrażenie nieokreślone nieco, ale głębokie. Jest to niby fresk Kaulbacha, z jego zaletami i wadami. Mamy tu piękne grupy o jędrnych obrysach, niejednen szczegół plastyczny dąży do uwydatnienia się, ale całość mroczy się światłem bladym i wątpliwym, w skutek czego rysunek staje się niewyraźny i czasem zaciera się.” A jednak, nawet w tak pokrewnym *powieściom historycznym* cyklu, treść jego jawi się w wyraźnie charakteryzujących się, w odrębnych barwą i wiekiem ustępach. *Ingo* w 357 r. przed nar. Chr., daje nam obraz Germanii pogańskiej i walk jej z Rzymem. *Ingraban* przenosi w r. 724 w przełom pogaństwa i chrystyanizmu. *Gniazdo strzyżyków* (*Die Zaunkönige*) opowiada dzieje r. 1003, więc kreśli obrazy życia rycerskiego, feodalnego. *Marcus König* w Toruniu rozgrywający się, jednem skrzydłem opiera się o schyłek wieków średnich, drugim dotyka Marcina Lutera; a z romansem głównego wątku łączy się fakt następstw unii Prus z Polską 1454—1466 r. Widać ztąd, że Frejtag czterema wyraźnymi krokami przemierzył starożytność całą i wieki średnie, a nawet już świat nowy zahaczył.

Powieści Kraszewskiego miałyby prócz typu Frejtaga za źródło typ swojski rodzimy, wyhodowany przez naród na reprezentanta epicznego gatunku. Już Chmielowski samą *Starą Basą* tak chciał określić, chciał ją nazwać gawędą. My tę nazwę rozszerzamy do całego cyklu. Mamy do tego podstawę z jednej strony w analogiach, choć są i różnice znaczne między powieściami historycznymi a gawędą.

I tak, wspólnemi obu jest nieopuszczenie niczego z zachowanych szczegółów, co przechodzi w zrównoważenie głównych szczegółów z podrzędniemi, sprowadza więc zatarcie się perspektywy dziejowej. Za tém też idzie mimo pozorów... brak krytyczności, posiłkowanie się każdą starą wieścią, byleby zupełną, bez wglądania, czy jest najdawniejszą, najwiarogodniejszą. Obok tego, różnicę walną powieści historycznych i gawęd stanowi okres zupełnie inny wątku jednych i drugich, może nadający się równie dobrze do tej formy, jak epoka saska i dalsza; ale nie identyczny z pierwotną sferą, pociągający za sobą aparat mniej więcej krytyczny, użycie choćby względne opracowań naukowych. Wreszcie tło bądź co bądź ogólnodziejowe, nie zaściankowe wyłącznie, stanowi różnice i podobieństwa dość wybitne cyklu powieści historycznych i znanych dotąd gawęd.

Pomimo to wszystko, z drugiej strony zdaje nam się jednak, że w pewnym względzie i z pewnemi zmianami, polska nasza gawęda mając wysokie ogólnoliterackie znaczenie, jako *sui generis* zastępczy-

ni eposu ludowego (jakiemi np. są: *Kalewala, Iliada, Mahabharata, Słowo o pulku Igora, Sąd Libuszy, Królewicz Marko* i t. p.), szczególnież kwalifikowałyby się do zajęcia tego stanowiska *de jure* i *de facto* w naszej literaturze. Przyjęty stale przez Kraszewskiego sposób traktowania obszerniej treści legendowej i dziejowej w pięciu znanych nam i rozbieranych tutaj powieściach historycznych, zupełnie odpowiadać się zdaje z jednej strony zasadzie eposowej techniki i konstrukcyi, a z drugiej, fragmentowej budowie gawęd, które dość nawiązać na wyraźnie postawioną ideę legionów włoskich, konfederatów i t. d., dość oprzemienić z zewnątrz tém światłem, które tkwi w ich wnętrzu, które stanowi cały ich urok i nieopisaną pojęć... aby z fragmentów gawędziarskich stanął epos, istotnie ludowy, istotnie tak pierwotny jak wyżej cytowane. Lud go bowiem cały wyśpiewał, lud, który był zarazem piewcą i słuchaczem, który był poetą i aktorem, który tworzył i wyobrażnią i słowem, i krwią, i łzami, i śmiercią. Są to myśli znane czytelnikom *Biblioteki Warszawskiej*, bo stanowią one grunt rozprawy Rządewskiego, mówiącej o eposie ludowej w obec najnowszych badań naukowych, zwłaszcza Steinthala ¹⁾. Nie rozwijamy ich tedy dalej. Zaznaczamy tylko, że uczony ten znajduje warunki stosowne do genezy ludowego eposu tylko w epoce odznaczającej się brakiem rozwinięcia rozsądku (*Mangel an Verstandesbildung d. h. von Logik, Reflexion Schriftgelehrsamkeit noch unberührt*), w epoce niezindywidualizowania się pojęć i uczuć, a więc w chwili, gdy jeden mógł uzupełniać drugiego w tworzeniu, narreszcie w epoce żywej jeszcze obrzędowości ludowej.

Niewszystkie te warunki dadzą się odszukać w okolicznościach, które wytworzyły u nas gawędy. Trudno jednak zaprzeczyć, że jest pewien grunt wspólny na którym zbiegają się: *epos* starożytne ludowe, polska nasza gawęda, a wreszcie i teraz, do godności takiego opowiadania przeszłości a żywiciela i piastuna współczesnych stająca na kandydata, cyklowa powieść historyczna. Popularność i przeszłość tej formy, wciągnięcie w jej zakres wielu zadań, dotąd w konfesyjone, sejmie, trybunale lub gabinecie uczonego i t. d. roztrząsanych, bardzo wiele prejudykatów dla tej nowej roli powieści dawało. Było to niejako rozszerzeniem tylko zadania, rozwinięciem tego, co już zawierało się w zasadzie.

Wszakże nie zaprzeczamy, że już porównanie z epopeją (oczywiście ludową, nie sztuczną) wykazuje jeżeli nie ograniczenia zasadowe i niemożebności, to przynajmniej utrudnione warunki wykonania. Epopea była opowiadaniem rzeczywistości, która tylko przez swe oddalenie i budzone w społecznych uczucie czci, miłości, wchodziła w zakres twórczości, wyobraźni. Owa arcsprężyna epopei: *Deus ex machina*, ten szkopał epopei sztucznej, teraz olbrzymim tylko wysiłkiem fantazyi poetycznej, bez echa często u ogółu, lub nie w tradycyjny sposób omijany, wyobraża element wiary w treść opowiadaną, w jej historyzofiją że tak powiem (w wykład przyczyn opowiedzianej akcji). Jest to god-

¹⁾ *Zeitschrift v. Volker psychologie*, 1869, t. V, str. 1 i nast.

ło łączności duchowej rapsoda i słuchaczy, nie potrzebującej specjalnego, estetycznego wykształcenia, ale płynącej z takiego spółdziałania etycznego jaki wiązał np. legionistów naszych lub konfederatów barskich, ze słuchaczami ich *gawęd*,—że tylko ten przykład jeszcze gdzie niedzie żyjący zacytuje. Grono otaczające rapsoda-gawędziarza, jakby na wieczornicy, stało faktycznie na gruncie tym samym, na którym snuła się „bajka” opowiadacza poety.

Stosunek gawędy i powieści historycznej Kraszewskiego w obecnym cyklu, *pod tym względem* jest podobny do stosunku eposu ludowego i sztucznego, powstałego za czasów istnienia państw i narodów, biorącego źródło w natchnieniu i *w nauce jednostki*. A przez naukę poety rozumiemy umiejętność jego wcielenia się nie tylko w treść ale i formę zewnętrzną, zmysłową, opowiadanego wypadku, czy cyklu wypadków.

Spójrzmy na jakąkolwiek bądź naszą poetyczną „powieść historyczną” a już z jej strony zewnętrznej, przekonamy się o prawdziwości zdania powyższego. Poemat rzecz przedstawia, a noty do niego dodane, po nim następujące, uzupełniają, wyjaśniają, usprawiedliwiają powieść natchnienia.

Z jednej strony znać tu rozłąkę światów: poety choćby historycznego, i jego czytelników, rozłąkę nie z różnicy ich fachów (że tak powiem) ale z różnicy obiektywnej świata eposu i świata słuchaczy płynąca; rozłąkę nieznaną eposowi starożytnemu, prawdziwemu. Z drugiej strony, wszelka intuicyja przychodzi w tym tworzeniu poety lub przyswajaniu jego płodów przez słuchaczy a raczej jego czytelników, do pewnego kresu, za który oboje przejść nie mogą, bez pomocy studyów, badań, wskazówek (not) naukowych. Im rozdział treści opowiadanej i obecnego świata więcej się ujawnia, tym przybór ten naukowy konieczniejszy, a przynajmniej wiarę w słowo poety musi być większa, więc przemiana jego utworu historycznego, rzeczywistego, na utwór jego subiektywny doskonalsza.

Ta okoliczność niebezpieczna dla nadania istotnej barwy eposowej poematom dziejowym, płynąca z rozdzielenia się światów poematu i czytelników—nie jest fikcją. W cytowanej recenzji francuskiej powieści Frejtaga zauważono właśnie, jak w nich uwydatnia się różność charakterów narodowych francuskiego i niemieckiego. Gdy u Francuzów centralizacya gasi poemat i pamięć wieków przeszłych, gdy romanse rycerskie choć odmładzają się z każdym wiekiem g'woli czytelników, gasną w końcu z rozwojem jedności; tymczasem w Niemczech, właśnie nie może i dzięki nieustannemu temu poczuciu dawniej wspólności, żyjącej w legendzie i historii, przez nieustanne żywienie się u wciąż bijącej krynicy wieści o Germanii pogańskiej i wieków średnich,—jedność polityczna nastąpiła po duchowej, a naród zjednoczony, miasto rozbić dawne bogi, składa im ofiary jeszcze z większą gorliwością. „Zdaje się, mówi recenzent, że im terażniejszość dobitniej się zarysowywa, tym gorętsze hołdy biją przeszłości, sądzićby można, (dodaje wreszcie z ironią) że ostatnia wojna (1870-1) rozbudziła pamięć okrucieństw starożytnych. Frejtag rozkoszuje się w tych walkach V stulecia, krew mu sprawia

przyjemność, z dziką lubością maluje rzezie i pożary; są sceny kreślone z taką siłą i żywością, że czytelnik zapomina ich datę przenosząc się w dzieje września 1870, lub lutego 1871 w Bazeilles lub Saint Cloud.”

Taki sąd wydaje francuzki recenzent o łączności światów czytelnika i Frejtaga.

Weźmy *Konrada Walenroda* i... np: *Margiera*, jego odbłask słaby, właśnie ujawniający tém lepiej wady i zalety oryginału. W Konradzie co działa świadomie na publiczność? epizod Alfa i Aldony; reszta poematu, prawie że tylko ze względu na ten epizod, zatrzymuje oko czulego czytelnika. Historycznie... Konrad go zajmować może tylko albo z tytułu prowincjonalności albo też przez nadanie bajce i aktorom znaczenia symbolicznego. Zakon krzyżacki i Litwa pogańska jako antyteza dziejowa nie znajdują w nas bezpośredniego odzewu, bo też nie w ich malowidle tkwi żywotność poematu. Margier, chwytając biernie zewnętrzne obrysy Konrada, chociaż wzmocnił przybór pogański; chociaż nawet może więcej barw epoki zachować... jest jednak płodem martwym w każdym punkcie. A erotyczny epizod, w którym taką potęgę rozwija Konrad—Alf żadnego wrażenia w Margierze nie robi; owszem czem stoi Konrad, tém niepociąga Margier zgoła, i zostawia zimnym czytelnika... wobec urywku pracy archeologicznej.

A weźmy *Pana Tadeusza* lub *Mohorta*; odsuńmy urok poetyczny na stronę, wpływ twórców zawarty w czarze słowa, wyobraźni układu na czytelników. Nie bierzmy nic tego w rachunek. Czém oba te poemata tak chwytają nas za serca, czemu bez mała ledwo że nie dajemy się unieść ułudzie, że żyjemy życiem poematu, jesteśmy uczestnikami jego akcji? Właśnie to w nich tak działa, co działało bezpośrednio w Konradzie: w nim *miłość* jednostkowa, wspólna wszem czasom i miejscom; tu zaś *miłość* ogółu miejscowa ale żyjąca w ustnej lub literackiej tradycji, jeśli nie piastowana zawsze przez wszystkich, to budząca się zpod popieliska egoizmu i... *postępu* przy danych okolicznościach w każdej pierś. Obrazy *Pana Tadeusza* i *Mohorta* zjawiają się tak często w realnej postaci na kartach pamiętników, powieści... że węzeł niegdyś istniejący między ludowym rapsodem, poetą i słuchaczami, (rapsodami *in spe*) niepotrzebuje się umyślnie zadzierżnąć: on istnieje *a priori*. Światy poety i słuchacza tu się jednoczą i choć snu nocnego rojeniem, choć przyśpieszonym biciem serca, choć nerwowym ruchem ręki... wtóruje ten tamtemu, radby słuchacz powtórzyć czyn poety. Może nawet świat Pana Tadeusza podobniejszy do sfery obecnego czytelnika jak świat Mohorta, może więcej punktów łączności między piewcą i słuchaczemby dawał ¹⁾.

Bądźco bądź, zdaje mi się, te przykłady uwydatniają myśl moją, że tożsamość światów poematu i czytelnika dała się osiągnąć już w bieżącej literaturze naszej i że w tym punkcie ujawnia się i uzasadnia cha-

¹⁾ Porównaj charakterystykę Mohorta i Pana Tadeusza, w moim artykule p. t. *Stanisław Moniuszko i Wincenty Pol*, paralela literacko społeczna (Ognisko domowe 1872 r).

rakter epiczny gawęd o *Panu Tadeuszu i Mohorcie*, gawęd pojętych, jako swojski typ ogólnego rodzaju epos: *mutatis, mutandis*. Toż samo da się rzec o gawędach prozaicznych, których twórcą... istotnie naród jest cały.

Cyklowa powieść historyczna w pewnym względzie u nas, powinna mieć takie znaczenie, bo dzieje przeszłości mają wszelkie prawo po temu, by przechodziły w całości swęj *tradycją ustną*; by stanowiły naturalny pomost związku między kreacjami beletrysty i czytelnikiem; by kryterium tkwiło w umyśle i sercu każdej jednostki, nie dopiero w opinii specjalnego badacza lub recenzenta. Nie wchodzimy w rozbiór pytania, czy tak jest teraz u nas, bośmy właśnie wskazali w pierwszej części na okoliczności, taki stan rzeczy faktycznie znoszące; choć *de jure*, przypuszczać należy, że tylko danę sposobności czeka, by w należytej formie się uwydatnił. Opierając się jedynie na fakcie gorącego przyjęcia przez ogół, oraz na sumie i wysokości domagań się krytyków stawionych cyklowi powieści Kraszewskiego, zaznaczamy, że grunt wspólny, szczególniej dla utworzenia się eposu konieczny, istnieje u nas, i że naszym zdaniem właśnie tu jest źródło drugie ustroju tak całości, jak części kreacyi niewyczerpanego naszego beletrysty w zakresie całkowitych dziejów Rzeczypospolitej.

Powieści historyczne Kraszewskiego, to są właściwie pojedyncze pieśni wielkiego ludowego eposu. Jestto epos, jeśli nie tworzon wraz z Kraszewskim przez naród cały, to zostający pod kontrolą jego; jestto epos przez wiarę i miłość do przedmiotu, jaka (przynajmniej w zasadzie) zarówno piszącego, jak i czytelników ożywia i identyfikuje. Z drugiej strony jestto podręcznik, odpowiedni do społecznego stanu literatury powszechnej i krajowej, mający uzupełnić i wzmacnić to, co by przypadkiem w praktyce z braku pożywienia gasło, lub zmarnieć mogło.

Bohatérem eposu naród cały jak w podręczniku; ztąd też wynika warunek zupełności w obrazowaniu faz rozwojowych bohatera i punkt rozdziału cyklu powieści Kraszewskiego z eposem, pojętym bądźco bądź jako forma estetyczna, nie zaś pedagogiczna. Właśnie epizody, które stanowią drugą cechę podobieństwa cyklu beletrystycznego z eposem istotnym o dziejach Rzeczypospolitej, u Kraszewskiego noszą znanie monografii naukowych. Wyczerpują bowiem szczegóły, znane już w swęj ogólnej zasadzie i ważne tylko ze stanowiska ścisłości dziejowej. Wystarczałoby dla epika zarysowanie jednorazowe idei, służącej im za podstawę. Umiejętny opowiadacz na tém nie poprzestaje. Tu też Kraszewski, jako powieściopisarz historyczny spotyka się w sposobie traktowania epizodów z historykiem powieściopisarskim, z Szajnochą.

Podobieństwo dwu tych pisarzy, mimo całej różnicy ich zawodów, tak w pojmowaniu planu całości, jak w obrobieniu szczegółów każdej części, dziwnie jest uderzające. Są różnice, ale jakież wielkie są podobieństwa, ile że obaj są epikami w powyższym rozumieniu rzeczy!

Rzekłbyś, że to w pieczarze Ojcowa, kędy wedle tradycji *Łokcio-we książątko* (jak drugi Bruce lub Alfred angielski) snuło plany oswo-bodzenia, dwa wysięki wapienne, ten z dołu, ów z góry wciąż do siebie dążą. Tu powieści czerpiąc coś z wspomnień, a coś z serca i fantazyi, spuszcza się z wyżyn natchnienia; tam, kopiać się w dokumentach znojna praca badacza, dźwiga przeszłość z grobu niepamięci. I oto na pół drogi, stalaktyt i stalagmit zlewają się w tęgą podpórę pieczary Ło-kietkowej, w tęgą podpórę skały, na której grzbiecie zamek „Króla chłopców,” króla Polski murowanej, króla prawodawcy stanął. I oto owoc pracy i owoc przeczucia zbiegają się w zamiarach, aby wytworzyć podstawę dla młodszego społeczeństwa. Co jednak jest zaletą w mrów-czej pracy, choćby takiego autora szkiców historii, jak Szajnocha, to wychodzi na wadę niemal w cyklu beletrystycznym Kraszewskiego. Dzieła takie, jak *Jadwiga i Jagiello*, *Bolesław Chrobry*, *Odrodzenie się Polski* lub *Dwa lata dziejów naszych*, czy też niedokończony cykl *Opowiadań o królu Janie*, mimo beletrystycznej formy, są w gruncie rze-czy umiejętną mozaiką szczegółów kronikarskich i dyplomatycznych.

Tymczasem powieści historyczne tej ciągłości do tej pory nie mia-ły, bo nawet jak to w Frejtagach *die Ahnen* widzimy, tam są typy okresów odrębnych podawane i powieści szczegółowe zostawiają między sobą luki kilkuwiekowe. I w tym razie Kraszewski wszedł na drogę kompendyum, w porządku dynastycznym opowiadającego dzieje narodu.

By temu zadaniu sprostać, uciekł się do metody, niezwykłej ani Walter-Scottowi, ani Dumasowi, ani Magnuszewskiemu, że już Frej-taga pominę. Pierwszy z wypadków i postaci dziejowych stworzył tło chronologiczne w ten mniejwięcej sposób, jak w *Panu Tadeuszu*, echo Napoleońskiej wyprawy czas akcji określa. Osoby i wypadki fik-cyjne, wiążąc się z dziejowemi, wyosabiają się stale; ale odrębność dwu tych wątków nie szkodzi jedności bajki. Bohaterzy romansu są *wplą-tani* w wir dziejowy osób prawdziwych, a jedni i drudzy zachowują w obyczajach, myślach, dążeniach, koloryt czasu i miejsca. Dumas nie troszcząc się o taką wierność historii, fikcyjnym osobom i fikcyjną i dziejową akcją poczęści każe rozgrywać. Bohatér romansu staje się pierwszorzędną dźwignią intrygi dziejowej. Magnuszewski i inni pisa-rze stwarzają akcją prawdopodobną i rozdają w niej role postaciom his-torycznym. Kraszewski zupełnie nową metodę sobie obrał. U niego, że tak powiem, są dwie grupy działaczy (*träger*): jedna dziejowa, która z nużącą niemal skrupulatnością podnosi wszystkie szczegóły history-czne i ze szkodą nieraz estetyczną powieści w tok jęj one wplata. Druga trupa działa na wzór bohaterów Walter-Scotta i to snuje się wśród wypad-ków dziejowych, od nich po części w swój doli zależna. To znowu jak Hoża w *Luboniach*, jak Teodora Sieciechówna w *Braciach Zmartwychwstań-cach*, jak Marta Spytkowa w *Maslawie*, jak Mściśław z Bużenina w *Bo-leszczykach*, ledwo nie stają się sprężyną całej intrygi dziejowej na wzór Dumasowskich bohaterów. Ta okoliczność nam tłómaczy owe nieczrozumiałe, ile się zdaje, dla Chmielowskiego zjawisko, że powyższe

postacie, zrazu pozując na bohaterów, naraz bez słusznej racji, jak marionetki, spadają pod scenę, ściągnięte dłonią reżysera. Kraszewski tu nie z pośpiechu nie obmyślił charakteru i akcji swych aktorów, jak mu ten krytyk zarzuca, ale szedł za tą lub ową znaną sobie metodą powieści historycznych, spojona własnym sposobem traktowania ich. Gdyż obie krzyżował wzgląd, że to jest kompendyum dziejowe, że więc fikcyi niewolno tak usuwać historyą. By więc tój i tamtój zapewnić miejsce w swych tworach, obmyślił nasz autor system wspomniany dwu trup, grających też samą akcją *en double* tak, że raz wykonywali rolę aktorzy dziejowi, drugi raz ich *doublures* (podszewki sceniczne), czysto fikcyjne. Tym sposobem metoda Dumasowska przeważa w *trupie wyobraźni; trupa rzeczywistości dziejowej* stara się chodzić ścieżkami nauki, ale w skutek tego dopełnia nieraz mord na aktorach fikcyjnych, jak to zaznaczono wyżej.

Często też zdarza się, że Kraszewski zapomina, że nawet fikcyjne jego postacie i intryki muszą być typami charakteryzującymi daną chwilę dziejową, że mają dopełniać przez ten szczęśliwy może pomysł, akcji dwoistej: publicznej i prywatnej, to w części prywatnej, co wierność naukowa nie dozwoliła przemienić w bajce i obsadzie dziejowej.

Akcy a aktorzy prywatnej niejako natury, dopuszczali więcej mozaikowości w robocie, więcej skupiania w jednej fikcyjnej osobie lub czynności i szczegółów rozrzuconych po wielu, właściwych różnym. Otóż może dlatego uciekłszy się do nich, Kraszewski często o tém założeniu jakby zapominał i rysuje w trupie pomocniczej bezlik postaci bezbarwnych. Powtarza kilkakrotnie nie typy, ale nędznych komparsów, którzy nie malują właściwie pożądanej różnicy czasów, choćby maluczkię, nie zaznaczają przekształceń obyczajów, poglądów i t. p., ku czemu służyć chyba miały w pierwotnym zamiarze autora. W trzech np. pierwszych powieściach są błaznowie (Znosek szpieg, Psiajucha i Zyg, niby uwydatniacze charakteru bohatera), ginący w ostatnich opacznie może. Sambor, Mucha, Znosek, to typy jakiegoś platonicznej miłości w *Starój Baśni*, żadnej antytezy narodowej nie wyrażające. Antonia w *Braciach Zmartwychwstańcach* przedstawia... istotę, której typ drugi zjawia się w Odzie margrabiance z tą różnicą, że tamta... gospodyni kocha wiernie jednego i zato jest ślubem wynagrodzona, a ta zalotnica oczkuje ze wszystkimi i zawsze, choć zrazu niby o ułowienie męża chodziło. Takie łowy powtarzają się i w *Mastłowie*, kędy Marta Spytkowa, może być typem słynnej w legendach lubieżności Rusinek. Hersztowie ludu, ledwo zarysowani, giną niewyraźnie w *Mastłowie*, w natłoku par miłosnych, gdy w *Luboniach* wystąpili dobitniej przy boku Wigmana.

Ponieżj zobaczymy też, że w *powieściach historycznych* uderzającą jest przewaga i luźny związek z główną treścią licznych bardzo epizodów. Rzecz ta była do przewidzenia niejako z obioru powyższej metody dwoistości akcyi, wszakże widoczne wskazówki utrzymania umyślnego odrębności tych epizodów ze szkodą jedności powieściowej, zdaje się stać

w związku z chęcią nadania cyklowi formy jaknajbardziej epicznej, formy dopuszczającej te wycieczki w bok od akcji głównej.

Zdaje się, że autor *powieści historycznych* w tym razie chciał czytelnikowi dać możność tej umysłowej rozkoszy, która polega na współpracy z pisarzem czytanim. Wszakże ta kolaboracja wymaga pewnych przygotowawczych studyów w probującym jej i powieść się może jedynie... niezwyktemu czytelnikowi. Uprawiacz beletrystyki „przeciętny” nie jest zdolny wznieść się bez pomocy romansopisarza, zwłaszcza historycznego, na stanowisko tak wysokie, by zawiły układ dzieła, jak w obrazie *à vol d'oiseau*, jak w topograficznych opisach *les Misérables* Hugona uzmysłowił się jasno. Z powieściami Kraszewskiego z rozbiętego tu cyklu, dzieje się, jakby z rzeką nabrzmiałą wiosennymi wodami. Szeroko rozlane jej fale, mają wszelkie pozory owych „gapo” amerykańskiej Amazonki, które choć ma pozór jeziora rozległego, jednak nurt prawdziwy śle jednem, nieraz bardzo wązkim i nieznacznym korytem. Reszta wody powolniej się toczy, łacniej się rozszcza na ramiona i łachy odrębne, wśród przeszkód nieznacznych wytwarza prądy koliste, bez wyjścia, zdradziecko pochwytyjące zabłąkanego z „samicy” żeglarsza-czytelnika, lub też go na jakim „haku” osadza, z którego nie bez trudu i znużenia wypadnie mu samodzielnie się zsuwać. Inaczej mówiąc, w szczupły nieraz i dramatycznie często pomyślany wątek powieści, bądź go legenda, bądź dzieje dały, autor wsuwa tak liczne epizody i często o tak luźnym związku z fabułą zasadniczą, że choć czytelnik z wysokiego stanowiska patrząc na budowę powieści, dochodzi w końcu do nici, która *disiecta membra poetae* skupia w pewną organiczną całość, to praca ta, nie bez powabu dla głębszego umysłu, przedstawia niejako trudności dla tych, coby radzi widzieć w utworze literackim powtórzenie się mytu o Palladzie już zbrojnej, choć dopiero co z kolébki, *respective z głowy* Zeusa ojca swego wysztęj.

Drugą właściwością także z charakteru doby eposów pierwotnych ludowych, czy przejętą świadomie, czy poczętą instynktownie a dobrze, jest zmiana stosunku między użyciem dyalogu, a akcesoryów, do jakich należą opisy cech zewnętrznych swych bohaterów, oraz miejscowości, kędy akcja opowiedziana rozwija się. Nie chcemy przez to twierdzić, by Iliadzie, eposom serbskim, ruskim, czeskim brakło rozmów, nawet silnych, stanowczych; by odwrotnie w powieściach nam znanych powyższe tak zwane akcesorya nie grały wielkiej roli. Istnieje przecie cały gatunek romansów: Redcliffa, Collinsa a nawet Dickensa i t. p., w których dekoracyjność, że tak powiem, należy do samej fabuły dyalogu, równie silnie jak one działa na czytelnika. Daleką jest od nas myśl podobna.

Radziłyśmy jedynie zaznaczyć, że w obecnych powieściach Kraszewskiego, objawiające się ustosunkowanie tych elementów powieściowych, przyczynia się do złudzenia historycznego, o ile nie jest przesadą.

Dyalog, owa potężna dźwignia powieści, rozpytywa się często w monolog, w bezwiedne niejako wynurzenie się bohatera przed zbli-

żonym do siebie z wykształcenia poufnikiem przypadkowym ¹⁾. Inną razą, choć nieraz silnym ruchem bieży, powtarza dawny wątek, nie wpływając na przebieg akcji, na uwydatnienie nowych stron duszy bohaterów ²⁾. Często nawet zapowiadająca się w dyalogu katastrofa, aczkolwiek później w powieści dyalog ów jest w tym duchu akcentowany ³⁾, nie spełnia się, jakby przedstawionym przez autora ludziom natury, łatwiej było o czyny (co i tak jest w istocie), niż o słowa, wyraźnie te uczucia i myśli malujące. Oczywiście nie powiadamy, żeby tak było ciągle. Owszem, imponujący jest obraz np. w *Luboniach* wieca na „lelewem uroczysku“ (t. I, str. 235—238). Aczkolwiek nie rozpoczyna się on jak odpowiednia mu scena w *Ruy-Blasie* W. Hugo, od *Bon appetit messieurs*, wyrzeczonym do grandów, dzielących się Hiszpanią mimo żyjącego króla; to obu sens moralny jeden. Doniosłość ich jednak dla całości estetycznej różna, bo poza przemową księcia na lelewem uroczysku, czynu dopatrzeć się nie można odpowiedniego. Tak się często dzieje z wielu innymi dyalogami i z wielu scenami pięknie obmyślanymi, które jednak toną w przewlekłym opowiadaniu tej samój, niemal wciąż powtarzającej się kolizyi.

Jako charakterystyczny rys, stojący też w związku z podobieństwem względnym metod Szajnochy i Kraszewskiego, u ostatniego występują silnie oddane rysy zewnętrzne ludzi i doraźny stan atmosfery. Szpetota fizyczna Znoska, Henga, Pepekka, w części równie jak ta szpetota na czytelnika lodowo działające otoczenie (*monde ambiant*) Miłosza lub strój Brunehildy w *Starój Baśni*, Gosbert, Wigman, Psiajucha w *Luboniach*, Petrek, „szwab“ Gwido w *Braciach Zmartwychwstańcach*, Masław, Spytak z Ponieca w *Masławie*, sam król w *Boleszechycach*, już zewnętrzną stroną swoją uprzedzają czytelnika o charakterze więcej negatywnym swego działania. Podobnie mniej więcej dodatni bohaterzy już rysami zewnętrznymi za takich przedstawiają się. Biorąc w oderwaniu nie jako zasadę, ale jako wykonanie te fotografie bohaterów cyklu Kraszewskiego: należy podziwiać ich rozmaitość, w wielu razach oddać hołd ich dokładności i wyrazistości.

Prócz tego sposobu ekspozycyi, autor nasz celuje w malowidłach natury. Nie są to ściśle mówiąc typy geograficzne w rodzaju skreślonych przez Wincentego Pola w *Obrazach z życia i natury*, w których język pisarza tak ściśle oddaje właściwości okolic opisywanych przez się, tak plastycznie wyraził i zwroty nadają się do oddania tych typów klasycznych, że kolejno czytelnik w stylu Pola słyszy głosy puszczy leśnej i stepu, widzi holenderski obrazek Żuław wiślańskich i nocny napad wilków. Tém mniej Kraszewski naśladowuje Szajnochę, który daje ogólne obrazy natury owoczesnej, zebrane skrzętnie z kronik i dyplomatów z fankików szczegółowych, ale zostawia czytelnikowi zadanie, aby kolorem i świa-

¹⁾ Wyraźnie autor to zaznacza w *Masławie*, w rozmowie jego z W.

²⁾ Dyalogi w *Braciach Zmartwychwstańcach*.

³⁾ *Ibid.*, wizyta w Gnieźnie Mieszka.

tło-cieniem ożywił te dane jego. Nie bierze też za wzór Walter-Scotta, w którego powieściach topografia stanowi nieraz za ciężki przedśonek do ekspozycji. Kraszewski podnosi raczej tę stronę przyrodniczą, która w życiu ludów i narodów początkowych, choćby tylko wnioskuje przez analogią stosunków takich wśród squatterów i pionierów Ameryki i Australii, wielką musiała grać rolę, co do tej pory wyraźnie da się jeszcze zauważyć na naszych krakowiakach, w których stan natury odpowiada stanowi duszy śpiewaka, nawet i w tym razie, gdybyśmy w tym związku dwu stanów widzieli ślad pewnego obrzędu ¹⁾. A właśnie peryod dziejów dotąd obrobiony w powieściach Kraszewskiego, nawet w kronikach, niewątpliwie nosi znamiona silnego splecenia dwu żywotów: ludzkiego i natury otaczającej. Właściwy jednak opis miejscowości, strona geograficzna, że tak powiem, nie jest pominiętą u Kraszewskiego. Nie to szczególnież wszakże wstrząsa czytelnikiem w malowidłach natury beletrysty.

Te malowidła, jak opis zewnętrznej strony działaczy, uzupełniają samą akcją w ten sposób, że stanowią tło ściśle związane z moralnym stanem osób opisywanych.

Tak np. uwertura przyrodnicza do *Stariej Baśni*, ów krajobraz, po którym sunie się para typowa pierwszego epizodu: kulturträger i ogłupiany przez niego wychowanek; ów cichy, z krajobrazu naturą połączony dramat napadu na tuziemca, broniącego swych głuszy od zdradziecko wkradającego się do nich... „Niemca“, snadnie zyskują przebaczenie u czytelnika dla swój nadmiernej długości (tom I, str. 4—18), staną bowiem za wszelkie wyrazowe omówienia ekspozycji. W *Masławie* niekiedy stan atmosferyczny uzupełnia grozę położenia (np. w opisie powrotu z Płocka wysłańców), lub też przypadki meteorologiczne (deszcz, powódź), przychodzą w pomoc wraz z ludźmi (odsiecz Kazimierza Olsz. horodyszczu, tamże), czyniąc jeden motor niemal zbyt liczny. Epizod puszczy leśnej i chaty w niej samotnika (*Bracia Zmar.*, koniec tomu I, str. 163—168), nie jest dostatecznie wymotywowany co prawda (*Bracia Zmar.*, t. II, str. 133), „Bolesław (bowiem) był przy Aaronie niemal pokornym i posłusznym. W tych sprawach czuł najlepiej wyższość jego“ (por. niemną scenę radzenia się Aarona oczyma przez Bolesława t. I, str. 55—56 i t. d.). Więc Aarona obecność przyzwyczajai musiała Chrobrego do faktu, że księża traktują z góry ludzi (por. że książętami zwak kapłanów, t. I, str. 108). Nawet przed *niełubionym* Petrkiem król skarży się (t. II, str. 78—79, por. 77) na Aarona swego *ulubieńca* (str. 132) przestrogi moralne. Zdumienie więc, że pustelnik traktuje go na równi z innymi choć króla (t. II, str. 193), i wymotygowanie też spowiedzi, uspokojenia... nie wystarczają. Następnie trzeba zauważyć, że właściwe zadanie podróży, w którą jest wpleciony, t. j. narada o koronę podana jest w niepamięć i zbyt krótko. Mimo to, czyta się epizod puszczy leśnej z równym

¹⁾ Porównaj mój artykuł p. t. *Parę słów o krakowiakach w Pamiętniku kieleckim z 1871 r.*

wrażeniem, jakie ma wywołać w bohaterze. Mrówcza pracowitość na Tyńcu benedyktynów, choć nie jest obrazem natury, takż sam osiąga skutek. Arcydziełem zaś jest opis Osyaku, który stanowi rozwiązanie *Boleszczyków*; fakta bowiem w nich podane przedstawiają nie tyle śmierć bohatera, ile przełom moralny w jego duszy, co właśnie stanowiąc, naszym zdaniem, punkt kulminacyjny powieści, okazuje prawdziwą tendencją autora w użyciu takich obrazów. Sądźmy mianowicie, jak to już powiedzieliśmy, że autor odgadł właściwie tajemniczy ten stosunek natury z ludźmi czy to jeszcze dzikimi, pierwotnymi, czy też zdziczałymi, stosunek, który wyjątkowo nawet w niewieściuchach cywilizacji objawia się. A mianowicie, gdy miłość wstrząsa ludzkim organizmem, i nowe życie w niego wlewa; gdy smutek o niemoc go przyprawia, nie lubujemyż się w pierwszym razie głosami natury, jak szmer wody, śpiew ptaka, woń ziół, blaski słońca lub księżyca; a w drugim, czyż to wszystko nie razi i nie wyzywamyż burzy, gromów, trzęsień ziemi i t. d.? Literatura nasza ludowa przekonywa nas, że tak wyjątkowa w wyższej warstwie cywilizowanej zachodząca społeczność duchowa z naturą, tam jest stałym zjawiskiem. Trudno więc w zasadzie mieć za złe autorowi, że uscenizowanie (*mise en scene*) atmosferyczne, może czasem aż do afektacji, dostraja się do stanu psychicznego aktorów. Nie będziemy się spierać dlatego z p. Chmielowskim ¹⁾, czy Kraszewski w *Maslawie* miał na myśli „romantyzm przesadny“ gdy kreślił scenę wisielca i jego matki, dziwny koncert ludzi, przedmiotów martwych i żywych natury (t. II, str. 164—174). Mniejsza, czy to atmosfera *Makbeta*, dziwy *Zamku Kaniowskiego*, lub też wspomnienie sławnego obrazu Beckera: *Resfa, żona Saula, odganiana od ciał swych synów wisielców gromady sępów*, działały tu na autora *Maslawa*. Mniemamy jednak, że słuszniej w recenzji *Boleszczyków* p. Kraszewski ²⁾ zapatruje się na takie formy objawów zewnętrznych życia wewnętrznego bohaterów w Kraszewskiego malowidle. „W całym biegu powieści—mówi sz. krytyk—wszędzie i zawsze bohater idei panuje nad świętym, postać czysto ludzka nad mistyczną. ...I jak z tego szczegółu, tak i z całości wydatniejsze zamiar autora, zasadzający się na tém, ażeby ta serya utworów zapoznawała z duchem czasu, z życiem wewnętrznym pierwotnego ojców naszych uspołecznienia, o ile życie to z drobnych okrucich, jakie im przechował, ułożyć się może... Wierność tę autor przenosi nadto do sfer moralnych i intelektualnych. Ztąd może nas to razić, że personaż (poprawiamy za *personel*) jego powieści z owych czasów, w całym swém wzięciu i obejściu, w całym sposobie bycia, odskakuje od téj konwencyonalnej polerowności, bardzo anachronistycznej, jaką nawykliśmy widywać w poezjach rozmaitych literatur, odnoszących się do epok równoległych, począwszy od wysoko poetycznego Walter-Scotta; ale przeciwnie wprowadza on do cech cha-

¹⁾ Recenzja w *Niwie*, nr. 59, r. 1877, t. XI, str. 797.

²⁾ *Kłosozy*, nr. 631, t. XXV, str. 77—78.

rakterystycznych pewną rubasność towarzyską, całkiem zgodną z ówczesnym stanem oświaty i obyczajów. Przestaje nas to razić, jeżeli, miasto idealnego złudzenia, oświadczymy się chętniej za *prawdą*, i nie będziemy obstawali za tém, ażeby dla lepszego efektu imaginacyjnego, *antycypować* pojęcia, myśli i obyczaje...“ Nawet p. Chmielowski (powiedzmy otwarcie) nie ma racji oburzać się na ten ustęp w *Masławie*, skoro nie podnosi ganiąco takich faktów realistycznych, jak szczątek ucha na kolcu ofiarowanym z łupów swych przez „Sydbora“ „Górcę“ (*Lubonie*), krwi ślady na łańcuchu, mającym ustroić pień nowego ochmistrza (*Masław*), lub nie zwraca uwagi w epizodzie przez się zachwalonym pierwszego wystąpienia matki Masława, szczegół o ugryzionym matce palcu przez dzikiego wychowanka i syna (tamże). Palenie na wolnym ogniu Henga przez Dobka (*Stara Baśń*, t. I, str. 141), nóż wrażony przez Dziwę w pierś nielubionego porywcy, pomysł zostawienia mi sy z krwią Chrobremu przez Tomka Jakę, prócz dziczy Szczodrego, ile że fałszywie wymotywowanej i niezgodnej z koniecznym postępowaniem w cywilizacji: wszystko to są odpowiedniki pogrzebu Masława, i jakkolwiek rażą istotnie wobec frazesu ale tylko *frazesu*, podnoszącego ciche rolnicze, idylliczne cnoty Słowian, niemniej są prawdziwe, jak owa gorączkowość ruchów i mowy, to niehamowanie się w życiu psychicznym, która z dyalogu robi sieczkę luźno rzucanych wyrazów, i wyprowadza aktorów z pierwotnej ich stanowi właściwej powagi.

Nastaje na ten fakt Chmielowski, broni go Kaszewski w *zasadzie* słusznie, gdyż jak homeryczne łajanie się przed walką, należy do rysów prawdziwych, epokę, ducha czasu malujących. Są to objawy podobnej bezpośredniości, jak owa może naciągana (bo stale jawiąca się) zgodność stanu atmosfery i dnia z akcją i stanem ducha działaczy.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

USTĘP Z ŻYCIA
ALBERTA HOHENZOLLERN-ANSPACH,
LENNIKA W PRUSIECH POLSKIEGO.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

Eugeniusza Skrodzkiego.

I.

Pośród rozkosznych błoni zielonych, przepętnionych pasącemi się trzodami, płynie wartko i bystro rzeczka Anspach. Okolica ta dziś wielce przemysłowa i zamożna, już i w wieku XVI miała zaczątki rękodzieł dzisiejszych. Miasteczko Anspach stolica margrabstwa słynęło wówczas fabrykami śpilek, igieł, galonów złotych. Ponad bielejące domki mieszkańców i starożytniej formy kościoł, strzelała w górę dosyć stroma zielenią pokryta wyniosłość, na której stał z murami, poczernionemi od czasu, zamek sięgający jaknajodleglejszej starożytności, jeden z ciekawych zabytków niemieckiej przeszłości.

Zamek ten to kolebka średniej linii Brandeburskiego domu, prawie gniazdo Hohenzollernów, rodziny tak niedawno powołanej do zaszczytu dźwignia królewskiej i cesarskiej korony.

Hohenzollerny uchodzili zawsze w Niemczech za najstarszy z panujących udzielnie rodów. Wywodzą się bowiem od Tasyłona słynnego wodza, który mężne i bitne hufce Germanów prowadził w obronie praw narodowych i swobód przeciw Karolowi Wickedemu, gdy ten zyskawszy koronę Cezarów z Rzymu, sądził się mieć prawo do panowania nad całym światem. Przywołanie przez Tasyłona Awarów ujarzmiających wówczas całą Słowiańszczyznę powstrzymało napady króla Franków o tyle, iż część dzisiejszych Niemiec w jakiegokolwiek niepodległości pozostać mogła; słusznie więc rodzina ta za najdawniejszych obrońców wolności niemieckiej siebie poczytuje.

Dom Hohenzollernów miał rozmaite posiadłości w Szwabii i Frankonii, ztąd rodzinę tę dzielą na szwabską i frankońską. Linia frankońska zajęła, na słowiańskich ziemiach Braniborza, utworzoną w intercyzie cesarzy niemieckich Marchią, czyli margrabstwo Brandebur-

skie ¹⁾, a kiedy linia szwabska rozpadła się na Hohenzollernów-Hechingen i Hohenzollernów-Sigmaringen, z głównego pnia Braniborskiego wyszły dwie odrośle *panów* czyli margrabiów na Anspachu i Bayreucie, po dawnemu Bareucie.

W chwili gdy zaczynamy nasze opowiadanie, zamek Anspach był własnością Fryderyka Hohenzollern-Brandenburg, który rządził całym margrabstwem tego imienia. Był on zarazem burgrabią czyli kasztelanem cesarskim miasta słynnego przemysłem, sztuką i handlem w wiekach średnich, Norymbergi. Ożeniony z Zofią Jagiellonką córką Kazimierza IV króla polskiego, a siostrą Zygmunta I przezwanego *Starym*, był ojcem pierwszego księcia Prus polskich przezywanego Adalbertem, Albrychtem, którego my dla skrócenia nazwiemy zawsze Albertem.

Była to budowa feodalnych czasów, wzniesiona na fundamentach jeszcze odleglejszego szukających początku, piękny zabytek budownictwa niemieckiego, których nie jeden w tych stronach najeżonych siedzibami dawnych baronów państwa się znajduje. Ztąd więc pręcej przeznaczona do obrony aniżeli do używania wygod życia, i nieraz w kształtnym buduaraku jakiej jasnowłosej, modrookiej germańskiej piękności, małowniczo zaszklone okno jego, służyło w razie napadu za strzelnicę, w której mieszczono zabójcze działo.

Oprócz kilku sal przeznaczonych na zebrania liczniejsze, reszta komnat była szczupła, wązka i mała. Wilgoć, zgnilizna, zaduchy lochu przepęniały dokoła powietrze, a niewielki ogród, który się rozciągał między przedpiersiem wału a samymi murami zamku, na góry pochyłościach, niewiele zaradzał złemu. Jedyne wejście przez most rzucony na fosę pełną wody pokrytej zieloną pleśnią, drugie podobnie sklepione, zupełnie ciemne, prowadzące do wnętrza zamku, bliskość więzień zawsze przepęlnionych, po których rozlegał się brzęk łańcuchów, grobowa kaplica mieszcząca szczątki antenatów: wszystko to mało dodawało pojęty mieszkaniu temu. Jedyne myśl, że się drugim ztąd panuje, rozkazuje i jest się słuchanym, mogła służyć u niektórych za przeciwstawienie wrażeń smutku, posępności i melancholii, które przybywającego tu ogarniały.

Życie domowe ówczesnej niemieckiej szlachty, a po części i mieszczaństwa, o wiele się różniło od sposobu życia przyjętego w innych krajach, nawet od swobody jaką oddychali mieszkańcy Krakusowego grodu.

Kiedy we Włoszech, Hiszpanii i Francji na tarasach woniejących cytrynami, pomarańczami, jaśminami wśród bijących fontan, spalonych ogni sztucznych, wabne wdziękami niewiasty przysłuchiwały się muzyce i deklamacyom Dantego, Petrarcki lub Aryosta; kobiety niemieckie przędy, zajmowały się kuchnią, naprawiały odzież zniszczoną mężów

¹⁾ Brandenburg odstąpiony przez króla czeskiego, a zarazem cesarza Zygmunta luksemburskiego, w roku 1417 dopiero, jako własność Czech za 400,000 ówczesnych guldenów.

i synów, a jeśli co czytały, to nie utwory awanturniczkiej fantazyi, oddychające miłości rozkoszą, ale poważne dzieła na tle religijném osnowane, których tam drukowano niemało. Kiedy miękki rozkosznik Franciszek I we Francyi otaczał się artystami i na szybie zamku w Amboise dyamentem rył potępienie dla kobiet, niemieccy panujący i całe ich rycerstwo oddawało się za młodu wojnie, chociażby po najdalszych krajach, byle zyskać wprawę, a na starość łowom, goniąc za niedźwiedziem po puszczech z oszczepem lub biorąc dziki na ostrze. Powaga ta w zajęciach, uwydlatniała się i w innych warstwach społeczeństwa, mianowicie u mieszczan. Mieszczanin średniowieczny niemiecki z zgrozą i oburzeniem przypatrywał się temu co się w około niego działo, dumał, myślał i pracował dalej. Ztąd w Norymberdze najpierw wynajdują sposoby robienia papieru z porzuconych szmat, niemiec Szwarz wynajduje proch, Koster i Guttenberg także niemcy obdarzają świat wynalazkiem druku; niemiec także pierwszy wynajdzie machinę pneumatyczną, zegary i sposób lania stali: w ogóle praca tego narodu przybiera charakter użyteczności i zastosowania natychmiastowego, praktycznego. Smutno więc, obowiązkowo, mało przeplatane uciechami i rozrywkami wlekło się życie mieszkańców na zamku w Anspach. To też Zofia Jagiellonka patrząc na błyszczące zdala wieże Norymbergi i ciemne pasma widniejącego w dali *Czarnego lasu*, nieraz tęskniła za mętną i płową Wisłą, za stojącym nad nią Wawelem, szczególnież za swobodą, jakiej po rezydencyach letnich ojca, jak Łobzów, Czarna, Mogielany, doznawała. Ta biedna polka, zapędzona zrzędzeniami losu w samo ognisko dumnych, wyniosłych, a nieprzyjaznych jej rodowi Niemców, nie rozumiała i pojąć nie mogła téj ciasnej samolubstwa zasady, dlaczego ludzie się nienawidzić mają, kiedy aby się tylko miłowali, tyle się miejsca swobodnego dla nich po świecie znajdzie i wszystkim dobrze być może. Gardzono jednak temi pojęciami mało sympatycznej ogółowi polki, i uśmiechano się, gdy co podobnego mówiła, jak gdyby prawita niedorzeczność ubliżającą ludzkiej godności.

W ponury i słotny dzień listopadowy r. 1508, dobrze po zachodzie słońca, wśród mgły i ciemności właściwej w tę porę, w jednej z obszerniejszych sal zamku, przeznaczonych na codzienne rodziny zebrania, służba zajmowała się przygotowaniami do wieczerzy.

Komnata ta przezwana *lipową*, zapewne od lamperyi tego drzewa, która na wysokość człowieka ją obiegała, mieszcząc na sobie rzeźbioną całą legendę herbową Hohenzollernów, jakkolwiek wysoka i obszerna nie wyglądała na przybytek jednego z znakomitszych panów Rzeszy. Nie była nawet sklepiona, ztąd czerniała od dymu pochodni jej stropy ginęły o zmroku w jakiejś fantastycznej, niedościgłej oku wysokości; za to miała komin i to piękny w marmurze kowany, z Wenecyi sprowadzony, rzecz którą się nie każdy zamek szczycił, gdy wynalazek ich od Villaniego budowniczego rzeczypospolitój Stego Marka, nie od tak dawna brał początek.

Zapewne przed natarczywością wichru z deszczem i śniegiem, który powstał wieczorem, zasłonięto jedyne okno oponami z flamandzkiego sukna, ciemnego koloru w wzory szkarłatne. Tak dla chłodu jój jak i rozjaśnienia zalegających cieni, nałożono suty ogień z bukowego drzewa, wesoło i żwawo trzeszczący. Zapalono i na ośmiu żelaznych lichtarzach zawieszonych nad stołem, pochodnie smolne woniejące jałowcem. Wszystko to jednak mało rozświecało ogrom sali i zawieszone na przeciwniej ścianie portrety różnych antenatów, może dzieła Dürera, Łukasza Kranacha, albo ledwo co w stawę wchodzącego Holbeina. Tylko czasami po zamigotaniu gwałtowniejszém światła, wynurzały się z ogólnej ciemności, wyraziste ich i rycerskie twarze. Ponad przeciwległym drzwiom wchodowym wejściem do zamkowej kaplicy, płonęła woskiem napelniona srebrna lampa przed wizerunkiem Bogarodzicy *Matki Boskiej z Einsiedel*, obrazem cudownym na całe Niemcy. Co do sprzętów zalegających salę nie mogło być nic prostszego. Same dębowe ławy, stoły i zydle, kilka półek kunsztowniej rzeźbionych z takiegoż drzewa, trofea myśliwskie z rogów danielich, jelenich, na których zawieszano torby, trąbki, harapy stanowiło wszystko. Widać, zastawy srebrne, puhary, roztruchany i czasze złote stały gdzieindziej lub chowano je od gości, bo obecnie na stół znoszono dzbany, misy, talerze najprostsze cynowe.

Ukosem od okna stał pulpit podobny do tych, jakie po dziś dzień służą po chórach zakonnych i kościelnych, pulpit podnoszony do czytania. Do niego przymocowano dwa lichtarze mosiężne z osadzonemi w nich świecami z pachnącego wosku żółtego, dla ułatwienia czytań wieczornych. Gdybyśmy przez ciekawość na tytuły dwu ksiąg na pulpicie leżących spojrzeli i do tego ich oprawę z czerwonego juchtu, pokrytą mosiężną siatką, otworzyli, ujrzelibyśmy iż obie są tēm, co nazywają dzisiaj bibliografowie białemi krukami, rzadkością, którą dla swój ceny można widzieć tylko po najzamożniejszych magnatów domach. Pierwszą taką księgą było dzieło najuczciwszego z owych czasów męża Reuchlina: *De Verbo mirifico* edycyi amsterdamskiej, dedykowane margrabiemu Anspach. Druga jeszcze rzecz ciekawsza, bo był nim *Ogród rozkoszy, Hortus deliciarum* brabianki Landsberg ksieni z Hohenburga.

Był to rodzaj encyklopedyi dla kobiet, mieszczącej wszystko co ówczesnej jak ją nazywano białogłowie, potrzebném do wiadomości było: dzieło sumiennej i niematęj pracy, będące dowodem, iż już w wieku XII znajdowały się, pośród cieniów murów klasztornych, wyjątkowe kobiety, niepospolitęj zdolności i nauki.

O wspaniałości edycyi dzieła tego, kto go nie widział, nie może mieć wyobrażenia. Obejmowało ono 648 stronnic *in folio*, na których znajdowało się 9,000 różnych figur i wizerunków, niektóre miały po 18 cali wysokości. Najznakomitszemi, które oczy uderzały, były: obraz mistyczny *Boga* przyrody, świata fizycznego; *Zodyak* czyli cały zwierzyniec niebieski. Daléj szły historie z Pisma Świętego, wizerunki proroków:

Dzieje Nowego testamentu od Narodzenia Chrystusa Pana do Ukrzyżowania. Legendy o *Antychryście*, obrazy *sądu ostatecznego*, raju i piekła, Babilon, Jeruzalem niebieska, tryumf ostateczny kościoła, wizerunki doktorów ojców kościoła i sześćdziesięciu znakomitszych świętych. Przed oddziałami tych nauk były symboliczne postacie gramatyki, retoryki, dyalektyki, muzyki, arytmetyki, geometryi, astrologii, filozofii i architektury. W zakończeniu kunsztownie wyrysowaną była drabina stworzenia, wznosząca się od chaosu aż do Stwórcy i piramida, raczej obelisk, nauk i sztuk wraz z poezją ginącą w obłokach.

Rzadka ta książka, ceny nie mająca, w rękopiśmie, z rysunkami od ręki wykonanemi tak dokładnie, że nie jeden dziśby mógł służyć za wzory, była własnością rodziny Hohenzollernów, już od czterech prawie wieków, przechodząc puścizną z ojca na syna. Dla zapobieżenia też zniszczeniu oprócz siatki, o której wspomnieliśmy, zamykaną była na dwie klamry z kłódkami, od których kluczy nie powierzano nikomu.

Przygotowania czynione do wieczerzy zakończono wniesieniem krzesła wysokiego, nieco na podniesieniu stojącego, z rzeźbionym herbem na oparciu i dwu nieco niższych, obitych kordybanem złożonym z podnóżkami obitemi skórą niedźwiedzią. Dla wygody siedzących dam, dla których przeznaczone były, obłożono krzesła miękkimi puchowemi poduszkami, pokrytymi ałtembasem weneckim.

W ślad za wniesionemi misami dymiącemi od potraw, weszła otoczona rodziną i służbą żeńską, sama pani domu, a zaledwie że rzuciła okiem dobrej gospodyni, czy wszystko podane jak należy i w swoim miejscu się znajduje, kiedy rozwarły się podwoje głównej sali i weszła niemi w towarzystwie zakonnej siostry, dodanej do jój usług Margareta von Pforzenheim ksieni klasztoru Hildeburshauzeńskiego, siostra cioteczna właściciela zamku, a za nią sam margrabia prowadząc pod rękę młodego rycerza zakonu krzyżowego, a za nimi postępowali z oczami spuszczone, rękami złożone, poważnym krokiem kapelan zamkowy.

Gdy wszyscy stół okrążyli, za danym znakiem przez gospodarza domu, kapelan stanął naprzeciw margrabiowskiego krzesła i zaczął głośno odmawiać *Benedicite* czyli błogosławieństwo zastawionych na stole darów bożych, przy odmawianiu którego, wszyscy obecni wtorując kapłanowi, padli na kolana, oprócz margrabięgo i rycerza, mających z Rzymu specjalne jako ludzie wojskowi od przyklekania zwolnienie.

Powstawszy od modlitwy, rażno zasiedli do stołu z tym apetytem niemieckim, z którego się tyle naśmiewają Francuzi, Włosi i prawie nie jedzący Hiszpanie. Potrawy były nadzwyczaj proste, jedna miska napełniona bobem w strączkach, szynka z dzika na gorąco i udziec daniela stanowiły całość wieczerzy. Z postawionych przed każdym z biesiadników cynowych dzbanów, raczono się obficie piwem znanem od wieków na całej Północy i w Słowiańszczyźnie. Przed samym tyl-

ko gospodarzem i jego gośćmi, strukczaszy, zarazem marszałek dworu nalewał w srebrne rostruchany krajowe wino.

Przez cały czas jedzenia panowało największe milczenie, raz dla lepszego zaspokojenia głodu, powtóre że to w rodzinach żyjących obyczajem patryarchalnym przyjętém było w zasadzie. Kiedy téż kto z dzieci, młodzieży lub osób żywszego temperamentu zapominał o tém, margrabia marszczył swoje brwi ogromne, wystające nad oczami jakby szczotki, albo uderzał w stół pięścią przypominając znaną powszechnie maksymę: przy stole jak w kościele; cicho, przyzwoicie!

Przez ten czas, gdy zgromadzeni wieczerzają, przypatrzmy się im bliżej.

Margrabia na Anspachu, jak go u nas nazywano, mógł uchodzić za typ średniowiecznego rycerza, zabłąkanego w początki ery nowożytnej. Postaci ogromnej, silnie zbudowany, dobrze przedstawiał potomków Alberta Niedźwiedzia, margrabiego i elektora brandeburskiego. Powierzchnością pełną energii, wytrwałości i jawnymi wskazówkami sławnej w bojach muszkularnej siły, którą naród niemiecki inne o wiele przechodził; odznaczał się cały ród Braniburczyków. Z wyniostego czoła, rażącego swą białością przy ogorzałej twarzy, poznawałeś męża czynu, myśli i rady, jak znowu z kresów na policzkach, na rękach żyłastych obrosłych całych włosami, z wspaniałej brody cokolwiek rudawej spływającej do pasa w obfite kędziory i z wytartego od zbroi łosiego kaftana: wojownika rycerza, który pewno już broił sprawy cesarskiej, gdy Korwin węgierski zajął był Wiedeń, a mógł jeszcze zdrów i silny uczestniczyć w bitwie pod *Marignan* przezwaną *bitwą olbrzymów*.

Tuż obok niego, po prawej ręce siedziała ksieni, osoba używająca wielkiego wpływu nad umysłem margrabiego. Pani słynąca z cnót, pobożności, nauki i rozległych stosunków nie tylko na dworze cesarskim, ale i z dworami obcemi. Szlachetne jój rysy twarzy szpeciła przedwczesna otyłość.

Zpod benedyktyńskiego kwefu zakonnego jednak, błyszczało dwoje ciemnych oczu pełnych rozumu i przenikliwości, a lubo, jak reguła każe, były najczęściej spuszczone w ziemię, z ubocznie rzucanych od czasu do czasu spojrzeń, można było odgadnąć, iż widziały wszystko i nic się przed niemi nie ukryło. Na faldzistej sukni habitu z sukna czarnego, na piersiach wyszyty był krzyż płomienistego koloru, ponad którym zwieszał się bogaty łańcuch z kosztownym relikwiarzem, w złoto i drogie kamienie oprawnym; dar niedawno zmarłego papieża Innocentego VIII w dowód szczególnych jój zasług i szacunku, bo prawnie do używania pastorału i mitry w chórze zakonnym, oddawna ksieni, jako damie tak wysokiego rodu przysługiwało. Cokolwiek za nią, jój towarzyszka zakonnica wyglądała na uosobienie pokory i posłuszeństwa zakonnej dyscypliny, wyglądała jakby posąg milczenia zupełnie niemy, skamieniała w ruchach. Na chwilę jednak nie spuszczała

z uwagi, choćby najmniejszego poruszenia swojej przełożonej, wiecznie gotowa na każde jój skinienie i rozkazy.

Po lewój stronie margrabiego siedziała jego małżonka Zofia Jagiellonka. Była to postać pełna wdzięku, powabu, połączonych z jakąś królewskością w poważném obejściu, która odrazu jednała dla siebie współczucie. Wnuczka Albrechta cesarza, córka tój sławnój Elżbiety Rakuszaneki, królowój polskiej, która rzadkin na ów wiek przykładem była współautorką dzieła pedagogicznego po łacinie o wychowaniu dzieci królewskich *De institutione regis pueri* a wspólnie z historykiem Długoszem wychowała aż czterech królów synów, bo Władysława zarazem czeskiego i węgierskiego, trzech polskich: Jana Alberta, Aleksandra i obecnie panującego Zygmunta, tego jak nazywano dziekana i rozjemcę monarchów Europy, przyczém trudno nie wspomnieć iż była także matką jednego świętego, bo ś. Kazimierza i kardynała Fryderyka, oraz trzech córek, oprócz rzeczownój Zofii, wydanych za księżąt: saskiego, Piasta pomorskiego i szlązkiego panującego na Lignicy.

Kibić margrabiny pomimo wieku była wyniosła i giętka, rysy wydatne, oczy ciemne, rozumne, jak u brata Zygmunta, z dodaniem tój tęskności oczom Słowianek właściwój i wyrazu nieocenionój łagodności i skromności. Dosyć wyskakujący z pod pogodnego czoła nos nadawał jój twarzy charakter dumny i nakazujący, które to wrażenie jeszcze zwiększało lekkie odęcie dolnój wargi karminowego koloru, przeslicznie odbijającój od śnieżystój białości oblicza. Nie przyjmując świeżych, mało przystojnych wymysłów mody włoskiej, miała ubranie zakrawające na zakonne, powszechnie używane przez wielkie panie tój epoki, bo stroić się kuso, pstro, lekko, odkrycie, uważano za rzecz godną tylko gminu. Na obszernój więc fałdzistój sukni wełnianej, barwy ciemnej, miała włożony obcisły kaftanik z weneckiego czerwonego aksamitu, obszywany futrem gronostajowém. Przepasana była grubym fartuchem z materyi domowego wyrobu, na pasie którego widniała klamra z pękiem kluczy różnój wielkości. Po części tylko perły na szyi, zapięte kosztowną zaponą a szczególniej łańcuch złoty z herbem domu wyrażonym na emalii, wyrób genueńskich złotników, zwany *hasztelanką*, odznaczał ją od reszty otoczenia.

Zofia siedziała milcząco, pilnie śledząc każdy ruch swój dziatwy, a za najmniejszym uchybieniem którego z nich przeciw wskazanym regułom przyzwoitości, różowy jój paluszek o kształtnych paznogciach wędrował na koralowe usta, przypominając winowajcy obowiązki. Siedziała tęskna i zamyślona, bo przewidywała, że przybycie na zamek rycerza krzyżackiego zakonu, hrabiego Rudolfa Feuchtwangen, groziło jój zabraniem z domu ukochanego syna Alberta dorastającego już do tyła, iż mógł się zapisać w szeregi tój milicyi kościoła, o której tyle w młodości okropnych się nasłuchiwała opowiadań, gdyż ojciec jój król Kazimierz przez lat czternaście z zakonem krwawe prowadził wojny.

Rzecz szczególna, Zofia mimo wychowania, wysokich stosunków, cnót i nauki, które o wiele wyżej dla niewiast u nas stały, aniżeli w re-

szcie Europy, nie potrafiła sobie wyrobić najmniejszego znaczenia i wpływu na otoczenie swoje. Niemka jeśli wyjdzie za Słowianina, pomimo iż wydaje się mniej ukształconą i rozumną, więcej nawykłą do ulegania mężowi, przez powolne, baczne działanie swoje pomалу zniemczy cały dom mążowski. Otoczy się służbą tego narodu, z tego samego plemienia wybiera przewodników i nauczycieli dla dzieci, przemawia do nich tym językiem, i z wolna wszczepi w swoich przekonanie o wyższości germanizmu nad inne narodowości, a przynajmniej obudzi sympatyę ku niemu. Tylko wyjątkowo dzieje się inaczej... Przeciwnie, Polka wydana za cudzoziemca, nic w domu męża nie zmieni chociażby na lepsze; cierpi, boleje nad t \acute{e} m, ale nawet przez dzieci własne często uważana jest jak za obc \acute{a} . Tak i Zofia zaledwie potrafiła sobie uprosić pozostawienie jednéj służy niższego stopnia z rodzinnego kraju. Wszystko co ją otaczało mówiło tylko po niemiecku, nie odstąpiono dla ni \acute{e} j nic z niemieckiego obyczaju, a każdy raz na radzie rodzinnéj g \acute{l} os ksieni z Hildeshejmu, o wiele przeważał j \acute{e} y zdanie.

Pozbawiona wszelkiego śladu ducha intrygi, cierpiała więc pokornie i w cichości, wiedząc że j \acute{e} y opór na nicby się nie przydał. Z niepokojem spoglądała tylko na ukochanego Alberta, który wyrastał na dziarskiego młodziana, pełnego żywości, dowcipu, chęci do nauk a łączył w sobie pomieszane przymioty rodziców. I tak lubo fizycznie przypominał ojca, przecie szorstkość jednak i zamaszystość ruchów, jak i zgrubiałość rysów zubożniała się wpływem krwi matczynéj. Rysy jego były bardziej majestatyczne, delikatniejsze, zaokrąglone, wykończone; oczy zamiast wyrazu pochmurnego, miały rys melancholiczny. W charakterze jednoczyły się te same przeciwności, bo obok łagodności, gładkości, tęsknoty, zadumy, pewnego rodzaju niewinnéj skromności, czasami wybuchała energia i krewkość dzielna ojca.

Napróżno choć oddawna ksieni ciotka, jak ją nazywano, usiłowała zbol \acute{a} temu sercu matki wytłómaczyć, że niema nic zaszczytniejszego dla młod \acute{e} go panicza, jak poświęcić się całkiem służbie kościoła i nierozłącznym z nim interesem cesarskim. Zofia słyszała, że zakon ma być gniazdem zepsucia, sprośności i truchłała na sam \acute{a} myśl, że przyjdzie tam syna oddać.

Milczenie wciąż panujące przy wieczerzy, przerwane zostało dopiero w samym końcu przez margrabiego, który dostrzegłszy bystr \acute{e} m okiem, że posługujący pachotek dopuścił się oblizywania półmiska, zawołał na niego:

— Hans! pójdiesz mi do stróża w bramie i każesz mu zawiesić siebie rękami u żelaznego kółka w strażnicy. Niech cię łozami ćwicz przez cały czas wieczornéj modlitwy, aby cię oduczyć od twego obnierzłego łakomstwa.

Na te słowa Hans stanął jakby się krew w żyłach jego ścięła, drżał cały, usta mu pobiełały. Zofia złożyła ręce i skierowała błagalne swe oczy na margrabiego, jakby wstawiając się za winowajc \acute{a} ; ale margrabia Fryderyk jedn \acute{e} m ściąganiem brwi i gniewn \acute{e} m ściśnięciem

oczu, dał poznać że mu się to mieszanie w jego rozkazy niepodoba, a wzięwszy od ochmistrza swego skromnego dworu do otarcia ust i olbrzymich wąsów, haftowany w wzory białe rańtuch, dał znak, aby powstano od stołu, co przeżegnawszy się wszyscy znakiem krzyża świętego uczynili. Nie pierwszy to raz Zofia Jagiellonka cierpiała na zbytniej surowości męża w obchodzeniu się ze służbą i poddanymi swymi. Było zapewne wielu między baronami gorszych, margrabia nie należał do tych co pęki stryczków gotowych wozili z sobą, aby dla zabawy wieszać spotkanych chłopów. Nie byłby z pewnością jak ci panowie nadreńscy rozpruwał brzuchy wieśniakom, ażeby w nich ogrzać nogi odziezione przez zbyt silne mrozy na polowaniu. Przeciwnie dom swój sprawował surowo ale sprawiedliwie, tylko że wszelka surowość już raziła Zofią, a jeśli w sali margrabiego z Anspachu nie było wywieszonych kodeksu, z oznaczeniem kary szubienicy jak u innych, za stłuczenie półmiska lub kosztowniejszej szklancy, to znowu każde uchybienie, czy w kredensie, czy w fraucymerze, karane było srogim siewieniem różgami.

— *Reverendissime Holeinger!*—odezwał się margrabia wstając od stołu—a może zanim godzina wieczornej modlitwy wybije, przeczytalibyście nam co z Paracelsa, albo naszego ukochanego mistrza Erazma z Rotterdamu; wszak świeżo nam przestanych *Adagiów* i *Apophtegmatów* które osobie naszej dedykować zamyśla, byleśmy je drukować kazali w Norymberdze, jeszcze nie przeczytaliśmy w całości.

Na te słowa Holeinger wszedł do kaplicy odszukać wskazanego przez kasztelana dzieła.

Uczeni w owe czasy i wszystko co styczność z nauką miało, w innym zupełnie poważaniu aniżeli dzisiaj byli. Otaczała ich jakaś aureola chwały, ogólnego szacunku i uszanowania. Dawniej uczony był rodzajem świętości, szanowali go pośród wojen, oblężeń i szturmów miast sami nawet nieprzyjaciele. Władając językiem uniwersalnym porozumienia, to jest łaciną biegle, stanowili rodzaj *status in statu* rzeczypospolitój inteligencji, światła ponad poziome polityczne współzawodnictwa. Ta sama cześć i szacunek odnosiła się do ich utworów. Byle rzecz była napisana i drukowana, już ją publiczność uważała za niezbity dowód, za samą prawdę. Ztąd wielka cennaść ksiązek, ich oddziaływanie na masy, ztąd bacność w szanowaniu, kosztowne oprawy, staranne ich zachowanie i religijna cisza kiedy je czytano, a czytano prawie zawsze tylko zbiorowo i głośno.

To téż kiedy margrabia Fryderyk Hohenzollern wyraził żądanie, aby Holeinger zasiadł do lektury, zaraz zrobił się po sali szmer ogólny zadowolenia. Służba pozapalała stojące na pulpicie świece, odwrócono siedzenia wszystkie w tę stronę, jakby na jaki odczyt. Kobięty ujęły jedne za kądziel, drugie zasiadły do krosien; ksieni wzięła przed siebie tamborek haftując dla księży stuły, aż nakoniec kapelan z upragnionym rękopismem powrócił.

Trzeba nam wspomnieć o sławie i znaczeniu owoczesném uczonego niderlandzkiego, przezwanego *Erazmem z Rotterdamu*. Nie było mu równego w Europie, uczeni włoscy najznakomitsi w tój epoce, schylali głowy przed jego uczonością i znajomością starożytności; on ostatecznie dziełami swemi ustalił sposoby wymawiania i deklamowania utworów w tych dwu już martwych językach: jeden Reuchlin walczył przeciw niemu, lecz poszedł w zapomnienie.

Erazm nietylko był filologiem, ale i filozofem, myślicielem; śmiało zrywał z całym dawnym trybem pisania i wyrażania myśli, był nowatorem, rodzajem opozycjonisty, lubo jeszcze nie stanowczym; dlatego i pisma jego zawsze były mocno podejrzywane przez teologów ortodoksów o niezupełne zgadzanie się z dogmatami i kanonami kościoła.

Garnęli się do niego przez korespondencją z zapytaniem uczeni całego świata, szukali z nim stosunków i powierzali mu kierunek nad wychowaniem synów rozmaici magnaci, a skromne mieszkanko zajmowane przez uczonego, wiecznie w szlafroku siedzącego w futrzanej czapce na głowie, było wielce głośnie i gromadnie nawiedzane. Z Polakami wiele miał stosunków, z dawnymi uczniami żył w ściślejszej przyjaźni, częste pisywał do nich listy, przysyłał im i ofiarowywał swoje *Colloquia*. Był mistrzem Zebrzydowskiego, siostrzeńcą Krzyckiego kanclerza, Owidyuszem polskim przez uczonych przezywanego: kanclerz za ukończoną edukacją pomienionego siostrzanka ofiarował mu pierścień rubinowy wielkiej ceny, oprawny w złote serce, dzieło złotników krakowskich. Krzysztof Szydłowiecki także mistrza ulubiony uczeń, któremu nawet dedykował sławne swoje dzieło *De lingua*, przesłał Erazmowi z polski zegar złoty i sztucce z tego metalu stołowe. Erazm dzieło swoje o *Terencyuszu* ofiarował bogatemu żupnikowi Bonarowi, a kanclerz i słynny prawodawca Łaski, po śmierci uczonego, zakupił wszystkie jego rękopisma i podarował Akademii Krakowskiej.

Nietylko z dawnymi uczniami i wielbicielami, ale i z najznakomitszymi epoki swojej monarchiami korespondował prawie nieustannie ten uczonec: to z Franciszkiem I, to z Karolem V, cesarzem Henrykiem VIII angielskim, rozprawiając, doradzając w różnych kwestiach politycznych i religijnych. Nic więc dziwnego, że rękopism męza tego znaczenia i powagi, wzbudzał nie małe poszanowanie i wdzięczność u margrabięgo na Anspachu. Czytanie szło uroczyście, poważnie. Kapelan rozpoczął je od naznaczenia się krzyżem świętym, bo wtedy nauka szła w parze z religią, wzajemnie szukając podpory dla siebie w odwiecznych zasadach prawdy. Czytać było to modlić się, jak znowu modląc się, podnoszono wewnętrzną zacność ducha, modlitwą krzepiono umysł.

— Stańliśmy—odezwał się z ukłonem Holeinger— na tych dwu *adagiach* zaczerpniętych z starożytności *Do ut des*, czyli dam abys dał, *Faciam ut facias*, czynię, abys uczynił.

— Mądre te aforyzma podzielamy w zupełności—odezwał się margrabia.

— Czyby nie właściwiej było—odezwała się melodyjnym swym głosem Zofia Jagiellonka—powiedzieć: dam boś potrzebny. Czynień, bom powinien.

— Dajmy pokój—rzekł mrużąc Fryderyk—tym mrzonkom wyobraźni białogłowskiej i tkliwości słowiańskiej, która wasze plemię gubi. Wszystko na świecie opiera się na wzajemności. Cóż za pożytek z dawania bez nadziei odśługi czynu, który może mi być nie tylko bezpożyteczny, ale szkodliwy. Wszak prawda, wielebna matko Margaretto—odezwał się do ksieni.

— Niezawodnie tak jest, jak szanowny mój brat margrabia powiadasz—odrzekła zapytana, pochylając głowy.—Nic darmo, wszystko za coś; wszak sam Bóg darmo nieba nam nie daje, ale zasłużyć na nie trzeba.

— *Suum tribuere cuique apellamur justitia.* Swoje wydzielić każdemu nazywamy sprawiedliwością—czytał dalej Holeinger.

— I to piękne zdanie—odezwał się Fryderyk—wartoby abyś mości Albercie kazał go sobie na szyszaku, jak będziesz pasowany na rycerza, wyrzyć. *Suum cuique!* Bogu duszę, cesarzowi życie i wszystko czém rozporządzamy na jego usługi, bo to pierwszy monarcha chrześcijański na ziemi. Sobie powagę, równym cześć i szacunek i te na to zasługują. Poddanym kij, obrok i zastonienie od gwałtu. Tak żyjąc, zyskamy miano sprawiedliwych i sprawiedliwie sięgnąć po śmierci po królestwo niebieskie możemy.

Z tego wniosku gospodarza posypały się różne uwagi: hrabia Rudolf wymagał dla stanu rycerskiego pierwszego miejsca w hierarchii społecznej. Ksieni zatrzymywała go dla duchowieństwa. Rozprawy te przerwało na zegarze, przepysznój norymberskiej roboty, przedstawiającym Saturna pływającego godziny, uderzenie dzwiatęj z wieczora.

Na to hasło wieczornej modlitwy, otworzono drzwi wchodowe do sali głównej, gdzie już stał zgromadzony cały dwór i służba w gotowości do wspólnych pacierzy. Wraz z załogą zamku rozwarło podwoje kaplicy oświeconej jarzącym światłem, w której już klęczał kapłan przybrany w komżę. Po odmówieniu zwykłych obowiązkowych modlitw, kapłan zaintonował *Salve-Regina*, które rozległszy się chórem zagłuszyło jęki i krzyki chłostanego łakomecy Hansa.

Już pogaszono światła i wszyscy domownicy się rozeszli, kiedy margrabia Fryderyk skinął na żonę i na syna Alberta, aby pozostali: ksieni i krzyżak również obecnymi jego rozmowie byli.

— Żono!—rzekł z widocznym wzruszeniem w głosie margrabia do żony.—Wiem że zakrwawię twoje poczciwe i szlachetne serce doniesieniem tego, czego oddawna się pewnie domyślasz. Ale trudno: nie ma nic świętszego nad spełnienie obowiązku; jakkolwiek przystawie mówi, że mus jest twardym do zgryzienia orzechem.

Szlachetny mój doradca i przyjaciel, powiernik cesarski hrabia Egmond Pignatelli, za pośrednictwem oto tu obecnego zacnego kawalera von Feuchtenwangen zawiadomił mnie, iż wolą Jego Cesarskiego Ma-

jestatu jest, aby ze względu tak na wiek sędziwy księcia Fryderyka saskiego, dzisiejszego wielkiego mistrza, naszego wysokiego, niemieckiego, rycerskiego zakonu, jak i na to że Jego Cesarska Mość może służyć naszym w tych odległych stronach północy potrzebować, wysłać tam miłego nam syna Alberta z zamiarem promowania go na mistrzostwo.

Wielkie mistrzostwo, droga życia moja przyjaciołko, jest to rodzaj korony rzeczypospolitej panów chrześcijańskich; tym sposobem łaską cesarską, tak wysokie dostojenstwo prawie za zapewnione dla potomka naszego uważać możemy. Czyż godzi się jednej chwili zawahać w przyjęciu tak wielkiego zaszczytu? zapewne że nie. Hrabia Feuchtenwangen wraca właśnie do Królewca po chwilowym pobycie w Merghenthemie rezydencyi mistrza. Będzie zatem mógł zabrać Alberta z sobą, zasłonić od wypadków i przygód podróży, i umieścić w liczbie nowicyuszów zakonu. Mówię ci to i oświadczam, droga żono, abyś mogła wczesne robić przygotowania zaopatrzenia syna naszego bielizną, sukniami, tak jak my z naszej strony nie zaniedbamy dla niego przysposobić potrzebne konie, rynsztunek i zbroję.

Na to zalecenie mężowskie, Zofia prawie łkając od płaczu odezwała się w te słowa:

— Zapewne że wola mego małżonka i pana, jest dla jego żony rzeczą świętą. Rozumiemy i konieczność służby powolnej dla cesarza, naszego opiekuna, dobroczyńcy; ale są jeszcze inne względy, które powinny kierować zdaniem matki przy obiorze stanu dla syna, względy wyższe i świętsze a tém jest zbawienie jego duszy. Darujcie, ale wy patrzycie z uprzedzeniem na zakon krzyżowy. Wy nie wiecie, czém on jest prawdziwie i chcecie drogiego mi Alberta rzucić w tę otchłań rozpusty i zbrodni.

— Tak cię nauczyli mówić—przerwał margrabia—młoda, niedoświadczoną bez zdania panienkę, o naszych braciach niemieckiego zakonu w Królewcu i powtarzasz je za innymi. Są to uprzedzenia Polaków nic więcej, droga Zofio, potwarze wzajemne dwu politycznych współzawodników, dzieła tłuszczy, z których człek prawdziwie wyższy się uśmiecha, bo gdzież doskonałość? Nie lepiej mówią o Polakach w Królewcu, a czyż wszystko co mówią prawdą?

— Hrabio Feuchtenwangen—zawołała Zofia z twarzą rozpromienioną wzruszeniem—mam was za człowieka prawego i zacnego. Nie zbrudzisz więc ust twoich fałszem i jako takiego wzywam cię, abyś słowem rycerskiem zaręczył że się mylę, dając świadectwo prawdzie.

— Margrabino — odrzekł hrabia Rudolf — zapewne, iż zakon nasz nie kwitnie cnotami, jakie go wstawiły za mistrzostwa Walpólów, Passenheimów, Balków, d'Osterna, Popponów; zapewne że w nim siła rozsiało się złego, co nawet był jego wątl: ale jak w każdym zgromadzeniu ludzkim, są tam źli i dobrzy. Bez dobrych, czyż jaka instytucja na chwilę się ostanie? Dobrym być wszędzie można jak i należy, i wierzajcie mnie, że zawiści polityczne wiele tu zaciemniają; a spodle-

nie i hańba występnych, zakrywają cnoty i zasługi uczciwych, co żyją między nimi.

Dyplomatyczna ta odpowiedź rycerza mało zaspokoila stroskaną matkę.

— Czyż nie można—mówiła dalej—jeśli o wykształcenie Alberta w rzemiośle rycerskiem chodzi, oddać go do boku Gonzalwa z Korduby, który niedawno okrył się tak wielką sławą. Niechajby był towarzyszem tego, co nie zna trwogi, żyjąc bez przygany: Bayarda, zaszczytu Francyi! Niechby szedł na dwór cesarski. Alboż tam wojowników brankie, jak ich nie brakuje na dworze brata mojego Zygmunta: czyż nie żyją tam Firlej, Radziwiłł Ostrogski, Mikołaj Kamieniecki!

— Nie—odrzekła z naciskiem dotychczas milcząca ksieni Hildesheimu.—Nie, kochana siostruniu moja, gdziekolwiekbyindziej służył Albert, nie spełniłby woli najwyższej majestatu, a mógłby się znaleźć w tém trudném dla Hohenzollerna położeniu, że służyłby może przeciw nam, a tu chodzi o wierne służby cesarzowi i naszej Rzeszy niemieckiej. Kiedy dostojny wasz wuj tego pragnie, przed jego wolą, wasza nachylić się musi.

— Ależ także—mówiła Zofia—łatwo mój Albert, drogi mój Albert może być zmuszony do zdobycia miecza, przeciw tym, co najdrożsi są sercu jego matki, przeciw wujom własnym: polskiemu, węgierskiemu i czeskiemu.

— Wasze obawy, pani margrabino, są próżne—wmieszał się Feuchtenwangen. Zakon o żadnych wojnach nie myśli i właśnie przez zbytnią gnuśność, w zbytkach zatopiony grzeszy, co może widząc właśnie cesarz, przez wybór młodego i energicznego mistrza, chce go do czynu pobudzić; ale czy to się uda, to jeszcze rzecz odległa i wątpliwa.

— Zresztą—dodała ksieni—Albert raz mistrzem obrany, bo zapewne dlatego tylko cesarz powołuje swego wnuka w tój świętej milicyi szeregi, potrafi pogodzić trudności położenia, a wyssawszy z was wraz z mlékkiem waszą łagodność, zasady i cnoty, będzie umiał tak rzeczy kierować, aby uczucia rodzinne tu szwanku nie poniosły. Zawszeć lepiej dla waszego brata króla Zygmunta, że on nie kto drugi będzie panował w Królewcu. Myśmy tylko powinni dołożyć wszelkich starań, aby został mistrzem: przecież nie damy mu zgnić na jakim komturstwie, żeby zarządzał folwarkami Krzyżaków, bo to nie godne Hohenzollerna.

— Co tam tak długo rozprawiać—zakończył margrabia—wolą cesarza i naszą jest, aby Albert wziął na siebie habit zakonu, tak się więc nieodzownie stać musi. Do ciebie więc kochana żono należy przygotować wyprawę odpowiednią wielkości domu z jakiego wychodzi. Roztropność twoja niech te rzeczy opatrzy. Zajmij się niemi od rana. To ci miałem powiedzieć, a teraz rozejdźmy się, bo już podobno i kury pierwszy raz zapiąły, czas zatem udać się na spoczynek.

Na wpół temi uwagami Zofia uspokojona, nazajutrz od rana z całą gorliwością odziedziczoną po matce zaczęła się pilnie krzątać

około przygotowań do podróży syna, Przez czas, co ojciec z hr. Rudolfem dobiérał koni pod siodło, powodowych i jucznych, kazał wynosić z miejscowego arsenału i oczyszczać hełmy, koncerze i kolczugi, gotował pod przejazd rydwan rycerski, ona gromadziła bieliznę, szaty, sztuce srebrne i całe ochędóstwo jak nazywano, zwyczajem na wyprawę kandydatom do stanu rycerskiego dawane. Wszystkie te przygotowania dopełniała z napoły rozdartém sercem, z oczami zamglonými łzami: ile razy nawinał się jój Albert, ścisnęła go z czułością, przewidyjąc iż może ścisną raz ostatni.

Albert lubo był podobny do ojca, miał wiele w sobie i z matki, wzięwszy wrażliwość, czułość, pewien rodzaj melancholiczności, czego wszystkiego nie znał żelazny Fryderyk. Bał się przed ojcem pokazać smutnym, zatrwożonym przyszłością, cierpiał jednak skrycie. Korzystając więc z ogólnej nieuwagi, nieraz zamykał się w samotnej izdebce swój na górze baszty, by tam oddawać się zadumie, tęsknocie, może nie jedną łzę ocierając w cichości.

Właśnie w wigilią dnia naznaczonego do odjazdu siedział tam w żalu pogrążony, kiedy nagle przed nim stanęła matka, którą kochał nad życie. Padł jój zatém do nóg i przed nią zaczął wynurzać swe obawy i żale.

— Powstań, Albercie—rzekła Zofia, hamując uczucia, co jój pierś rozrywały—bądź mężny i posłuchaj co ci powiem:

Wolał ojca i naszego cesarza i pana powołany jesteś do milicyi krzyżackiej. Tak wysoka opieka i zalecenie, gotują ci drogę do najwyższych w tym zakonie zaszczytów, chybaś postępowaniem swoim stał się ich niegodny. Pamiętaj, mój synu, iż jeżeli kiedykolwiek do nich dojdiesz, a nastąpi to zapewne wtedy, gdy mnie święta ziemia pokryje, bo czuję jak zwolna nikną me siły, pamiętaj drogi synu, że żadne polityczne i światowe względy, nie powinny ci dać zapomnieć, iż jesteś chrześcianinem, a zatém wyznawcą Boga miłości, zgody i pokoju. Dla marności chwały ziemskiej nie zrzekaj się chwały niebieskiej, wiecznego żywota, dla przemijającej doczesności, tego co żyje wiecznie i nie ginie nigdy. Na chorągwi zakonu, którą każesz przed sobą nosić jest obraz N. M. Panny Bogarodzicy. Pamiętajże więc zawsze i wszędzie być Tęj świętej Orędowniczki naszej obrońcą i wyznawcą; pomnij że miałeś wuja Kazimierza, który policzony w poczet Świętych Pańskich. Przrzeknij mi że postępować będziesz według rad wuja, a najukochańszego brata mojego Zygmunta, że go często nawiedzać będziesz w Krakowie. Przrzeknij, że nic na jego szkodę i krzywdę kraju, który wydał matkę twoję nie przedsięwiesz.

Dosyć silne pukanie w drzwi izdebki przerwało upominania Zofii, drzwi się jój otwały i stanęła w nich ksieni Margareta. Zjawienie się tój pani nie było przypadkowe. Oddawna systematycznie przeszkadzała temu, aby matka nie pozostawała sam na sam z synem; ubiegła ją gorętsza chęć Zofii, która omyliła czujność zakonnicy. Ksieni jednak wkrótce spostrzegła się, a łatwo się domyślając, gdzie szukać nieobecnej,

pomimo męczących, spadzistych schodów baszty nie bez trudności i zadyszania, pobiegła, drapiąc się na górę. Chcąc niezwykłość zjawienia się swego tutaj poniekąd usprawiedliwić, trzymała w ręku pęk listów rekomendacyjnych do różnych ówczesnych znakomitości, z którymi miała stosunki.

— Źle robicie, margrabino—odezwała się do matki i syna, mierząc ich przenikliwie wzrokiem, jakby dla odgadnięcia co do siebie mówili—źle robicie, że pomnażacie boleść waszą; bo o czémże między wami mowa być może, jeśli nie o jutrzejszém rozłączeniu. Zdrowie wasze nam wszystkim tyle drogie, szwankować pewno będzie; czyż nie lepiej unikać tych scen drażliwych? Ja bo tu przyszłam doręczyć kochanemu Albertowi listy do różnych osób, które mu mogą być potrzebne. Oprócz kredencyałów do Alberta kardynała brandenburgskiego arcybiskupa mogunckiego, do landgraфа Heskiego i księcia Luneburskiego, wszystko krewnych naszych, przynoszę listy do różnych znajomych i przyjaciół w zakonie. Niektórzy także krewnymi nam lub powinowatymi są. Oto pismo do Dytrycha syna landgraфа Turynгии i ten oto jest do Gotfreda hrabiego Hohenloe; dalej do księcia na Brunzwicku Hugona, do Ludera Reus hrabiego Plauen; w końcu do hrabiego Ulyryka na Oldenburgu. Mam nadzieję iż ile razy potrzebowałbyś od nich pomocy, opieki, porady, nie odmówią ci jój kochany Albercie; zyczę z nimi tylko przestawać; bo wszelkie inne związki dla potomka Hohenzollernów są nieprzyzwoite: a teraz zjeźdźmy na dół, bo ojciec margrabia oddawna woła na ciebie, abyś szedł oglądać konie zaprzężone do karabanu z rzeczami.

Odtąd ksieni Margareta nie pozwoliła ani na chwilę widziéć się Zofii z Albertem na samotności, a nazajutrz téż po wysłuchaniu wotywy na intencją szczęśliwéj podróży; przez czas której bolejąca Zofia ciągle krzyżem leżała, po odebraniu błogostawieństwa na drogę przez kapelana i rodziców, ucałowaniu relikwii ŚŚ. Pańskich, młody Albert w towarzystwie hrabiego Rudolfa udał się w podróż, kierując się na Moguncyą, Brunzwick dla odwiedzenia po drodze krewnych.

(Dokończenie nastąpi).

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

O powstawaniu praw moralnych, przez Aleksandra Świętochowskiego, doktora filozofii. Warszawa, 1877 r.

W dotychczasowych systematach filozoficznych, począwszy od Arystotelesa, etyka czyli moralność stanowiła zawsze pewien dział integralny całości i była niejako wynikiem praktycznym zasadniczej idei systemu, regułą proponowaną dla życia, obowiązywać mającą tych, którzyby się na ten system filozoficzny i na przewodniczącą mu ideę zasadniczą zgodzili. Ztąd też dosyć upowszechniły się wyrażenia takie, jak: moralność arystotelesowa, moralność stoicka, epikurejska, moralność panteistyczna i t. p.

Dzisiejsza filozofia, tak zwana pozytywna, obalając podstawy filozofii dawniej, zmienia zarazem i punkt zapatrywania się na moralność. Naturę wzięwszy za podstawę swych badań i jęj powierzywszy budowę swego całokształtu, taką tylko kolejną objaśnić ona usiłuje i te zjawiska, które nazywamy moralnemi. Ztąd wynika stosunek całkiem niejako odwrotny.

Protest przeciwko dotychczasowemu układowi systemów moralności ukazał się jeszcze w Paskalu, który powiada gdzieś: „Trzy stopnie wysokości biegunowej wywracają całą prawodawczość: kradzież, wszeteczeństwo, mord dzieci i starców, wszystko to znajdowało miejsce wpośród czynów enotliwych.“ Już w tych słowach znajdujemy wskazówkę różnicy, jaka w miarę czasu i stopnia szerokości geograficznej, zachodzi pomiędzy moralnemi pośród ludzi kodeksami, a zatem i wskazówkę trudności, z jaką przyjdzie kiedyś wynaleźć ogólną sankcyą moralną, jeżeli na zadanie etyczne patrzeć będziemy nie z punktu jedynęj cywilizacyi i poczuć człowieka wydoskonalonego postępiem, ale jeżeli staniemy u wrót ludzkiego uspołecznienia.

Z bliższych nas czasów, pierwszy, o ile nam się wydaje, Schopenhauer, zacięty wróg filozofii idealnej, a daleki jeszcze od filozofii pozytywnej, w dziele: *Die beiden Grundprobleme der Etik* (1860), wystąpił z wielkim zuchwalstwem przeciwko dotychczasowemu zapatrywaniu się na naukę moralności, a głos jego sprawił wrażenie ciężkiej bryły spadającej w fale spokojnego jeziora. I lubo filozof ten nie ma jeszcze w gruncie nic wspólnego z dzisiejszymi pozytywistami, co do niektórych wszakże punktów, mianowicie co do moralności, czy im niejako utworzył. Jednym z dowodów—książka, którą mamy przed oczyma.

Według tego filozofa, pojęcie *obowiązku* jako zasady powierzchownej i mającej tylko wartość popularną, bez żadnego znaczenia filozoficznego, powinno być usunięte z nauki moralności. Moralność

nie jest nauką praktyczną, jak chcą mieć, ale teoretyczną, i jak wszelka umiejętność, bada ona to co jest, nie zaś to co być powinno. A cóż właściwie jest? Oto są ludzie dobrzy i źli. Zasadę dobra stanowi *współczucie*, jakie mają ludzie wzajem dla siebie; zasadę zła, stanowi nieczułość, oschłość serca, okrucieństwo. Pomiędzy ludźmi jedni rodzą się z uczuciami miłosiernymi, drudzy z samolubnemi. Moralność tedy opisuje uczucia ludzi, tak jak zoologia uczucia zwierząt. Określa ona wprawdzie zasadę, według której uczucie to zalecać lub potępiać należy, a która niczem nie jest, tylko współczuciem; ale nie nakazuje nic; gdyż pojęcie nakazu kazałoby przypuszczać istnienie wolnej woli, której nie ma. Prawo zatem moralne filozofów jest fikcją czysto arbitralną, przeróbką metafizyczną zasady teologicznej. Czyli, zamiast Boga (w religii), przedstawia się (w filozofii) jakieś prawo nieosobiste, oderwane, reguła czysto formalna, której przyznają pewną wolę i moc rozkazywania. Ale, jeżeliby już przypuścić jakiś rozkaz z góry, to racjonalniej jest wcielić go w wolę osobistą i wszechmocną, niż przyjmować prawo bez prawodawcy, nie mające początku swego ani w naturze człowieka, skoro niechcą tegoż prawa wyprowadzać z instynktów naszych,—ani w Bogu, skoro istnienie Jego jeszcze pozostawione jest w stanie zagadnienia.

Jakkolwiek autor dzieła polskiego, które rozbieramy, nie poprzestaje na takim argumencie Schopenhauera, ale go częścią modyfikuje, częścią uzupełnia, cała jednakże książka jest odbiciem myśli głównej, czyli oderwaniem moralności od zadania praktycznego, a postawieniem jej na gruncie czysto teoretycznym, który w ostatnim rezultacie ściąga się, tak jak widzieliśmy poprzednio u Schopenhauera, do dwu tylko pierwiastków: samolubstwa i współczucia.

Różnica zachodzi w tém, że wbrew Schopenhauerowi, a zgodnie z filozofią pozytywną, autor nasz uznaje *prawo* moralne (jak świadczy sam tytuł książki), i utrzymuje *obowiązek* moralny, a to według definicyi następującej: „Przez moralne prawo rozumiem każdą w pewnej społecznie uorganizowanej grupie ludzi powstałą i obowiązującą ich regułę, według której osobnik wolę swoją wobec warunków jej objawiania kierować (t. j. według której chcieć) powinien.“

W tej zatem definicyi mieści się:

1. zupełna obojętność na względną wartość objawów moralnych i unikanie sądu o nich z jakiegobądź stanowiska danego, a to do tego stopnia, iż autor ma za złe takim nawet badaczom ustrojów społecznych, jak Lubbock, Darwin lub Wallace, że pewne objawy u dzikich nazywają (ze stanowiska swojej, rozumié się, cywilizacyi) niemoralnemi;

2. przekonanie, iż moralność powstać tylko może w gromadzie, a w pojedynczem indywiduum byłaby nonsensem;

3. ograniczenie woli warunkami, w których ona objawić się może; ograniczenie, na które w większym lub mniejszym stopniu wpły-

wają zarówno żywyoty ludzkie (ustępstwa i powstrzymywania wzajemne), jako i czysto fizyczne;

4. poddanie pod prawo moralne nie czynów, które nie zawsze są koniecznym wyrazem woli, ale samejże woli;

5. nareszcie, podciągnięcie pod moralność pojęcia obowiązku.

Według tych zatem zasad, etyka przenosi się na całkiem odmienne od dotychczasowego stanowisko. Zamiast nauki, a właściwie mówiąc *sztuki*, usiłującej kształcić człowieka, wzorować go według pewnego, danego typu idealnego, podnosić go po szczeblach udoskonalenia do jakiegoś ideału wysnutego *a priori*, co zarówno, choć na inną skalę, jest zadaniem *Nauki moralnej i obyczajowej* ks. Piramowicza, jak i systematu etycznego Kanta, powstaje historia naturalna zasad i obyczajów ludzkich. Jako tedy umiejętność specjalna, śledzi ona fakta determinujące wolę człowieka w stosunkach międzyludzkich po rozmaitych grupach społecznych, porównywa je z sobą, klasyfikuje według pewnych cech najwydatniejszych, doszukuje się źródła, z jakiego pochodzą, oraz praw ich powstawania i rozwoju, zamilczając o wszelkim sądzie kwalifikującym je według pojęć dobrego i złego, coby było przeciwnaturalnym; i taka dopiero umiejętność nazywać się ma etyką teoretyczną, w odróżnieniu od etyki praktycznej, doskonałej, która, według autora i całej szkoły, z której on bierze początek, na miano umiejętności nie zasługuje. Dla takiej zatem etyki teoretycznej, dla takiej historii moralno-naturalnej, materiałem może być tylko etnologia; pochodnią umysłową, psychologia. Kto nie posiada tego materiału, ani tej pochodni, ten na taką wyprawę naukową wybrałby się jak żołnierz na wojnę bez amunicji i żywności.

O ile autor nasz uzbroił się w odpowiednie ku zadaniu swemu przyrządy, zobaczymy później; tymczasem zaznaczyć winniśmy, że tę nową metodę etyki w pierwszym rozdziale swjej pracy objaśnił z precyzją niepozostawiającą nic do życzenia tak, iż każdy po przeczytaniu go wiedzieć może doskonale o co chodzi, oraz stanowisko piszącego w sprawie tej zrozumieć. Wyraźniej jeszcze określimy je, przytaczając niemal własne jego słowa (str. 15): że wszelkie zagadnienie etyczne, ściśle rozwiązane być może tylko wtedy, jeśli usunąwszy wszelkie pomysły apryoryczne, zwrócimy się bezpośrednio i jedynie po odpowiedź do tych faktów, gdzie metodą porównawczo-historyczną doszukać się możemy początku i działania praw moralnych, którym wszelako żadnych przywilejów nadawać nie będziemy, bez względu na ich możliwe u rozmaitych ludów różnice, oraz które ciągle stanowić będą tylko przedmiot poszukiwań, nie zaś władzę obowiązującą.

Tak się na wszystkie strony co do stanowiska swego opatrzysz i zabezpieczysz, autor w długiej bardzo rozprawie, stanowiąc mogącej całkiem odrębną i zamkniętą w sobie memoryał, odbywa przegląd rozmaitych pomysłów filozoficznych o pojmowaniu istoty prawa moralnego. Przegląd ten, oczywiście z punktu właściwego autorowi wykonany, nie co innego może mieć na celu, jeno wykazanie

całej bezskuteczności usiłowań metafizycznych, nawet najgenialniejszych, gwoli uzasadnienia istoty moralności. Nie poprzestając na odrzuceniu całej etyki starój, jako nieumiejętnej, autor i w nowszych nawet badaniach, opierających się więcej na fizycznej człowieka naturze, nie widzi dostatecznego rozwiązania zagadnień o moralności, do których sam w pracy swojej zmierza, i uważa je za przejściowe niejako, oddając im wszakże sprawiedliwość, iż one dopiero po raz pierwszy w nauce wprowadzają umysły na drogę właściwego zastanawiania się nad tym przedmiotem.

Lubo cała ta część książki jest głównie sprawozdawczą i polemiczną, ten drugi wszelako żywioł służy tu do lepszego jeszcze wyjaśnienia, jaki system etyczny autor uważa za właściwy, ażeby odpowiadał naturze i zakresowi umiejętności w znaczeniu ścisłym; cała zaś polemika ściąga się do wykazania, że ani żadna władza moralna powszechna, ani żadne moralne prawa powszechnie i niezmiennie, nie istnieją.

Ażeby udowodnić dwa te, niezmiernie ważne w kierunku, jaki etyka przybrać ma, argumenta, autor przez dwa rozdziały, z historykami i etnologami w rękę, oprowadza nas po różnych labiryntach miejsc i wieków, wskazując tu i owdzie zabijające różnice w zapatrywaniu się ludzi na cnotę i występki, na dobro i zło. To, co gdzieś uważają za obowiązek, indziej karane jest jako wykroczenie; co w jednym i tym samym nawet społeczeństwie obudzało niegdyś zapał, później ulega naganie albo szyderstwu. I rzeczywiście, w tej jaskrawej mozaice faktów, które z talentem obrazotwórcy ugrupował autor, nie może się oku ludzkiemu przedstawić bardziej ruchliwem, zmiennem i niestałem, jak pojęcie moralności, jeżeli czyny ludzkie i ich pobudki weźmiemy na indagacyą. Faktami też głównie wyszukiwanymi nieco tendencyjnie zarówno wpośród gromad dzikich, jako i na łonie społeczeństw ucywilizowanych, argument swój usiłuje poprzeć autor, rozumowaniu pozostawiając miejsce tak szczupłe, tak wyłącznie do samych faktów empirycznie wziętych zastosowane i pod niemi ukryte, że go trudno nawet uchwycić. Ze zgrupowania faktów tych, czytelnik odnosi tylko przekonanie najmocniej uzasadnione o różności form moralnych, panujących na łonie wieków i społeczeństw różnych, a w umyśle jego pozostaje takie tylko wrażenie, jakieby odniósł, gdyby mu pokazywano rozmaite z rozmaitych stron okazy przedmiotów uznawanych za piękne, które się jednak między sobą różnią i kłócą, aż do całkowitej sprzeczności.

Wszystko to wreszcie, oprócz pierwotnie zaznaczonego planu etyki teoretycznej, cośmy dotąd streścili, jest dopiero połową zadania, jakie autor przedsięwziął, a mianowicie usiłowaniem obalenia teorii broniących powszechności władzy moralnej, oraz powszechności praw moralnych, które zdaniem autora nie są ani ustawodawstwem objawionem człowiekowi przez mądrość nadziemską, ani przez naturę. Pierwszą z tych teorii autor wyłącza zpod badania, jako nienauko-

wą; drugiej zarzuca niewłaściwość z tego powodu, iż natura, jako istota nieświadoma siebie, nie może dawać żadnych wskazówek moralnych, żadnych czynić rozróżnień pomiędzy dobrem i złem.

Nim przejdziemy do właściwej teorii etycznej, którą autor po tém wszystkiém rozwija, zastanówmy się bliżej nad tém, co ją poprzedziło.

Rozdzielając etykę na teoretyczną i praktyczną, autor pod ten sam rozdział podciąga i inne nauki, twierdząc, iż każda z nich „występuje w dwojakiój postaci: jako teoretyczna, kiedy ukazuje, i jako praktyczna czyli stosowana, kiedy nakazuje prawdę“ (str. 12). Jednocześnie zaś, zaznaczając, iż każda nauka „bada przedewszystkiem obiektywnie prawa rządzące pewną dziedziną zjawisk, często nawet niewiele się troszcząc o ich zastosowanie“ (str. 11), dziwi się, iż etyka (zapewne dotychczasowa) składa się z samych rozkazów, i tak postępującego moralistę od stanowiska naukowego odsądza.

Z tego przyznawania i nieprzyznawania miana nauki umiejętnościom stosowanym, to chyba wynika, że te wtedy tylko zasługują na takie miano, gdy sobie wynajdą podstawę teoretyczną; umiejętność zaś teoretyczna (o ile dobrze prowadzona) już przez to samo, że jest teoretyczną, zajmuje stanowisko naukowe bez względu, czy dopełnia się działem praktycznym albo nie. Może inaczej sądzi autor, ale w takim razie jego wina, że się co do tego jaśniej nie wyraził. Jeżeli tak sądzi, to przyznać musi, że sąd jego (przepraszam całą szkołę jego współwyznawców) jest nieco arbitralnym. Te umiejętności teoretyczne, które na myśli ma i za przykład których dał językoznawstwo porównawcze, są, pod względem metody, produktem myśli wczorajszym, a świat stoi nie od wczoraj i kształci się, a postępuje nie od wczoraj. Nim Bopp trafił na myśl badania języków pod względem ich rodowodu i nim podciągnął różnice ich pod pewne jedności, języki wydały świetne literatury, potężne utwory krasomówcze i poetyczne, ozdobiły ludzkość najpiękniejszymi pomnikami umysłu. Jeżeli zatem znajdzie się jakaś umiejętność, np. gramatyka, która bez względu na robotę lingwistyki porównawczej, z języka Demostenesów, Cyceronów, Mickiewiczów, wydobędzie reguły, czyniące go tym językiem pięknym, logicznym i do tłumaczenia najwyższych myśli podatnym; jeżeli przedstawi jego całokształt i formy jego budowy poda za przepis prawidłowy, czyli, według wyrażenia autora, za nakaz, jak się z niemi obchodzić należy, ażeby piękności jego nie zatrzeć i siły nie zniszczyć; słowem, jeżeli *nauczy* dobrze (według doświadczenia) mówić i pisać: to jakim prawem odsądzoną być ma od miana nauki, dlatego jedynie, że nie dała sobie za podstawę teorii powstawania języków?

Rozumiemy rozgraniczenie, zachodzące pod względem obiektywnego badania stanu rzeczy, a zastosowaniem praktycznym wynikłych ztąd uwag, tak jak rozumiemy różnicę pomiędzy diagnozą a terapią w medycynie; lecz nie pojmujemy téj chęci upośledzenia stanowiska praktycznego, gdy ktoś np. nieustannie wyraża się w taki spo-

sób: dopóki (badacz) trzyma się swego właściwie naukowego stanowiska, nie może wygłaszać żadnych rad, napomnień, zakazów, nakazów, gustów i t. p., słowem, gdy ktoś całą wagę i całe znaczenie naukowe przywiąże do jedynéj strony, t. j. do téj, która ma najmniejszy związek z życiem, która owszem, lubo wielce szanowna sama w sobie jako niepodległe badania naukowe, stoi raczej zgoła poza obrębem życia. Co to za dziwny sposób pojmowania naukowości, jeżeli ktoś powie, że mechanika jest nauką, ale architektura i inżynierya, budowanie domów, rzucanie mostów i podkopywanie tuneli, wszystko to nie jest nauką, pomimo iż teorią mechaniki wyprzedzając, tworzyło arcydzieła. Pocóż nam zajmować się prawoznawstwem jak Zachariae, pedagogiką jak Pestalozzi, jeżeli gdy nie napiszemy dzieła o powstawaniu praw społecznych, albo o powstawaniu praw wychowawczych, przyjdzie ktoś i zarzuci nam, że nie jesteśmy ludźmi naukowymi, tak samo, jak ów moralista, który „nie zajmuje stanowiska naukowego dlatego, że w jego sposób pojęta etyka nie jest systematem badania obiektywnego, lecz ustawą (!).”

Ażeby etyka zatem dopełniła tego kardynalnego warunku umiejętności wszelkiej, powiada autor, powinna „traktować prawo powinności, naprzód: jako nikogo nie obowiązujący przedmiot, zaniem je w zastosowaniu podniesie do znaczenia obowiązującej władzy.”

Mieliśmy zatem słusność: autor, dlatego nie uznaje żadnej z etyk dotychczasowych za kodeks umiejętny, że mu przodem nie towarzyszy teoria traktująca o powinnościach nikogo nie obowiązujących. A więc autor zna *powinności nikogo nie obowiązujące*? To dobrze; tylko zapomniał dodać, jakie one są i gdzie się znajdują.

Zważmy dobrze to połączenie powinności z nieobowiązkowością. Jeżeli je rozerwiemy, to pozostanie powinność czyli obowiązek, gdzieś zewnątrz subjektu zobowiązanego, kontrakt bez podpisu, czyli idea czysta obowiązku, czekająca aż się zacznie realizować w życiu istot. Jeżeli tak jest, toż to metafizyka najczystsza; autor wyrażeniem tém przystępuje do wszystkich apyryorystów, których ma sobie za pewną przyjemność lekceważyć na każdym kroku i wydawać przeciw nim wyroki zatracenia, wprawdzie *in effigie*; a cała jego przeciw nim diatryba, sporą część książki zajmująca, staje się bronią, zwróconą przeciw niemu samemu.

Na tym punkcie moglibyśmy się z autorem porozumiewać, ale nie korzystamy z téj indulgencji i wolimy ją raczej uważać za *lapsus mentis*, za jedną z tych sprzeczności, od których nie jest wolną jego książka. Zanadto ostęplował ją autor charakterem radykalnego przewrotu w pojęciach o moralności, zanadto naciska na to, że wszelkie objawienia objawiają się tylko wpośród ludzi i przez ludzi, ażebyśmy nie mieli się trzymać linii wytycznej jego dzieła raczej, niż mimowolnych zbożeń.

Tembardziej, iż w samej definicji swój prawa moralnego, a więc w syntezie wszystkich o nim szczegółów wyraźnie oświadcza, iż

jest to reguła, powstała wśród *ludzi*, do której nadto każdy człowiek pojedynczy wolę swą stosować powinien.

W definicyi takiej mieści się kilka żywiołów, a mianowicie: 1. usunięcie wszelkich wpływów pozaludzkich, a więc i pozaziemskich z wyobrażenia o pozostawianiu praw moralnych; 2. z wyobrażeniem prawa połączenie wyobrażenia obowiązku, co jest zarazem połączeniem etyki teoretycznej z praktyczną; 3. nacechowanie całej definicyi ideą moralną, nie zaś czysto socyalną, przez poddanie regule woli pojedynczej, nie samego czynu.

Co do pierwszego, nie mamy nic przeciwko takiemu rozumieniu rzeczy z punktu, z którego na nią zapatruje się autor. Zależy to od tego, czy ktoś spogląda na stworzenie, jako na dzieło Stwórcy, woli rozumnej, która ziarna pewnych idei składa w ustrój istot i te tkwią tam *statu latente*, dopóki w czasie danym nie wybuchną; czy ten ktoś uważa świat za przyczynę jedyną i wystarczającą swego bytu i wszystkich jego objawów. Autor jest tego ostatniego zdania, troskliwie usuwa wszelkie możliwe przypuszczenia rządu nadziemskiego na ziemi; nie tu pora o to z nim się rozprawiać, lecz mamy obowiązek tylko konsekwentności jego na tej drodze pilnować.

Co do drugiego, autor zabrał się wprawdzie do wypowiedzenia jak rozumie obowiązek w etyce swęj teoretycznej, wyłączając wszelkie nakazy i zakazy, ale skończyło się na przygotowaniu z odniesieniem do dalszego ciągu dzieła, które zachowało jednak co do tego punktu mało co więcej jak milczenie.

Obowiązek wszakże, jako rzecz podstawowa moralności, jest rzeczą dosyć ważną, a skoro już autor użyciem tego wyrazu wkroczył w dziedzinę moralności praktycznej, za którą my ze względu na życie niezmiernie obostajemy, to musimy dodać, że obowiązek to jedyna i cała treść moralności. I żeby tam nie wiedzieć jak teoretyczną była etyka, nie może ona poprzestać na kreśleniu obowiązków nikogo nie obowiązujących, jak się autor nieopatrznie wyraził, ale właśnie ta obowiązkowość, to poczuwanie się do czegoś, choćby nawet wbrew chęci i woli, jest charakterem żywotnym moralności, a więc musi być i nieodzownym żywiołem wszelkiej etyki.

Użycie zatem tego wyrazu w definicyi samęj czyni ją wadliwą przez to, że objaśnia *idem per idem*, jeśli się wyrazowi temu nie nada poprzednio, nie zaś z obietnicą dalszego ciągu, należytego i specjalnego objaśnienia. Autor, jak to widzimy z trzeciego punktu naszego rozklasyfikowania jego definicyi, życzy sobie, ażeby człowiek spełniający prawo moralne, spełniał je nietylko czynem, ale iżby był tak karnym, ażeby spełniał je wolą, czyli żeby w razie potrzeby nawet unicestwił siebie na rzecz prawa. Jakąż to zatem wysoką sankcją w oczach jednostek musi mieć ten obowiązek, tak *incognito* wprowadzony do tej definicyi, ażeby czegoś podobnego dokazał.

Są, np., osobniki społeczne i niedaleko ich szukać, żyjące w sferze moralności, według naszego rozumienia europejskiego, najwyższej,

które ile mogą radeby coś potajemnie urwać z nałożonego podatku skarbowego, a jeżeli im to się uda, mają to sobie za pociechę i radość. Są inne znów osobniki społeczne, mianowicie Anglicy, którzy jeśli na swoją korzyść, fałszywie wykażą dochód, od którego winni opłacać podatek, to częstokroć potem, jak się możemy przekonać z *Times*'ów, potajemnie opłacają z własnej woli naddatki, bo ich coś gryzie, że wykroczyli przeciw prawu wszystkich obowiązującemu, że się, bez ogródki mówiąc, stali złodziejami, w tém znaczeniu, iż czego oniby nie dopłacili na potrzeby ogólne, inni za nich dopłacić muszą. Mybyśmy to nazwali sumieniem, ale wiemy, że z tym wyrazem trzeba być ostrożnie w szkole, której hołduje autor, więc wolimy to nazwać poczuciem się w obowiązku. Tylko przyzna każdy, że obowiązek taki, który w ten sposób targa wolą człowieka aż do nieczułości na własną korzyść, musi mieć bardzo wysoką sankcyą. Skala zaś sankcyi zależy od przymiotów władzy, którą uznaje obowiązany; może ich zatem być wiele.

W każdym razie, wyraz ten, w znaczeniu etycznym doń przywiązaniem, nie może pozostać bez objaśnienia, jeśli definicya na nim oparta nie ma być złudzeniem. Jakkolwiek nieobjaśniony, obowiązek w definicyi autora, ma wszakże wskazaną sankcyą, którą nie może być nic innego tylko wola téj grupy ludzi, wpośród której powstała reguła; a tém samem i czyny, bez względu na wartość ich w odniesieniu do zasad pewnej etyki, o tyle moralnemi będą, o ile przedstawią się jako spełnienie obowiązku w widokach woli téj grupy, wśród której powstało prawo. Czyli, jeżeli pewna grupa społeczna nietylko sankcjonuje kradzież, np. Cyganie, ale owszem przedstawia ją za bohaterstwo; to cygan złodziej, jest osobnikiem moralnym, bo spełnia względem swéj grupy nietylko obowiązek, ale nawet heroizm, wbrew temu, co w innéj grupie społecznej piętnowaném jest jako występpek.

Ale ta różność nic nie przeszkadza. Wszakżeż pomiędzy np. kolibrem, gęsią i orłem, zachodzą wielkie różnice morfologiczne, anatomiczne i fizyologiczne; każde wszelako z tych stworzeń, po oderwaniu różnic, pozostawi badaczowi pewną wspólność, na mocy której będzie mógł zawyrokować, że wszystkie stanowią jeden rodzaj ptaka.

Na mocy takiegoż samego postępowania, przez abstrakcyą prowadzącego do wniosków indukcyjnych, wobec tak różnych moralności grup społecznych, począwszy od Papuasów i im podobnych, aż do społeczeństw najucywilizowańszych, cóż będzie stanowić cechę wspólną, stanowiącą łączność i jedność moralności, jako zasady, bez względu na różność faktów?

Nic innego tylko to pojęcie obowiązku, ta konieczność zastosowania woli pojedynczej do woli zbiorowej. Inaczej musielibyśmy powiedzieć, że istnieje jakaś moralność bezobowiązkowa, co jest wzajemnie unicestwiającém się przeciwieństwem; albo téż byłaby chyba mowa tylko o obyczajach i zwyczajach społecznych, od których jednostki wyłamywać się mogą, ale które nie są przeciwieństwem moralności. Jakoż, czy pomiędzy ludem jakim panuje lub nie panuje zwyczaj najumowania pła-

czek do pogrzebów i wyprawiania styp pogrzebowych; czy on pali swych zmarłych albo grzebie, to dla nas rzeczą jest tylko zwyczaju lub nareszcie obyczaju. Przeciwnie, cześć świadczona starości, gościnność, solidarność członków rodzin w poszukiwaniu pomsty za krzywdy lub zniewagi, są to obyczaje pozostające w widocznym związku z pewnemi pojęciami moralnemi, które postępek kultury oczyści, wzmocni lub zatrze. Nie należy zapominać i o tém, że lubo zazwyczaj, i słusznie, pojęcie obowiązku przeciwstawiamy pojęciu prawa, jako pojęcia odpowiednicze, brakuje wiele do tego, ażeby ta odpowiedniczość zawierała zawsze symetrią doskonałą. Raz prawo pojęte bywa wprost, bezpośrednio, jako racya obowiązku; drugi raz przeciwnie, z obowiązku właśnie, jako z zasady pierwotnej, wypływa prawo, które wtedy jest tylko sankcją społeczną pewnych punktów moralności. Szanować cudzą własność, jest prawem czyli regułą moralną, mającą za zasadę pojęcie, jakie tworzymy sobie bezpośrednio w sposób naturalny o własności; ależ obowiązek ojca dotyczący żywienia i wychowywania dzieci, nie jest bynajmniej wynikiem prawa, do jakiegoby odwoływać się mogły dzieci pod względem ich wyżywienia i wychowania. Nie mnożąc przykładów, rzeczy można, iż w wielu razach, jeśli nie po większej części, w organizowaniu społeczeństw, uznanie obowiązku przoduje powstawaniu praw. Godnem uwagi jest i to, że pojęcie obowiązku, przez powagę sankcji, przez tradycją i długoletnią praktykę, tak się wżera w organizm istoty, że najczęściej długo w niej pozostaje, nawet po zniesieniu odpowiedniego prawa, albo po przedstawieniu najjawniejszych argumentów, z innej sfery pojęć, obowiązkowość takową wstrząsających. Fakt ten napotykamy zwłaszcza wpośród moralności pierwotnych, lokalnych, narodowych, że tak powiem, i rozpatrywaniem których najwięcej zajmuje się autor niniejszego dzieła, a wpośród których czujesz niejako drgającą żywą strunę serca ludzkiego. U ludów tych gwałtowności są częste, zemsty srogie; ale w nich też napotykamy religijną cześć gościnności, solidarność rodzinną, majestatyczną powagę starości, wszystko, bez czego instynkt tych ludów czuje, że rozwiązałaby się ich organizacja społeczna. Wszystkie też tam odcienia moralne wydatniają lepiej, wszystkie charaktery zarysowują się śmielej; to typ moralności, którą nazwałby można poetyczną i heroiczną, bo życie jest źródłem wszelkiej piękności poetycznej. Tam też zaciągnięty i wdrożony obowiązek, z całym charakterem poezji i heroizmu, nie sądźmy aby tak łatwo się zatark, jako pewne pojęcie integralne z naturą, nawet gdyby w społeczności taką wkroczył inny porządek rzeczy moralny.

Tak ważna dźwignia, ba nawet cała istota moralności, musi być wzięta pod rozwagę przedewszystkiem tam, gdzie mowa jest o powstawaniu praw moralnych, bo nie będzie ich tam, gdzie nie ma rdzeni, na którejby się trzymały. Idea obowiązku jedna i ta sama może się w jednem miejscu przedstawiać biało, w drugim czarno; zależy to od refleksu zwierciadeł umysłowych ludzi uspołecznionych pod pewnym kątem odbicia w stosunku do świata; nikt jednak, bez zaprzeczenia *mo-*

ralności w jej znaczeniu specjalnym, nie zaprzeczy, że tworzy ją tylko pewne pojęcie obowiązku, jako krępujące nie tylko czyny, ale i chęci, a leżące na dnie każdego moralnego kodeksu. I złą byłaby książka, traktująca o powstawaniu praw moralnych, któraby tego ich żywiołu należycie nie wyrozumiała i nie wplotła go w istotę prawa moralnego. Zobaczmy jak zadanie to spełnia teoria p. Świętochowskiego.

Nie rozumiem, zaprawdę, powodu rozgraniczenia dwu rozdziałów, z których jeden autor zatytułował: *Powszechna i niezmienna władza moralna*, a drugi: *Powszechne i niezmiennie prawa moralne*; skoro jak w jednym tak i w drugim razie powtarzają się mniej więcej jednorodne szczegóły, to jest obrazowanie różnych obyczajów, zwyczajów, faktów społecznych i moralnych, produkujących się u społeczeństw różnych, tak dzikich jako i oświeconych. Wszystko to odbywa się w sposób przynoszący, zapewne, zaszczyt piszącemu, który w rozdziałach tych, zarówno jak i w rozdziale przeglądającym historią pojęć etycznych, wykazał nie tylko zdolność umiejętnego grupowania, ale nadto wszystko zadziwiające obeznanie się z literaturą przedmiotu. Rzecz ta, mająca niepospolitą wartość sama w sobie, jako materiał historyczno-etnologiczny, wprawdzie z drugieji ręki czerpany, bo tylko przez obce badania i obce literatury dostarczony, jest wszakże rzeczą w największej części zbyteczną do rzeczy, którą autor przedsięwziął. Usiłuje on temi dwoma rozdziałami przekonać, że na świecie moralności i moralne objawy są bardzo różne, i dlatego tyle cytuje przykładów. Nie mamy nic przeciwko temu, chociaż ten sam byłby skutek dla objaśnienia umysłów, gdyby był przytoczył, w celu do którego zamierza, dwa lub trzy przykłady, albo wprost przytoczył słowa Paskala, któreśmy z pamięci na początku zacytowali. W każdym razie jednak, cała ta jego obfitość historyczno-etnologiczna jest to dzielne wyłamywanie drzwi na rozcież otwartych. Nikt dotychczas nie wątpił o tém, że moralności są i były różne; nikt się jednak przed temi różnicami nie zląkł tak dalece, ażeby tym moralnościom różnym prawnie odmawiał jednego instynktu, jednego wspólnego, że się tak wyrażę, nasienia. Jeżeli więc są tacy waryaci, którzy pomimo znanych sobie różnic, uparcie twierdzą że *idea* moralna jest wspólnem dobrem całej ludzkości, choćby dlatego że ją widzą urzeczywistniającą się wszędzie, krzywić lub prościć, pod każdą szerokością geograficzną, tak jakby ludności odległe od siebie i nigdy się z sobą nie stykające, powiedziały sobie gdzieś na radzie wspólniej: założmy u siebie moralność jaka nam się będzie wydawała najpodatniejsza; jeśli, powiadam są ludzie tak uparci, to trzeba ich inaczej przekonać o błędzie co do samej zasady, nie zaś przez przytoczenie różnic w jej objawach, o czém, może nie tak dokładnie jak autor, ale wszyscy przecież wiedzieli i przedtém.

Wygląda to tak istotnie, jak gdyby autor, zapewne na ten raz wbrew swemu przekonaniu, wskazując różnice pomiędzy słoniem, psem, sarną, girafą i t. d., na mocy tych różnic chciał przekonywać że żaden wspólny typ początkowy istot organicznych nie istnieje, ale

istnieją tylko gatunki, a może indywidua. Wszakże tak samo dzieje się i z moralnościami: niema tak niskiej, z którejby na mocy prawa rozwoju nie mogła powstać wyższa, to tylko kwestya czasu; niema tak wysokiej, którejby nie można sprowadzić do najelementarniejszej.

Jeżeli w powszechność praw moralnych, jako w tożsamość objawów szczegółowych nikt nigdy nie wierzył, ktokolwiek obeznanym był choćby z najbliższą sobie kulturą obcą, tém mniej wierzyć mógł w ich niezmienność, wobec ciągłych przemian za jakimi świadczy historia: inaczej, musielibyśmy chyba zaprzecić się postępowości rodu ludzkiego i doskonalenia się wszelkich pojęć. To tylko możemy i powinniśmy przyznać z autorem, że filozofowie którzy dotychczas zajmowali się etyką, mieli jedynie na widoku epokę własną, kulturę własną, punkt wyjścia współczesny, i człowieka traktowali zawsze na stanowisku własnej niejako wysokości ducha. Nic też dziwnego, że to co o nim mówili, co mu przypisywali i narzucali, dziwnie odbija od wyobrażenia o człowieku, jakie otrzymujemy z zapatrzenia się na ludy żółte, miedziane i czarne. Jest to słaba strona filozofii dawniej, odkryta wszelkim pociskom rozumowania ścisłego.

Co zaś do samej władzy moralnej, to wyrzeczenie o jej istnieniu należy do innej sfery badań, mianowicie do psychologii, którą autor jednakże tu nie posiłkował się wcale. Oprócz przytoczenia różnych zjawisk moralności, oprócz sporu z Lubbockiem i innymi etnologami, którzy przyjmują uczucie moralne *powszechne*, i na mocy tego decydują sprzecznie z sobą, że ludy pierwotne nie mają żadnego; autor za całe rozwiązanie niebytu powszechnej władzy moralnej, stawia tylko (str. 158) pytanie: „czy w całej organizacyi człowieka jest jakikolwiek psychiczny organ, którego własności możnaby nazwać powszechnemi?“ I tam sobie odpowiada: „bynajmniej.“

Nasamprzód, w ustach myśliciela pozytywnego dziwi nas to wyrażenie „organ psychiczny.“ Nie trzeba wreszcie być bardzo radykalnym pozytywistą, ażeby wiedzieć że są tylko zdolności psychiczne, stany uczucia, zależne od pewnych organów fizycznych, większy lub mniejszy z duchową stroną człowieka mających związek, nie zaś organa psychiczne. Gdyby zaś taki organ istniał, to byłby niezawodnie powszechnym, i wszystko za tém przemawia. Nic fałszywszego nad to, co autor w dalszym ustępie przytacza na poparcie swego twierdzenia, że co u nas uznane jest za piękne, gdzieindziej uważa się za brzydkie, i nawzajem. To rzecz tylko gustu, i nic więcej, a gust to rzecz zmienna, podrzędna, ulegająca kształceniu. Gdybyśmy na takim statku płynęli coraz dalej, tobyśmy nareszcie każdą jednostkę wyosobnili z jej organami, zdolnościami i różnicami tak, że trzeba by przestać mówić o jednościach zbiorowych. Czyżby autor wtedy tylko zgodził się na jedność praw moralnych, gdyby widział we wszystkich grupach społecznych i przez wszystkie wieki jednakowo, jak na komendę, wykonywane ruchy moralne? Niepodobna.

Odpieranie istnienia jednej i powszechnej władzy moralnej nie może być zarzutem poważnym, w odniesieniu do jakiegobądź metody etycznej, bez wyjaśnienia na drodze psychologii tego, co rozumiemy przez władzę moralną, i bez wykazania, czy poważni etycy snuli wnioski swe na takiej danej. Zarzut ten, poważnie, stosować się może tylko do ducha etyk metafizycznego, który przypuszcza z góry pojęcia absolutne dobra i zła, co jest przeciwnem metodzie badania ścisłej, ale nie z takim na ten raz zarzutem mamy do czynienia. Na ten raz, w przeciwstawieniu do tych różnic etycznych, jakie autor przykładowo stawia, pomiędzy Madonną Murilla a posążkiem Izydy, to tylko jest ważnem, że wbrew tym różnicom, jak tu tak i owdzie istnieje jeden i tenże sam popęd estetyczny, tylko inaczej się realizujący.

Cóż tedy mamy zawioskować z wykazywania różnic moralnych na przestrzeni miejsc i wieków, podjętego z taką pracą i usilnością? Jeżeli to nie jest tylko wystawą wiedzy etnologicznej, którą słusznie autor pochłubić się może, to zachodzi tu alternatywa następująca. Albo autor nazwy *prawa* używa w znaczeniu empirycznym, mianując nią szczegółowe gdzieś reguły moralne, a więc fenomena, co bytoby powierzchownem i nie dowodziłoby niczego; tak dalece iż podobnego zamiaru nawet mu przypisywać nie chcemy; albo też autor *prawo* stosuje do numenu ukrywającego się pod temi wszystkimi fenomenami, których niepowszechność i zmienność, tak samo jak i w poprzednim wypadku, nie przeciw powszechności i niezmienności numenu nie dowodzą. Jakoż, zostając przy przykładzie językowym, który autor na początku wprowadził, widzimy liczną różnorodność języków mniej lub więcej wyrobionych, tak samo jak moralności: czyż na mocy tego utrzymywać będziemy, a to wbrew ścisłym wynikom umiejętności lingwistycznej, że nie istnieje żadna powszechna i niezmienna (że użyjemy wyrażenia autora) władza językowa, ani że nie istnieją żadne powszechne i niezmiennie prawa językowe? Wszak prawem językowym nie nazwiemy tego, według którego powstaje język francuzki, niemiecki lub cygański, ale to, według którego powstaje *język*, mowa, ażeby głos ludzki nie pozostał piskiem, krzykiem, wyciem, szczełaniem lub bełkotem niemowlęcia. Ale też takie prawo, czyli po odtrąceniu wszystkich różnic, element ustrojowo-ludzki, jest dopiero istotnem prawem, numenem, na mocy którego wyrastają wszystkie fenomena, rozwijające się w uroczą różnorodność różnic, przez ciągły postęp i ferment życiowy. A takie prawo jest już powszechnem i niezmiennem, bo skutki jego widzimy wszędzie.

Czyżby inaczej miało być z moralnością, która, podobnie jak i język, jest częścią integralną ustroju ludzkiego, i równie jak on, aktem psychologicznym? Nie może być inaczej, bo skoro natura (wyrażamy się figurycznie) i ptakowi nawet nadała instynkt budowania gniazda, a nadała mu go w widocznym celu utrzymywania gatunku, toć byłoby stokroć więcej zadziwiającem, gdyby człowiekowi nie wydzieliła instynktów odpowiednich do jego przyrodzenia socyalnego, zdolnych zapewnić

utrzymanie społeczeństwa i dorobyt jednostek. I nikt też usilniej tego nie utrzymuje jak sam autor, twierdząc niejednokrotnie a zawsze słusznie, przeciwko nawet mistrzom własnym, że każda grupa społeczna, choćby jaknajniżej postawiona, jest po swojemu moralną w zasadzie, bez względu na stopień umoralnienia i na model kodeksu moralnego, jaki ktoś gdzieś sporządził i za najlepszy uważa.

Skoro zatem tak jest, to jednocześnie przyznać musi, wbrew całemu swemu obrazowi różnic, że pomimo niepowszechności i zmienności praw moralnych, istnieje powszechność i niezmienność *prawa* moralnego, to jest aktu psychologicznego, który wolę ludzką (jeśli nie czyn) kieruje w stronę nieznaną, pokrytą tajemnicą, w stronę *obowiązku*. I po takim nacisku czynionym na powszechność moralności w społeczeństwach ludzkich, sądziliśmy właśnie, że autor dlatego jedynie tyle i tak uderzających różnic wykazuje, ażeby z tym większym blaskiem na dnie ich wykazać jedność, do czego niektóre tożsamości w prawach nawet szczegółowych (jak np. zakaz zabijania istot podobnych sobie, panujący wszędzie) powinny go były usposobić. I jedność ta, to połączenie ziarn różańca, nie gdzieindziej znaleźćby się mogło, tylko na nici obowiązku, bez której wszystkie prawa rozsypują się w jednostki luźne. Takie tylko postępowanie zdolnym było wypełnić, przez rozumowanie, ducha tej definicji, w której autor z góry ideę prawa z ideą obowiązku połączył. Dotychczasowy atoli wykład, nie połączenia, ale raczej niezależności i rozproszenia wrażenie pozostawił.

Była też to tylko, oprócz samej ekspozycji, część historyczna, etnologiczna i polemiczna wykładu; zobaczymy teraz co nam da część jego dogmatyczna.

O ile w części powyższej z wielkim wezbraniem mnożyły się fakta i przykłady, o tyle tu góruje rozumowanie. W doszukiwaniu się powstawania praw moralnych, autor, odrzucając wszelką metafizykę, do tego zwraca się jedynie co dać może fizyka w najobszerniejszym rozumieniu, i za wskazówką mistrzów swęj szkoły napotyka fakt niezaprzeczony i najelementarniejszy, stosujący się nietylko do człowieka ale do wszystkich istot najmniejszy ślad życia objawiających, tak dobrze do zwierząt jako i roślin. Faktem tym jest, w naszym słownictwie, popęd zachowawczy, który autor nazywa egoizmem, chyba dlatego tylko, ażeby wziąć na się kłopot odróżniania jego znaczeń od tych jakie mu przypisała moralność praktyczna, oraz mowa popularna. Rzeczywiście, egoizm albo samolubstwo, w znaczeniu powszechnym, mogą śmiało zmieszać to pojęcie, jakiego od nich wymaga umiejętność ścisła, i są one niejako drugostopniowe, skomplikowane; kiedy popęd zachowawczy wyraża rzecz najprostszą: dbałość o zachowanie swęj własnej istoty, życia. Jest to określenie najogólniejsze tego czego właśnie autorowi potrzeba; bo co tylko żyje, musi kierować się tym popędem, który jest warunkiem życia, jego tarczą i do pewnego stopnia tożsamością. Odejmiemy życiu ten popęd, zostawmy obojętność,

a życie zniknie niebawem. Otóż fakt ten najprostszy jest dla autora ogniskiem, w którym zbiegają się pod rozmaitemi formami wszystkie inne popędy.

Próżną byłaby rozprawa o tém, czy istniałaby jaka moralność wtedy, gdyby człowiek był jednostką na świecie absolutną, a więc absolutnym egoistą, bo stan taki jest niepodobnym. Gdyby jednak istniał, a nie popędów woli jego nieograniczało, nie byłoby tych stosunków, które wyradzają moralność. Ponieważ zaś człowiek, żyjąc społecznie, ustawicznie naraża się na zetknięcie z podobnymi sobie egoizmami, mającemi tyleż interesu co i on w zadosyćuczynieniu potrzebom życia, a więc potrzeby i popędy jego woli ograniczającemi; ztąd zatem wywiązują się stosunki nowe, ulegające zdeterminowaniu. Mniejsza o wszystkie te różnice pomiędzy znaczeniem egoizmu lub samolubstwa etycznem a naturalnem, jakimi autor zbyt długo a mniej potrzebnie zaprzęta umysł czytelnika, odwołując go od myśli głównej. Każdy widzi jasno, że tu do wyprowadzenia moralności z natury człowieka, a więc z poziomów najniższych, nie przychodzi się z gotowemi formułami moralnościowemi, by je do rzeczy dopiero badanej stosować: ale główną myślą autora jest to, ażeby z tego popędu zachowawczego jednostki wydobyć popęd towarzyski, służący znowu do zachowania gatunku, i wykazać, że ten na pniu tamtego i niejako z soków jego urasta.

Ponieważ człowiek nie znalazł na świecie gotowych praw moralnych, a te okazały się dla jego życia potrzebnymi, więc wyrobić je musiał sam z siebie, ale jakim sposobem? Nie posiadając zaś w ustroju swym żadnego specjalnego organu moralnego, wyprowadzić je mógł tylko z instynktów przyrodzonych: ale z których?

Dwa takie instynkta podstawowe wymienia autor, które przyjmują udział w powstawaniu praw moralnych: jednym jest cytowany już przez nas egoizm, inaczéj zwany *samolubstwo*, drugim — *współczucie*. Nawiasem mówiąc, jest to spolszczone wyrażenie tego, co Comte nazywa egoizmem i altruizmem, a co ze sfery moralnej odniesione wprost do sfery fizycznej, niczém inném nie jest, tylko popędem zachowawczym i popędem towarzyskim.

Egoizm wyrasta na gruncie potrzeb, do zaspokojenia których człowiek stosuje swą wolę, i równym interesem jego egoizmu będzie poświęcić się za drugiego, jako i poświęcić go samemu sobie, jeżeli w takiej formie ozwie się potrzeba jego ustroju. Wszystkie zatem popędy woli podciągają się pod ten jeden, który ogarnia całą istotę ludzką, i wszystkie bez wyjątku są egoistycznymi, nawet wtedy, gdy dążą do zadowolenia cudzego. Egoizm zatem, w tém rozumieniu autora, przedstawia się jako suma „wszystkich popędów woli, łączących się tém wspólném znamięm, że każdy jest objawem naturalnej i koniecznej potrzeby ludzkiego ustroju;” a tak zdefiniowany, stanowi on powszechną i główną siłę ludzkiej woli, oraz źródło pobudek moralnych.

Jakoż, ponieważ człowiek, jako nie żyjący pojedynczo na świecie, nie może być egoistą bezwarunkowym; przeto egoizm jego rozmaicie się modyfikuje, a ztąd wytwarzają się pewne stosunki. Może on występować wrogo przeciwko innym egoizmom; ale wtedy niebawem przekona się, że odplacany będąc pięknym za nadobne, nic na takim postępowaniu nie zyskuje a w danym razie wiele stracić może. Podobnyż los oczekuje go, gdyby zachował się obojętnie. Dopiero wzajemna kombinacja egoizmów i wzajemne ustępstwa, w praktyce okazują się najkorzystniejszymi; i takim sposobem egoizm występuje jako podstawa związków towarzyskich a z nimi i stosunków moralnych.

Oto jest charakterystyka żywiołu pierwszego, straszącego tylko nazwą swą, do której czas przyczepił jakieś znaczenie moralnie wstrętne i potępiające, ale która w znaczeniu ścisłym oznacza jedynie ten przyrodzony, a więc ani moralny ani przeciwmoralny popęd, stanowiący grunt nie tylko człowieka, ale wszelkiej istoty organicznej.

Drugim żywiołem w powstawaniu praw moralnych jest, jak powiedzieliśmy, współczucie. Popędy egoistyczne to mają charakterystycznego, że dążąc do zadowolenia potrzeb własnych, pomijają potrzeby innych, a tylko je dla interesu swego niejako tolerują. Popędy współzuciowe, naodwrot, dążą do zadowolenia siebie interesem innych. I tu, rozumić się, wejdą takie stosunki jak rodziców do dzieci, żony do męża, a dalej obywatela do współziomków i t. p.

Ale zkąd wyprowadzić te popędy współzuciowe, i jak byt ich w ustroju ludzkim uzasadnić? Bo, że egoizm jest uczuciem wrodzonym, czysto fizycznym, to fakt nie potrzebujący żadnego dowodzenia, fakt, którego dowód wypisany jest ręką natury wszędzie, gdziekolwiek panuje życie, tak dobrze w najpodlejszej roślinie, jak w najwynioślejszej istocie ludzkiej. Jest to organiczny warunek życia, bo niechaj raz istota przestanie być egoistyczną, to jest dbać o zadowolenie swoich potrzeb, staje się samobójcą, ukraca życie i własne i gatunku. Ale współczucie? Możeż ono się nam tak oczywiście, tak niezaprzeczenie zaświadczyć, jako popęd równie wrodzony i równie powszechny?

Jak w poprzednim ustępie o samolubstwie, tak i tu o współzuciu, własne rozumowanie i wywody autora przegradza polemika z różnemi zapatrywaniami, która wprawdzie jest pouczającą, ale której dla krótkości nie dotykamy.

To tylko zaznaczymy, że sam nawet Darwin, którego teoria ewolucyjna jedynie służy autorowi za punkt wyjścia w razach wątpliwych, i którego wywody przyjmuje on ostrożnie a zawsze z dobrodziejstwem inwentarza; sam nawet Darwin nie zaspakaja ciekawości naszej pod tym względem, czy z obserwacji życia na całej skali zoologicznej aż do człowieka, można z pewnym prawdopodobieństwem przypuścić powszechność i wrodzoność uczuć altruistycznych.

Nie polegając zatem na chwiejnych i wątpliwych przypuszczeniach naturalistów pierwszej ręki, autor zwraca się do swęj tezy samo-

lubstwa, i, niechcąc naznaczyć żadnego osobnego organu popędom współzuciowym, zwraca nasamprzód uwagę na to, co już z poprzednich jego rozumowań wynika, że źródłem popędów *społecznych* jest suma tych potrzeb egoistycznych, które się zakatwić dadzą tylko *w społeczeństwie*, a egoizm tych popędów jest wyraźniejszym niż innych. W grupie ich znowu za najpierwotniejszy i najsilniejszy uważa popęd płciowy, który zarazem jest najegoistyczniejszym, i dlatego panuje tak wszechwładnie i bezwyjątkowo w świecie zwierzęco-ludzkim. Ale cóż to jest ten popęd płciowy? Toż to zawiązek rodziny, a więc i społeczności: społeczność wyrasta na żywiole najegoistyczniejszym, i niema potrzeby szukać gdzieindziej pobudki uczuć społecznych. Jak daleko sięga popęd płciowy, tak daleko sięga społeczeństwo, począwszy od efemerycznego związku wilczej pary, aż do stałych związków rodzinnych wśród cywilizacyi i związków międzyrodzinnych w obszernych grupach obywatelskich, wśród których nareszcie ujawnia się granica, za którą egoizm szanujący tylko popędy i potrzeby własne, przechodzi w egoizm poszukujący dobra innych instynktownie i naturalnie, z pobudki bezpośredniej.

Na trapiące zatem zapytanie, czy istnieje możliwość takiego współzucia, jako wrodzonego *a priori*, autor odpowiada przecząco, uważając je wprost za wyrost popędu społecznego, który zrazu ograniczając się w napiętości i przestrzeni, stopniowo coraz szersze zakreśla koła i do coraz wznioślejszych dochodzi rozmiarów, a według niektórych teorii przekazuje się dziedzicznie. I tu autor pod bardzo szczegółową i niezaprzeczenie trafną krytyką poddaje teorią dziedziczności, z której wynika że dziedziczność istnieje oparta na ściślej łączności stanów psychicznych z fizycznymi, ale że istnienie jej nie jest tak absolutnym, iżby koniecznie i za każdym razem wszystkie własności przodków przekazywała potomkom, redukując się w każdym razie do cech najgłówniejszych, czyli że dziedziczność pozostaje mniejwięcej w charakterze możliwości co do wszystkich szczegółów, o ile warunki powstawania tych odpowiadać będą warunkom powstawania ich u bezpośredniego życiodawcy, a w charakterze konieczności tylko co do przymiotów ogólnych. Z takiego zatem wywodu wynika, że i popędy współzuciowe nie dziedziczą się koniecznie ale tylko możliwie, to jest przy odpowiednich warunkach w powstawaniu.

Gdyby były, gdyby mogły istnieć jakie społeczności trzymające się siłą samych popędów egoistycznych, co jest przeciwnem wszelkiemu doświadczeniu, można by mniemać, że współzucie nie odziedzicza się w stanie gotowego instynktu, ale tylko jako możliwość nabycia przy odpowiednich warunkach. Lecz ponieważ „żadna grupa społeczna nie utrzymuje się wyłącznie siłą popędów samolubnych;” ponieważ „w liczbie przedmiotów naszego pożądanja i miłości, ludzie zajmują najważniejsze miejsca;” ponieważ „pominąwszy usposobienia wyjątkowe, pokłócone z całym światem, w rodzaju ludzkim żyją i działają potężne uczucia wzajemnego przywiązania” (str. 205); ponieważ naresz-

cie „nigdy nie mogło zawiązać się społeczeństwo z jednostek przedtém żyjących luźnie” (str. 224); przeto nic łatwiejszego jak z takiej masy faktów doświadczalnych zawnioskować, że warunki powstawania popędów współzuciowych są powszechne i jednakie, czyli że współzuciość nie do cech drugorzędnych, ale należy do tych przymiotów ogólnych, rodzaj ludzki stale wyróżniających, o których autor z rozpoznawania praw dziedziczności słusznie wywnioskował, że się powtarzają stale i niezmiennie. W przeciwnym razie bowiem otrzymalibyśmy to, przeciw czemu on stale się broni, to jest ludzi pozbawionych popędu współzuciowego, grupy społeczne pozbawione sympatyj wzajemnej a więc rządzące się wyłącznie popędami samolubnymi, słowem stałe formy pomiędzy ludźmi czysto egoistyczne.

Co gdy tak jest, to stojąc na gruncie jego teorii, nie widzimy tak dalece co do samego rezultatu różnicy pomiędzy dziedzicznie otrzymanym instynktem gotowym, a możliwością jego powstania przy warunkach odpowiednich, jeśli warunki te, co do sympatyj międzyludzkiej są tak powszechne i stałe. Różnicę tę pojmovalibyśmy wtedy, gdyby ta sympatyja należała do cech drugorzędnych, niestałych, zmieniających się z pokolenia w pokolenie, jak np. skłonność do pewnych zajęć, zdolność do pewnych talentów. Ależ sam autor, kończąc rzecz o dziedziczności, powiada: „ponieważ w sumie warunków, w jakich rozwija się zaród murzyna, najwięcej zawsze będzie takich, które umożliwią w nim wyrobienie się cech *ludzkich*, a najmniej takich, które wytworzą naturę rodzicielską, więc też najwięcej odziedziczy własności *ludzkich* a najmniej rodzicielskich.“ Cóż zaś może być więcej *ludzkim* jak współzucie dla istot podobnych, i czy może mu kiedy braknąć (oprócz wyjątków i potworności) warunków do powstania przyjaznych, skoro jak pamięć sięga i pod każdą szerokością geograficzną, współzucie to było z natury społecznej nicią łączącą ludzi między sobą?

Jeżeli więc zatrzymamy różnicę rezultatu pomiędzy instynktem gotowym a możliwością jego powstania, niekrepowaną niczém i nigdy; jeżeli nadto pozwolimy sobie usunąć ten delikatny odcień, jaki zachodzi między skryształizowanym przez dziedziczność instynktem a jego wrodzonością; to znowu nie rozumiemy dla czego autor z takim urąganiem pomija „dumających *apriori*,” którzy przypuszczają że sympatyja, objawiająca się chęcią cudzego dobra, jest człowiekowi wrodzoną; tém mniej nie podzielamy jego zdziwienia, iż ku takiemu przypuszczeniu przechylają się badacze „którzy zwykli *faktom* dawać bezwzględne *voluntatem* zaufania,” jak Darwin i inni filozofowie natury. Gdyby rzecz dotyczyła faktów porządku czysto naturalnego, autor nie miałby zapewne nic przeciwko temu; bo i któżby wreszcie przeczył, że ruch, mowa, sen, są wrodzone; ależ ponieważ to dotyczy faktu ludzkiego, który nie jest rzeczywiście tak na całej skali zoologicznej powszechnym, a w świecie ludzkim, przy warunkach społecznych wysoko rozwiniętych objawia się przeważnie jako sprawa duchowa; więc przyznanie

wrodzoności grozi pewnym niebezpieczeństwem doktrynie. Jest to nieco zadaleko posunięty *esprit de système*. Bo jeżeli nawet znaczenie wyrazu *wrodzoność* ograniczymy do definicji cech stałych, wszystkim generacyom wspólnych, choćby tylko takich, jak cechy gatunkowe i plemienne, bez względu z kąd przyszły; toć ze wszystkiego, co sam autor w tym przedmiocie, mówi, wynika, że sympatya jest cechą rodzaju ludzkiego w tém znaczeniu wrodzoną, przypuszczając iż się odziedziczyła jeszcze po mitycznych małopodach czy ludomałpach, lub innych przodkach naszych, istniejących w romansowej wyobraźni Haeckla albo panny Klementyny Royer.

Usilność ta, z jaką sumienny badacz walczy przeciwko sobie samemu, dochodzi czasami do jakiegoś zaplątania się w sprzeczność nierozwiklaną. Powiada bowiem w jedném miejscu (str. 217): „Jest przytém jeden, już nam dobrze znany fakt, który w zakresie ludzkiego rodzaju przeczy możliwości istnienia wrodzonego współczucia: mówię tu o granicach sympatyi, objawiającej się tylko w zakresie pewnego biologicznego lub społecznego koła.” I wskazawszy takie ograniczenia odwołaniem się do przykładów z historii i etnologii, powiada dalej: „nie można zaprzeczyć, że jakkolwiek popędy życzliwości zwykle działają tylko w zamkniętym obszarze, często zakreslają bardzo szerokie koła, a nawet ogarniają całą ludzkość, gdyż pomimo wszelkich różnic, ród człowieczy ma wiele cech każdemu gatunkowi wspólnych: jeżeli murzyn uczuje życzliwość dla murzynów, to już nie wiele brak, ażeby ją uczuł i dla białych” i t. d. Niechże mi kto powie, co w takim zestawieniu *przeczy możliwości istnienia wrodzonego współczucia*, i czy ono raczej nie popiera faktu, przeciw któremu występuje autor.

Jest rzeczą niezaprzeczoną, że powstawanie uczuć altruistycznych odbywa się zwolna, ma swoją historią, swój rozmaity stopień co do czasu i miejsca, słowem że uczucia te nie posiadają tego charakteru z jednéj sztuki odlanego, jak Francuz powiada *tranché*, naksztalt uczuć egoistycznych. Wchodzą one w te ciemne czeluście psychologii, z których nie łatwo je będzie wydobyć. Ale nie sztuka to osadzić je, niby narośl, na pniu egoizmu, powiedziawszy, iż człowiek pragnieniem cudzego dobra zaspokaja pragnienie własne; zawsze pozostanie do okazania z kąd się to wzięło pragnienie w téj formie, z kąd ta pełna błogości i szczęścia abnegacya na rzecz dziecka, kochanki, na rzecz przyjaciela, niezajomych, dalekich; na rzecz idei... i dlaczego ona dogadza egoizmowi, który jest z kądinąd prostém przeciwieństwem współczucia. Powiedzieć że to interes (najszlachetniejszy) egoizmu, jest to niepowiedzieć nic, bo jużćić któż ma uczuwać jeśli nie *ego* ja, jaźń; trzebaż odnosić to do osoby trzeciéj, ażeby się zupełnie wyzbyć swéj istoty dla dowiedzenia nieegoistyczności? Byłby to *nonsens*. Ci, którzy nie mają innego tłumaczenia dla życzliwości nad potrzebę egoistyczną, zapominają iż są bardzo blizcy podciągnięcia egoizmu pod całą osobę ludzką, pod jaźń. Dobrze; ależ natenczas to wszystkie

uczucia, tak dobrze etyczne jak estetyczne i inne, znajdują miejsce właściwe sobie i niezależne a tylko w związku jedno z drugim zostające, w odpowiednich stanach psychicznych, tak jak rozmaite stany fizyologiczne tłómaczą się pewnymi organami, mającemi z sobą związek a przecież niezależnymi, jak oko od ucha, jak mózg od żołądka.

Kwestya to, powiadamy, która da się rozwiązać tylko na polu psychologii, ale tój autor nie użył tu prawie wcale, i wreszcie stan dzisiejszy tój umiejętności jeszcze nie pozwala na posiłkowanie się jój rezultatami w pytaniach tak rozległego znaczenia.

Nie mając co lepszego do podstawienia, a biorąc ciągle egoizm za rzecz prawie równoznaczną z osobą ludzką, jak w całym wywodzie, tak i w ostatecznej konkluzji, powiada najprzód: że „popędy współzuciuowe istnieją w sumie sił kierujących wolą człowieka, jako grupa pragnień egoistycznych, zadawalniających się w dążeniu do cudzego dobra.“ Jest to odpowiedniość tego, co powiedział o popędach samolubnych, że te ograniczają się do zadowolenia potrzeb osobistych z pominięciem cudzego dobra. I, lubo w takiem zapatrywaniu się, zbyt widoczna jest dążność do postawienia egoizmu za jedyne źródło wszelkich uczuć, wbrew nawet teorii Comte'a, który z nich tworzy dwie całkiem osobne grupy, nie mamy nic przeciwko konsekwentności takiego zestawienia, w duchu autora. Ale gdy powiada, że popędy współzuciuowe „jako ściśle i zupełnie sformowane instynkta, nie przekazują się sposobem gotowego spadku, lecz powstają z odziedziczonych możliwości“, — to musimy mu zaprzeczyć stanowczo jego własnym argumentem, dotyczącym powszechności uczucia sympaty w rodzie ludzkim, które nigdyby się tak nie upowszechniło, gdyby podług jego teorii dziedziczenia, należało do cech osiąganých tylko możliwie przez dziedziczność usposobień. I, Bogiem a prawdą, jeżeliby popędy sympaty, mające tyle lat obywatelstwa w ludzkości, i nawet w zwierzętach gdzieś doszukiwane, nie dziedziczyły się absolutnie, to chyba już żaden instynkt nie miałby do tój absolutności prawa.

Co do trzeciego punktu, jako popędy te znajdują w warunkach społecznych pobudki swego rozwoju i upotężnienia, zgadzamy się w zupełności, i uważamy je równo z autorem za czynnik do wyrobienia popędów i praw moralnych.

Ważną rzeczą jest pamiętać o różnicy, jaka zachodzi pomiędzy uczuciami lub popędami czy to egoistycznymi, czy współzuciuowymi a moralnymi; różnica zaś ta polega na tém, że tamte, będąc tylko bezpośrednim wynikiem potrzeb, nie mają jeszcze na sobie tój specjalnej cechy moralnej, którą determinuje wola. Różnicę tę dobrze i jasno scharakteryzował autor na kilku przykładach, i przyszedł nareszcie do tego pośrednika, stojącego między wolą a czynem, do tego stanowczego argumentu, nadającego czynowi cechę moralną, — który zwie się obowiązkiem.

Czekaliśmy w tém miejscu spełnienia zapowiedzianej nam na początku wykładu obietnicy, ale znaleźliśmy natomiast tylko wyrażony

żał, iż przedmiot ten liczy dotąd tak mało opracowań, że autor wobec niego niemal własnym tylko siłom jest pozostawiony. Z tonu jednak, jaki przybierają biologisci we wszystkich sprawach świata, możnaby było mniemać, że i w tym ważnym przedmiocie przyszli do jakichś odkryć pozytywnych; ale skoro tak nie jest, szczeroseć ta im policzoną być winna. Autor nasz wprawdzie, zawsze z chęcią zwracający do świata zwierzęcego aby sobie zapewnić należyty punkt wyjścia w rozpoznawaniu warunków powstawania moralności ludzkiej, znowu nam cytuje poglądy Darwina, obraca je na różne strony, ale jakoś ta moralność zoologiczna nie a nie wpływa na objaśnienie nam idei obowiązku w ludziach. I znowu występuje na scenę teoria dziedziczności popędów moralnych, z całą chwiejnością podejmowana, teoria użyteczności i tradycyi, kończąca się tęp przypuszczeniem, że „człowiek nie odziedzicza żadnych określonych popędów moralnych, lecz jedynie taką wewnętrzną organizacją, która przy odpowiednich warunkach zewnętrznych popędy te wytworzyć zdolna;“ a więc znowu tylko usposobienie. A tymczasem samo uczucie obowiązku, czém jest w naturze swój i jakie są prawa jego powstawania, rozchwiało się gdzieś i znikło w rozprawie o dziedziczności.

Iżby raz z tą dziedzicznością skończyć, postawimy jedno zapytanie. Żeby była dziedziczność, potrzeba nasamprzód, ażeby było co dziedziczyć. Bo rozumiemy, że można przyjść do sukcesyi milionowej; lecz tu wysokość cyfry małe ma znaczenie: głównie chodzi o ten pierwszy grosz, o ten milionowy ułamek grosza, który mnożąc się i procentując latami, wydał ostatnim spadkobiercom miliony. Biologisci wciąż usiłują skarby dotychczasowe ludzkości tkomaczyć dziedzicznością, ale niemniej ciekawém byłoby dowiedzieć się, zkaąd się wziął początek tych skarbów u tego, który nie miał po kim dziedziczyć.

Postaramy się tę rzecz zobrazować w krótkości, tak jak ją pojmują dzisiejsi psychologowie: Bain, Mill, Ribot,—naturalisci: jak Darwin, Lubbock i inni tój samój szkoły, których i nasz autor jest do pewnego stopnia reproduktorem, jak w tym ustępie tak i w ostatnim, traktującym o warunkach, w których powstają prawa moralne.

Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że ludzie pierwiastkowi w czynach swych kierowali się tylko głosem potrzeb i wszelkiego rodzaju zachcianek; ale musieli się wreszcie przekonać, że niektóre rzeczy pożądane i zmysłowo przyjemne, szkodzą; inne znowu, przykre, okazują się pożytecznemi. Do tego przystępują uczucia życzliwości, wzajem łączące ludzi między sobą i zawiązujące coraz ściślejsze węzły, i, jak widzieliśmy poprzednio, przez to skojarzenie interesu osobistego ze współczuciem dla drugich, powstaje pewna moralność, która jedne kierunki woli zachęca, inne gani i stara się powstrzymać, w miarę jak są przyjazne lub przeciwne tym dwom popędom. Ponieważ ludzie posiadają zdolność uogólniania, a zarazem utrwalania tych ogólności w mowie, utworzyli sobie przeto pewne zdania ogólne, pewne prawa, którym nawykli ulegać. Po większej części przechodząc przez

doświadczenia podobne, przekazywali je sobie wzajem, tworząc prawa coraz ogólniejsze, które przez czas coraz bardziej zatracając cechy osobistości pierwotne, nabierały charakteru praw, zasad ogólnych i nieosobistych. Te znowu tradycja podawała za prawdy niepodlegające dyskusji; a ponieważ pokolenia późniejsze przyszły do nich nie z własnego doświadczenia, tylko je znalazły gotowe, zaczęły je uważać za jakieś prawdy bezwarunkowe i bezwzględne, słowem wrodzone, skoro początek ich ginął we mroku stuleci. I ztąd to pojęcie prawa moralnego zyskało cechę powszechności, do której przyłączyła się jednocześnie cecha obowiązkowości.

Jakoż, mając już pewne zasady kierownicze, grupa pewna albo i osoba pojedyncza, uznawszy je za dobre, w interesie osobistym chciała poddać pod nie wszystkie jednostki, jużto perswazyą, już siłą; za tą ostatnią głównie przemawia nasz autor, i nie bez słuszności. Rodzice postępowanie takie zwrócili ku dzieciom; wodzowie, prawodawcy, kapłani, ku całym ludnościom, według tego, jak im wskazywał albo interes osobisty, albo też widoki dobra społecznego; ale, przyjmując nawet w rachunek tę pierwszą pobudkę, nie możemy zarazem wyłączać i drugiej, skoro przez użycie tych lub owych środków, społeczności jednak ustaliły się w formach treściwych i przetrwały, dzięki tym właśnie prawdom zachowawczym, które odtąd stały się gruntem wszelkiej moralności.

Prawidła te przechowywały się w domu powagą rodzinną, w społeczności powagą polityczną, a jednocześnie i religijną, tak że wszystko, co dla człowieka stanowi powagę najwyższą: ojciec, wódz, kapłan, Bóg, — wydawało rozkazy do jednego zmierzające; mędrcom głosili i upowszechniali je słowem, poezją, nauczaniem. Odtąd też prawidła moralne przedstawiają się nie tylko jako prawdy ogólne, ale jako rozkazy, wychodzące zawsze od jakiejś władzy świeckiej lub świętej, a skutkiem wrażeń, z jakimi były przyjmowane, przybrały charakter praw koniecznych i obowiązujących. Obecnie, kiedy pokolenia ani wiedzą, przez jakie to wole przeszły te reguły pierwotnie, nim się stały prawami obowiązującymi, ulegamy im jako rozkazom, a ponieważ w gruncie nie sprzeciwiają się rozumowi, jako wynik długich i jednomyślnych doświadczeń, nic naturalniejszego, że je uważamy za wynik samegoż rozumu wziętego abstrakcyjnie, za dzieło prawodawstwa wewnętrznego, bez prawodawcy; słowem, za pojęcia rozumowe, tkwiące w naturze ludzkiej i powoli z niej wyłuskiwane.

Zaprzeczyć niepodobna, że tak się to odbywało, i że nacisk powagi, tradycji i nawyknięcia, odegrał wielką rolę w ustaleniu się prawideł moralnych, czyli, że pierwiastkowo one upowszechnienie swe zawdzięczają sile. Ale tłómaczenie to empirycznego ich początku, tłómaczy zarazem i ten fakt, dlaczego one mogą z czasem stracić swą moc obowiązującą, kiedy człowiek przekona się dostatecznie, iż one były utworem chwili pewnej, warunków pewnych, i nie mają w sobie nic absolutnego. Możemy wszakże wyobrazić sobie człowieka, który

cały kodeks moralny swojego czasu uznawszy za dzieło takich samych ludzi jak on, podda go pod krytykę, i zwali wszystkie jego artykuły, jak tego próbowano już nieraz; — czyż przeto człowiek ten przestanie się poczuwać do czegoś, co go *in foro interno* obowiązuje? Czy przez to stanie się, przypuszczam, oszustem lub złodziejem bez wyrzutu sumienia? Nie: on utworzy sobie moralność inną, obowiązki inne, których spełnienie może częstokroć stanąć w sprzeczności z pobudkami jego egoizmu lub altruizmu: będzie on miał znowu swoje dobre i złe. A więc powaga obowiązku przetrwała mimo form jego zmienionych, mimo wykrycia i odrzucenia jego mistycznego początku, czego już teoria ewolucyjna nie wytłómaczy, jeźliby to pojęcie było tylko wynikiem siły, wychowania i nawyknienia. Wszystko to zdaje się zatem być tylko narzędziem pomocniczym tego, co stanowi warunek, jeden z elementów natury ludzkiej.

P. Świętochowski, jak w uczuciach altruistycznych, tak i w uczuciach moralnych, przypuszcza usposobienie dziedziczne, czyli możliwość. Ale jak ją rozumieć? Dziedziczność uczuć lub popędów moralnych szczegółowych, określonych pewnym kodeksem moralności jest niepodobną i takiej nikt rozważny ani na myśli mieć nie może; stosowaćby się zatem mogła tylko wogóle do poczucia moralnego, jednoczącego się w danych warunkach z pojęciem obowiązku. Ale dziedziczność musi mieć podstawę materyalową. Gdy zaś rozwój naturalny, o ile za nim poświadczyć mogą fakta prawdziwe, nie zaś czysto hypotetyczne, wydał w naturze ludzkiej same tylko udoskonalenia jednych i tych samych zdolności i władz; gdy od wieków nie przybyła człowiekowi żadna nowa zdolność i władza, któraby, odkąd ślady swe wyraźnie zaznaczył, znaną nie była; i gdy tém samém wnioskować godzi się, że z istoty wszelkiej to tylko wydobyć i to tylko po niej dziedziczyć można co w niej jest, a prędzej coś ująć niż dodać jej naturze, przeto dziedziczność stosować się może tylko do tych władz, zdolności, instynktów i uczuć, które człowiek pierwotny posiadał w zarodzie, a w pewnych warunkach rozwinął, czyli, że wszystkie jego uczucia i popędy, są mu wrodzone. Co zaś do samych popędów moralnych, to jeszcze raz powtarzamy, że tak często przytaczana różnica form nic a nic na rzecz teorii przeciwniej nie przemawia, a raczej ją podtrzymuje: to tylko różność rozwoju jednej i tej samej treści. Prawo moralne ma za cechę specjalną to, że wykonanie jego sprawia zadowolenie wewnętrzne, niewykonanie wyrzut, czyli jak pięknie i ściśle wyraża tę myśl Kant: obowiązek jest koniecznością ulegania prawu przez poszanowanie dla prawa. I daremnie p. Świętochowski przyrównywa to do potrzeb fizycznych, mówiąc, że niezadowolenie głodu sprawia także wyrzut, który uspokaja się po nasyceniu: metafora i do tego fałszywa, nie stanowi argumentu. Wyrzut stosuje się nie do samego wykonania, czyli nie do czynu, lecz do woli. Czyn będzie spełnionym, gdy go wykonała wola, choćby okoliczności stanęły na przeszkodzie; i żaden żołnierz nie będzie sobie wyrzucał, że nie zdobył armaty, którą mu wska-

ziano, jeżeli niczego nie zaniedbał, ażeby ją uchwycić, gdy wtém odcięto mu ręce: ale niemniej boleć będzie nad tém, że armata została nie zdobytą, czyli, że głód jego poświęcenia, chwały lub obowiązku nie został nasyconym.

Zkądkolwiekbyśmy wyprowadzali moralność: z religii, z polityki, z użyteczności, z interesu, wszystkie te źródła pojedynczo wzięte, czy w kombinacji wspólnej, nie są dostateczne do wytlómaczenia obowiązku, na którym wspiera się moralność, bo wszystko to jest do zwalnienia lub przeistoczenia, bez ujmę dla istoty prawa moralnego. Jakkolwiek zatem szkoła empiryczna wyprowadzi historycznie jego możliwość i początek, to metodami sobie tylko właściwymi nie załatwi trudności największej, to jest nie wytlómaczy go dzisiaj. Odpowiedzią jedyną jęj może być na to zapytanie, iż doświadczenie przekonało, że prawo moralne jest dobrem, że lepiej jest iść za pobudkami poświęcenia niż egoizmu, że spełnienie obowiązku przez wszystkich zapewnia największą sumę korzyści ogółowi. Wszystko to pozostanie tylko w charakterze *radę*, nie zaś *powinności*, przed którą wyrzut nie pozwala się człowiekowi cofnąć; wtedy nawet, kiedyby czyn jego egoistyczny żadnej nie ulegał kontroli. Sprowadzenie zatem uczucia obowiązku do wpływu wychowania i nawyku, równa się jego zniszczeniu, a zniszczenie nie jest bynajmniej wytlómaczeniem. Obowiązek jest prawem narzucającem się w tęg samej chwili, gdy rozum pojmie wyższość jednego uczucia nad drugie, dobra ogólnego nad dobro pojedyncze, duchowego nad cielesne, i tym podobnie. A skoro po możliwém wywróceniu wszystkich szczegółowych kodeksów obowiązku, jeszcze jego idea przetrwa w naturze ludzkiej, tam więc trzeba jęj głównie poszukiwać, czyli znowu zwrócić się do psychologii, zarówno indywidualnej jak społecznej, z których tylko tę ostatnią p. Świętochowski w przedmiocie swym uwzględniał. Historyczny rozwój tęg idei nie przeciwi się bynajmniej jęj rzeczywistości. I nie mamy koniecznej potrzeby zwracać się do zoologii i archeologii zoologicznej, aby nabyć przekonania, iż ludzkość nie rozpoczynała od takich pojęć obowiązkowych, jakie posiada dzisiaj. Dostę jest badać człowieka pojedynczego, śledzić zarody, kiełkowanie i rozwój popędów moralnych w dziecku, jak to uczynił Taine, który pierwsze próby swoich doświadczeń zamieścił w *Revue philosophique* z r. 1876. Wiemy dobrze o tém, iż wszystko rozpoczyna się od instynktów naturalnych; wiemy również, że wychowanie i nawyk wespół działają z instynktem w wykształceniu i rozwinięciu pojęć. Ale że jakieś pojęcie ulega rozwojowi empirycznemu, nie idzie zatem, iżby było czystą wynikłością czegoś bez żadnej wartości własnej, a następnie, żeby dziedziczyło się coś, czego nie było i co urosło z samych wynikłości na niczém realném nie opartych, tak jakby tego domyślać się można z wykładu p. Świętochowskiego o popędach moralnych, które dziedziczają się możliwie, niewiadomo na jakieg materii testamentowej.

Tytuł wreszcie jego książki poniekąd nie dotrzymał słowa. To, nad czém się autor zastanawiał, rozdzielić można na dwie części:

Pierwsza zajmuje się, jak powiedzieliśmy wyżej, krytyką teorii etycznych. Bez względu na chaotyczność, jaka tam panuje w układzie i na ton częstokroć mniej odpowiedni stanowisku praktykanta do mistrzów, praca to, że tak powiem Syzyfowa, rodzaj świetnego popisu z wiedzy zdobytej na polu nauk filozoficznych. Cóżkolwiek przecie o wartości tej pracy na jej korzyść powiedziećby można, ma ona tę wadę, że w większej swój części, z powodu całkiem odmiennego punktu wyjścia, nie łącząc się organicznie z przedmiotem, wydaje się tu zbyt czynną i luźnie przyczepioną. Wszystko to co autor przeciwko teoryom, jak ich nazywa, apryorystów czy metafizyków, napisał, dobrem było dla niego samego, jako studyjującego przedmiot; może nadto stanowić, przy lepszym uporządkowaniu, rozdział historii filozofii, z pewnego stanowiska rozbięranej; ale myśli przedmiotu samego, badanego na całym innym drzewie, nie posuwa ani na krok.

Druża znowu część, poświęcona samemu przedmiotowi, streszcza z pewnymi oryginalnymi sprostowaniami i uwagami to, co dotychczas wypowiedziała w tej materii nowa szkoła filozoficzna, działająca pod natchnieniem naturalizmu. Część ta wszelako nie doszła jeszcze do właściwego *powstawania* praw moralnych, ale raczej usiłuje wskazać ich początek, jak widzieliśmy, datujący od egoizmu, czysto zwierzęcego, który w połączeniu z popędami współczuciowymi wyradza popędy społeczne, ażeby na gruncie społecznym znaleźć zasiew dla popędów moralnych. Wszystko to przeprowadza się na drodze ewolucyjnej i historii i służyć ma dopiero za podstawę do dalszego rozwinięcia pracy, mającej zapewne zawrzeć właściwe *powstawanie* praw moralnych.

Wobec wielkiego krzątania się i wielkiej pracy, jaka odbywa się na Zachodzie przez mistrzów pierwszorzędnych naturalizmu, około budowy nowego całokształtu nauki o życiu i świecie, dzieło p. Świętochowskiego jest zaledwie drobnym pyłkiem, rzuconym na górę; ale jak u nas, ma ona inne znaczenie. Pierwsza to praca oryginalna, wykonana na skalę tak poważną i z tak naukowym przygotowaniem, wyobrażająca pewną umiejętną całość, która obezna je z kierunkiem myśli tak zwanym pozytywnym; a lubo kierunek ten nie budzi ufności, jak wszystko co jest jednostronnem i lubo więcej obiecuje dla ludzkości, niż dotrzymać zdolny, powinien wszelako być wysłuchanym, choćby dlatego, ażeby nie był sądzony zaoczenie, a dla przysług, jakie oddaje nauce empirycznej, bezwarunkowo nawet przez przeciwników odrzuconym być nie może. Ze zdań objawianych szczegółowo, z ducha panującego w całej książce, z innych wreszcie prac wymienionych na okładce, a znanych nam poprzednio, nietrudno odgadnąć, że autor ich należy do skrajniejszych wyznawców doktryny i dlatego też nie dziwny się tendencyjności, z jaką omijał wszystko, co doktryny przeciwne jego usposobieniu, albo kierunkowi wybranemu, uczynił, ażeby ludzkość wynieść na ten przynajmniej stopień godności, na jakim znajduje się dzisiaj, tam gdzie doktryny te ściślej są przestrzegane, omijając zarówno to znikczemnienie pod jakie podpada ludzkość, gdzie dla postępowania

swego może łatwe usprawiedliwienie znaleźć w kierunku spekulacyjnym doktryny z dobrą wolą i dobrą wiarą przez niego przyjętym i usilnie propagowanym.

Kazimierz Kaszewski.

Johann Kochanowski (Joannes Cochonovius) und seine lateinischen Dichtungen. Ein Beitrag zur Literaturgeschichte der Slaven, von Raphael Loewenfeld (Jan Kochanowski i jego poezye łacińskie. Przyczynek do dziejów literatury Słowian. Poznań, 1878 s. Józefa Jolowicza. Str. VIII, i 158).

W szeregu zjawisk piśmienniczych, odnoszących się do krytyki lub do dziejów literatury, oko czytelnika dobrej woli, ze szczególnem namiętnością zatrzymywać się zwykło na pracach poświęconych literaturze jego kraju. Niektóre z pism czasowych, np. niemieckich, poświęcają nawet wyłączne działy na głos prasy zagranicznej o utworach ich piśmiennictwa. Dzieło p. Loewenfelda tém bardziej przypada do serca, że jego przedmiotem jest najpiękniejszy z wieków naszej ery, bo widok imponującego zwrotu myśli europejskiej, a bohaterem, mąż górujący nad całym wielkiej epoki poziomem, polskimi utworami, wśród naszego społeczeństwa, łacińskimi zaś w literaturze powszechnej. Niesłychana, bo nigdy nie przewidywana bujność piśmiennictwa polskiego epoki Zygmunatów, którego korzenie tak zagadkowo ukryte są przed nami, niczém wytłómaczyć się nie da, jak tylko owém ogólnym przyspieszeniem pulsu cywilizacji europejskiej. Nawet literatura łacińska w Polsce ówczesnej nie jest wolną od znamion przyspieszonego życia. Następuje ona bowiem bezpośrednio po wieku choroby umysłowej, potworności i niesmaku, kiedy to mistrzowie zachodni, nie mogąc znieść barbarzyńskiej łaciny XV stulecia, uciekali z Kolonii do Krakowa, dla naprawienia sobie słuchu, rozbitego grzmotami wstrętniej łaciny, z katedry akademickiej spadającemi; kiedy na posłudze morderczej dyalektyki stał *były* język rzymski, rozrastający się, jak polip, w sylaby do nieskończoności ¹⁾. Nie dziw więc, iż poważne stanowisko twórczości polskiej w wieku XVI, tak na jedném jak i na drugiem polu, zyskane bez wszelkich, przynajmniej widocznych, dat przeszłości, dawało i daje wiele do myślenia badaczom, wierzącym jedynie w ciągłość historyczną.

Pojmujemy przeto, dlaczego i nasz autor nie znajduje dosyć wyrazów na oddanie hołdu wspaniałej dobie piśmiennictwa. „Czasy,

¹⁾ Takimi były wyrazy: *Singularisationes, homineitates* i t. d.; jak gdybyśmy np. po polsku odważyli się powiedzieć: ludzkościowość, ututejszowanie i t. p.

mówi on, zwane złotym wiekiem piśmiennictwa, zaczynające się od wstąpienia na tron Jagiellonów, a które my, ze względu na epokę Mickiewicza, chętnie nazwalibyśmy pierwszym okresem kwitnącym, czasy te odznaczają się nie tylko nadzwyczajną wielostronnością twórców duchowych; ogarniają one wszelkie gałęzie wiedzy i formy poezji. Szczególniej uwydatnia się tu, co chwila wzrastający, żywioł narodo-
wy; on też dziełom owjej epoki nadaje wyższe znaczenie... Język Polaków, aż do początku wieku XVI uważany za surowy i nieurobiony, wobec łacińskiego, a przez uczonych zupełnie pomijany, teraz, wprowadzony na tór literatury, zyskuje coraz to wyższą wagę, a przez mowę, i sama treść, bliższa sercu narodu, zyskuje łatwiejszy wstęp do zakresu poezji, dotąd dla niej zamkniętego. Przyćém król Zygmunt August, odstępując od tradycyi poprzedników, gorąco popierał mowę krajową, i troszczył się gorliwie o wprowadzenie jęj w dziedzinę urzędową.”

Pierwszą pobudką do podjęcia tēj pracy, były dla p. Loewenfelda, jak sam wyznaje, słowa Roepella, wyrzeczone w jego przedmowie do *Dziejów Polski*, a dopominające się w chwili obecnej o głębsze zajęcie się dziejami Słowian.

Dzieło p. Loewenfelda składa się z dwu głównych części: w 1-jej mamy żywot Jana Kochanowskiego, opracowany z wielką sumiennoscją, w sposób rzucający światło nie tylko na osobę poety, ale i na całą atmosferę wieku. Ważność tego dzieła pracy polega, jak w ogóle całego pisma, na tém, iż autor nigdzie nie podaje czytelnikowi faktów dogmatycznie, lecz opiera je na dowodach, nie szczędząc cytat. Taka ścisłość w uzasadnieniu dat naprowadza autora niejednokrotnie na odrzucenie faktu dotąd uważanego za niewątpliwy.

Tak pomiędzy innymi, autor waha się co do autentyczności imienia ukochanej Urszulki, której śmierć nieśmiertelność ojcu zjednała. Dotyka zaś tego przedmiotu z powodu łacińskiej elegji: *Epitaphium Doralices*, którą uważa za równoleżnik łaciński trenów (polskich). Sądzi tedy p. Loewenfeld, iż Doralika, której tu śmierć opłakuje poeta, jest nie kto inny jak Urszula, podobnie jak swoją ukochaną Dorotę w polskich pieśniach nazywa Hanną, w łacińskich zaś Pazyfilą. „Ta więc okoliczność (mówi autor na str. 135) nasuwa badaczowi niejaką wątpliwość, czy Urszula było tożrzeczywiste imię zmarłego dziecka.“

Przed przystąpieniem do opisu żywota Jana Kochanowskiego, autor wylicza źródła i pomocnicze prace dotyczące biografii poety. Doprowadziwszy żywot Kochanowskiego aż do smutnej pamięci dnia 22 sierpnia 1584 r., autor przytacza głosy najznakomitszych mężów ówczesnych o poecie. Następuje charakterystyka człowieka i poety, przedstawiona pouczająco i w żywych zarysach. W powszechnem uwielbieniu dla śpiewaka Urszuli, autor bynajmniej nie podejrywa ducha stronniczego lub przesady, podszeptej przez dumę narodową. „Kochanowski—powiada nasz autor (str. 43)—nie tylko uważany w świetle swojego czasu, był osobistością pierwszego rzędu; i dziś jeszcze, po

upływie trzech wieków, ta postać wspaniała budzi w nas uczucie hołdu... Był to poeta wskroś całej istoty swojej, był to człowiek w najszlachetniejszym i najwyższym znaczeniu tego tak często nadużywanego wyrazu.“ P. Loewenfeld starał się wyczytać człowieka w poecie, a cytaty z pism Kochanowskiego tak polskich, jak i łacińskich, bardzo udatnie przytaczane, dopełniają obrazu. W ocenie charakteru Kochanowskiego, szczególnie pięknie ułożonym jest obraz jego miłości dla kraju (str. 51 i nast.).

W dalszym ciągu działu I-go mamy przedstawiony ogólny rzut oka na jego wiedzę i ukształcenie w ogóle. Wspominając o wykształceniu filologicznym, znajomości głębokiej języków starożytnych, a przystępem włoskiego i francuskiego, autor przypuszcza, że Kochanowski podczas pobytu w Niemczech, choć krótkiego, mógł prawdopodobnie zapoznać się w części i z językiem niemieckim. Dział ten zamyka w krótkim streszczeniu obraz poetyckiej działalności Kochanowskiego, z podniesieniem na główny plan tej zasługi, że Kochanowski zwolnił literaturę z pod ciężającej na niej klątwy łacynizmu.

Dział II-gi (str. 73—147) autor poświęca poezjom łacińskim Kochanowskiego, do których szczególną przywiązuje wagę. Nazywając go poetą pierwszego rzędu, i najprzedniejszym przedstawicielem pierwszego okresu świetności piśmiennictwa polskiego, twierdzi on, że nieznanomość utworów łacińskich Kochanowskiego, czyniła dotąd niepodobną wszechstronną jego ocenę.

Nieznanomość tę, a przynajmniej obojętność, z jaką dotąd zachowywano się względem pism łacińskich Kochanowskiego, autor tłumaczy nadzwyczajną rzadkością egzemplarzy. Już bowiem w przeszłym wieku pomyślano o przedruku, dla ocalenia dochowanych zbityków od ostatecznego przepadku.

Autor napomyka (str. 77), iż powodem zaginięcia, ledwie że nie zupełnego, pism łacińskich Jana Kochanowskiego, pomimo, że już w 1612 roku miały wydanie powtórne, były stosunki religijne, a mianowicie nieżyczliwe oko Jezuitów.

Nie zaprzeczamy prawdopodobieństwa i tej przyczynie, zwłaszcza mając na uwadze, iż pomiędzy innymi i „wiersz makaroniczny“ (*Carmen macaronicum*) Kochanowskiego dostał się na indeks, i że Borkowski swojego czasu pisał, iż „Fraszki Kochanowskiego pod klątwą czytać się nie godzi.“

Ależ na tej drodze nie zdaje się podobnym zbiorowe zapomnienie utworów tak znakomitego człowieka. Imię Kochanowskiego mogłoby przecież samo przez się stawić zapórę przeciw mechanicznemu tępieniu.

Otóż sądzilibyśmy raczej, że świetność utworów polskich Kochanowskiego i niesłychane ich powodzenie, do którego podał hasło sam Rej, jawnie i uroczyście „dawając mu dank przed sobą“, że zwycięzko przez niego dokonany proces urobienia języka ludu na mowę poezji, — słowem, że jego pieśń *poliska* zaćmiła łacińską. Pentametry

nie były znowu taką rzadkością w wieku XVI; mogły one wyrobić autorowi pewne stanowisko wśród wielu, ale wiersz polski, i tak cudownie piękny, tak powiewny, był prawdziwem zjawiskiem.

Taką jest kolej każdej wielkości, że rzuca cień nietylko na wszelką podrzędność obok siebie, ale i na własną. Dramata Szekspira znane są wszystkim, ale rzadko kto wie o jego utworach lirycznych, tak samo jak o batrachomyomachii Homera.

W dalszym ciągu drugiej części autor mówi o wydaniach łacińskich dzieł Kochanowskiego. Następuje rozbiór szczegółowy utworów, z wyborym ich przekładem prozą (str. 83 i nast.).

Autor wyróżnia dwa okresy poetyckiej działalności Kochanowskiego, charakterystycznie odznaczone: 1) okres erotycznego romanizmu; 2) okres poezji narodowej (polskiej i łacińskiej). Granica pomiędzy temi okresami odznaczona jest wyraźnym, samowiednie dokonanym przez poetę zwrotem. Każdy prawie z utworów ma oznaczoną przez autora datę w życiu Kochanowskiego. Tak np. *Wanda*, którą autor szczególniejszém zaszczyca uznaniem, odnosi się, zdaniem jego, do okresu wyższej dojrzałości Kochanowskiego.

Ze Kochanowski był do pewnego stopnia naśladowcą starożytnych, o czém autor napomyka niejednokrotnie, zestawiając jego wyrażenia z wyrażeniami Horacego, Tybulla i t. p., na to bezwarunkowo się zgadzamy. Jednakże dodać tu wypada, iż naśladowanie starożytnych było w wiekach owych modą literacką. Kochanowski przecież nie posunął nigdzie naśladownictwa do takich rozmiarów, jak-niegdyś poeci rzymscy. Na określenie stosunku np. Wergiliusza do Homera, wyraz plagiat zdaje się za słabym. *Eneida* jest to szereg obrazów *zrabowanych* u Homera, w najkonkretniejszém znaczeniu wyrazu. U Kochanowskiego naśladowanie ma zupełnie inny charakter i skalę. Tu i owdzie jaśniejące kwiatki, uszczknięte ze świata rzymskiego, są raczjéj rodzajem wypowiedzenia słów pamięci na cześć starożytnych. Tak samo i Mickiewicz w *Panu Tudeuszu*, na samym początku występuje z serdeczną parafrazą owych słów Kochanowskiego: „Szlachetne zdrowie! nikt się nie dowie...” Jest-że tu Mickiewicz *naśladowcą*, w techniczném znaczeniu wyrazu? Nie jest-że to raczjéj ugięcie kolana przed postacią błogosławionego? Zresztą, p. Loewenfeld wymownie podnosi rolę Kochanowskiego w dziejach piśmiennictwa naszego. Tak bowiem przemawia:

„W ogóle jestto charakterystyczném ludu polskiego znamieniem, że w chwili, kiedy uczeni europejscy sypali góry komentarzy do poetów klasycznych, lud ten naśladował raczjéj samych tych poetów i wytworzył w poezji szkołę nowo-łacińską. Wielu autorów polskich zyskało sobie sławę europejską; woleli oni, w kapitolieńskim wieńcu, uważać cały świat wykształcony za swoich słuchaczy, aniżeli w mowie ojczystej śpiewać dla odległego kąta Europy, jakim była ich ojczyzna.

„Otóż — mówi dalej autor — w oczach naszych stoi daleko wyżjéj Kochanowski. Nie zawahał się on, niedość jeszcze ukształtowanego

do poezji języka ziemi rodzinnój, użyć za tłumacza swoich uczuć. Z dumą zrzekł się oklasków świata, a w zamian zyskał — miłość ludu swojego.

„Godną zaiste jest rzeczą, z takim mężem zapoznać się bliżej. Kochanowski rzeczywiście uważanym być może za przedstawiciela przynajmniej części wielkiego szczepu Słowian.“

Uzasadniwszy daty najgłówniejszych utworów łacińskich Kochanowskiego, autor pod przewodnictwem tej nici chronologicznej, otwiera sobie drogę do jasnego poglądu na stopniowy wzrost i wzmaganie się jego talentu. Jest to jakoby księga rodzaju, najpiękniejszego ze światów ludzkich: żywot twórczego ducha, od zawiązku, aż do uwieńczonej, niestety, zbyt krótkiej starości. W tym jednak poglądzie, p. Loewenfeld ma przed oczyma i jego utwory polskie. Albowiem jego poezye łacińskie i polskie „dopełniają siebie nawzajem,“ i tylko zjednoczony pogląd na wszystkie jego dzieła, czy to w starożytniej, czy w nowożytniej mowie wytworzone, upoważniać może, zdaniem autora, do ostatecznego zawyrokowania o tej olbrzymiej osobistości. Otóż autor ostatecznie tak streszcza swoje orzeczenia ogólne: „Kochanowski był uczniem starożytnych. I czyliż mógł nie być nim wśród swego wieku? Owszem, do pewnej chwili, wyznać to musimy, zostawał on pod wpływem klasycznej starożytności, który to wpływ, w talencie niższego rzędu spowodowałby może zwichnięcie polotu; tymczasem dla Kochanowskiego i powszechnej literatury narodu był on zbawienym. Ów ścisły związek, jaki narzucał poecie duch wieku, daje się porównać do surowego, lecz uczciwego wychowania ojca, który wtenczas dopiero usamowałnia syna, kiedy przekona się o samodzielnym, mężkiej dojrzałości jego przymiotów. W epoce swoich studyów (w Krakowie), Kochanowski, zdaje się, niejasno jeszcze zdawał sobie sprawę z powagi Reja w dziedzinie piśmiennictwa ojczystego. Była to w życiu naszego wieszczka chwila kroczenia po torach utartych powszechną tradycją europejską. Pisał tedy miłosne pieśni łacińskie, które wszakże tylko z pióra, a nie z serca płynęły.“

Pierwszy postępek talentu, zdaniem autora, wskazują elegie, mające za przedmiot jego Lidyą. Tu jednocześnie z człowiekiem i poeta w nową wstępuje fazę. Duch się przetwarza, formy jednak dawne jeszcze zostają. W Trenach dopiero Kochanowski przerasta przewodnika, t. j. świat starożytny.

Podług p. Loewenfelda, Kochanowski wówczas dopiero mógł pojąć możliwość tworzenia na stopę nowożytną, kiedy powodzenie Petrarcki i Ronsarda otworzyło mu oczy. Podzielamy z autorem ważność tego bodźca; sądzimy jednak, że właściwego i najistotniejszego czynnika szukać należy bliżej natury: w głębokim zadraśnięciu uczucia, w boleści ojca. Nic w świecie nie wyzwala ducha ludzkiego z wędzideł rutyny, tak gwałtownie i tak stanowczo, jak boleść prawdziwa. Elegie starożytnych, a szczególnież tóż Rzymian, najpilniejszego słuchacza nekają, niecierpliwą nawet *teoretycznością* cierpień. W roz-

paczy nad wdzięczną Urszulą człowiek przemógł poetę. Wszelkie węzły szkoły same przez się pękły pod naciskiem żalu, żalu prawdziwego. Otóż w *Trenach* my widzimy coś więcej, aniżeli proste przejście od fazy do fazy. Jest to chwila natychmiastowego przełomu w uczuciach, a temu przełomowi w sposób psychicznie naturalny odpowiedzieć musiał i przełom w talencie poety. Wyjątkowość talentu poetyckiego zależy tu na zdolności godnego wypowiedzenia siebie. Nie każda, a raczej nie każdemu sercu zadana rana, zalęwa się perłą. Kochanowski, bezwątpienia nietylko poeta swojego wieku i narodu, ale raczej poeta wieków i narodów, należy do rzędu tych legendowych, orficznych dusz, które w chwilach rozpacy mogą zachwiać się, mogą utracić wszystko, ale nigdy nie tracą boskiego nastroju piękna. I dlatego to Kochanowski w *Trenach* jest nieporównanym. Na tej straszliwej drodze bez wyjścia, ulubiony towarzysz Kochanowskiego, Horacy, wystarczyć mu niemógł. Nawet inne utwory liryczne samego Jana z Czarnolesia obok *Trenów*, a szczególnie *Snu*, wyglądają słabiej, jakkolwiek nigdy tak blade, jak elegie Horacego, w których to ży wieszca rzymskiego w końcu mieszać się zwykły z pocieszającym sokiem falernu albo masyku.

Na wielkie szczęście mamy w poezyi ów wiekuisty dualizm: formy i treści, który zawsze będzie nam służył za znamię odróżniające w jej dziedzinie prawdziwy klejnot od udanego. Otóż w imię tej zasady utrzymujemy, że Kochanowski w swoich *Trenach* przypomina raczej Owidyusza, aniżeli Horacego, jeżeli już bez analogii obejść się nie można.

Po tém, mimowolném zboczeniu, wracamy do głębokich spostrzeżeń autora.

Uważa on następujący w talencie Kochanowskiego pochod, którego najwyższém natężeniem były *Treny* i *Epitaphium* „Widzieliśmy już, mówi autor (str. 143), jak potężnie wpłynął na Kochanowskiego przykład Ronsarda. Utworem czasów paryzkich jest ten wiersz polski, który mu zjednał uznanie Reja. Lecz następnie pobyt na dworze królewskim, stosunki z dostojnikami kościoła i państwa, wykształconymi klasycznie, spowodowały powtórnie używanie mowy łacińskiej. I dlatego to, obok *Satyry* i *Zgody* powstały elegie łacińskie: do Zygmunta Augusta, Tarnowskiego, Mieleckiego, Radziwiłła, Tęczyńskiego. Wszakże i te utwory, jakkolwiek bądź okolicznościowe, w wysokim stopniu przewyższają, bogactwem myśli i formą, utwory pierwszego okresu.

Miłość poety ku Hannie, Pazyfli, a jeszcze wydatniej, poślubienie małżonki i rozstanie się z dworem królewskim, otwierają nowy okres w rozwoju talentu Kochanowskiego. W życiu i twórczości poety, dziesięciolecie pomiędzy 1570 — 1580 stanowi dobę najwyższej świetności. Z poezyi polskich przypadają na tę dobę: *Psalterz*, *Odprawa posłów*, i majestatyczne *Treny*; z łacińskich zaś: *Pienia do Pazyfli* (Elegia, t. III, 1 i 12).

W *lirykach* znowu, wypowiada poeta już nie czysto osobiste wzruszenia, lecz pełen życia świat państwowy z całym falowaniem jego myśli i czynów. Źródłem, a raczej, podniętą poetyckiego nastroju było tu i samo, ówczesnie podniesione, życie narodu, była to chwila elekcji. Oda II *na fałszywych bogów*, ostatniemi wierszami swymi zachwyca czytelnika do tego stopnia, „że zdaje mu się, iż czyta psalm Dawida.“ Sam język tych utworów, polotny, odpowiada wielkim myślom, których jest szlachetnym naczyniem. Do tegoż dziesięciolecia odnoszą się wiersze: *Dryas Zamchana, Pan Zamchanus, Orfeus Sarmaticus, Do Galla krakającego (Gallo crocitanti)*.

Najwyżej stawia nasz autor (w rzędzie łańskich utworów) epeiczny poemat *Wanda i Epitaphium Doralices*. Poemat *Wanda* zdaniem naszym obok wysokiej wartości poetycznej, ma jeszcze inne, wydane znaczenie; wskazuje on ledwie że nie pierwsze, w swoim wieku, hasło, do zwrócenia się ku ojczystym źródłom podaniowym: jest to niby głos romantyzmu, wołającego na puszczy, w epoce kiedy baśń, kiedy legenda słowiańska skazaną była na wzgardę i zapomnienie.

Cokolwiek utworzył Kochanowski po wspomnianem wyżej dziesięcioleciu, autor nasz uważa za mniej znaczące. Tak iż (mówi autor na str. 147) „śmierć zaskoczyła poetę w chwili kiedy stał na zenicie sławy, los tedy oszczędził mu smutnej kolei: przeżycia samego siebie.“

Na tych pięknych wyrazach zamyka się dzieło p. Loewenfelda, za które, podług wszelkiej słuszności, należy mu się serdeczne słowo uznania: oparł je na głębokich studyach tak samego poety jak i dotyczącej go literatury; gdy z drugiej strony gorące, niekłamane zamiłowanie utworów Kochanowskiego i w ogóle piśmiennictwa kraju, natchnęło go niejednokrotnie do wypowiedzenia słów hołdu, chcemy powiedzieć: słów prawdy, najpiękniejszemu okresowi naszej literatury. Miłą jest prawda, ale miłym jest i Plato.

F. Jezierski.

KONKURS

REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

Dzieje umysłowe narodu naszego przedstawiają ten fakt godny uwagi, że począwszy od wyraźniejszej fizyognomii piśmiennictwa, każde stulecie zdobywa się na wzory, kreślące obowiązki człowieka i obywatela, zawsze z jednej prawdy moralnej wypływające, ale do pojęć, zadań i potrzeb epoki stosowane. I tak: w wieku XVI *Żywotem poczoi-*

wego człowieka Rej inauguruje etykę narodową. W wieku XVII Skar-ga, karcąc zboczenia od wielkich zasad w *kazaniach sejmowych* a więc w samą krytyce ujawniając swe postulatą co do stron dodat-nich, za przykład ziomkom stawia *Żywoty Świętych*. W wieku XVIII mniej wzniósł, ale zawsze sympatyczny wzór podaje Krasicki w *Pod-stolim*, oraz w *Życiach znacznych mężów z Plutarcha*.

Wzory te uznane zostały przez społeczność i spopularyzowały się pośród niej dlatego, że nie były płodem fantazyi, formułą abstrakcyj-ną i arbitralną, ani echem żywiołów obcych, ale podsłuchane i troskli-wie przez myślicieli utalentowanych zebrane ze zdań i pragnień zdro-wej części narodu, stały się niejako jój wyrazem, treścią myśli i na-tchnień, uczuwanych przez wszystkich, ale przez nikogo jeszcze nie wy-powiedzianych. Myśli te i natchnienia, stopione w jedność i ukłasyfi-kowane przez jednostkę, wyrażającą w ten sposób sumienie ogółu, prawnie uchodzić mogły za drogoskaz dla pokoleń objętych sferą po-łożenia i warunków społecznych: słowem za ideał wieku.

Przy zmianie sfery téj, drogoskaz i przewodnik taki, nie przy-stając we wszystkich punktach do wyobrażeń i położeń, których w bie-gu historii przewidzieć nie mógł, staje się z czasem niedostatecznym. Przychodzą nowe warunki, a z nimi nowe zapatrywania; nowe potrze-by i nowe obowiązki. Wiek XIX, choćby dla utrzymania tradycyi my-ślicielskiej, potrzebuje rozpatrzyć się w swych warunkach samodzielnie, podsłuchać nanowo, uchylić zasłonę z sumienia ogółu i postawić wzór nowy, ideał miejscowy wieku.

Takie z pośród grona myślicieli i talentów krajowych pragnąc wywołać dzieło,—łączność pewną z kilku powyżej wymienionemi sta-nowiące,—

Redakcja Biblioteki Warsz. ogłasza w tym celu konkurs,

którego premium przeznaczoném będzie za dzieło nie względnie najlep-sze z pomiędzy nadesłanych, ale za takie, któreby tak myślą jak i ob-robieniem stosownie do swego zadania i wieku, mogło stanąć bez za-wstydzienia obok swych pierwowzorów.

Pożądaném jest, aby dzieło proponowane opierało się na podsta-wie dziejów, głównie naszego narodu, oraz innych społeczeństw, i aby czerpane z historii fakta i wnioski, jasną, zasadniczą myśl konkursu uwydatniały.

Dla bliższego objaśnienia dążności dzieła konkursowego dodaje-my, że wyborem odpowiednich typów lub faktów z historii ma kiero-wać nietylko idea obowiązków obywatelskich w warunkach normalnego rozwoju i potęgi, ale także i zadań, które mogą i powinny być urzeczy-wistnione przez wszystkich członków społeczeństwa w każdym położe-niu i okolicznościach życia: publicznego, prywatnego i stosunków ro-dzinnych.

Słowem, praca konkursowa objąć powinna wykład obowiązków potrzeb i zadań obywatela społecznego w kraju naszym, ku czemu naukę i przykłady dostarczyć ma historia.

Pierwszeństwo w przyznaniu nagrody, oprócz żywotności w treści, pełności w zjawiskach, powagi i spokoju w ujęciu przedmiotu, zależy będzie od doskonałości formy zewnętrznej, rozumiejąc przez nią wdzięk, wytworność stylu, poprawność języka, czytelniczą dostępność i t. d.

Nagroda konkursowa wynosi zł. pol. 5,000 czyli rs. 750.

Termin złożenia prac oznacza się na dzień 1 maja 1879 roku. Autorowie prace swe nadsyłać mają opatrzone godłem dowolnie obranym, które stać będzie i na kopercie zapieczętowanej, a zawierającej wewnątrz imię i nazwisko autora, ze wskazaniem miejsca pobytu.

Rękopism nagrodzony pozostaje własnością autora, który obowiązany ogłosić go drukiem w ciągu roku, po przyznaniu nagrody. Gdyby zaś tego nie uczynił, Redakcyja Biblioteki Warszawskiej wydać może dzieło uwieńczone na swoją korzyść.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Styczeń 1878 r.—*Kronika Rodzinna* rozpoczynająca rok nowy swego istnienia, zmieniła format na dogodniejszy książkowy, w wielkiej ósemce.—Ukazał się numer pierwszy *Ekonomisty* pod redakcyą A. Nagórnicgo i obejmuje, oprócz słowa wstępnego, dwa działy: 1. Dział ekonomiczny i finansowy; 2. Dział handlowy i statystyczny.—*Tygodnik Rolniczy* już rok 7 wychodzi pod tą samą redakcyą, utrzymując pierwiastkowy swój program.

— W kołach literackich krąży wieść, że po ukończeniu *Encyklopedyi Rolniczej*, zaraz nastąpić ma wielce użyteczne wydawnictwo *Encyklopedyi pedagogicznej*." Do takowej publikacji potrzebne fundusze już są obmyślane i odpowiedni współpracownicy.

— Wydawca i redaktor S. Kossuth „*Przeglądu technicznego*, poświęconego sprawom techniki i przemysłu (w zeszytach miesięcznych): w wydanym prospekcie zapowiada dalszą publikacyą tak szacownego organu, który rok czwarty istnieje. W nim podaje spis rzeczy z trzech lat ubiegłych od r. 1875.

— Drukiem S. Orgelbranda Synów, wyszła rozprawa znanego uczonego prawnika, Walentego Dutkiewicza b. dziekana wydziału prawa w b. warszawskiej Szkole Głównej p. n.: *Słowo o stosunkach majątkowych między małżonkami i o prawie zwyczajowem dawnem pol-*

skiem, w której występuje przeciw pogładowi W. A. Maciejowskiego na stosunki majątkowe między małżonkami i na prawo zwyczajowe polskie.

— Redakcja *Bluszczu*, chcąc dać matkom dzieło o wychowaniu, oparte na zasadach gruntownych i traktujące przedmiot ten bezstronnie, ogłasza wznowiony konkurs na opracowanie dzieła: *O wychowaniu macierzyńskiem*.

Wychowanie macierzyńskie ogarnia tak syna, jak i córkę, a w całokształcie swoim trwa od pierwszych niemal chwil życia, do dojrzałości umysłowej wychowywanéj istoty. Jak matka dopełnić ma najlepiej tego zadania? oto zadanie, które rozwiązać powinien piszący, wskazując matce zasadnicze środki działania: 1. Jak matka ma postępować z dzieckiem od pierwszych chwil dzieciństwa, aby otrzymać wpływ, stanowiący wychowanie? 2. Jaki w wychowaniu macierzyńskiem powinien być stosunek działań matki na syna, a jaki na córkę? 3. Formalne działania wychowania macierzyńskiego i nauka. Jakie, względnie do umysłowego kształcenia dziecka, są obowiązki matki? Jéj stosunek do nauczycieli i szkoły? 4. Co należy rozumieć przez wykształcalność człowieka? Ile godzi się uwzględniać naturalny kierunek zdolności i siły wrodzonego usposobienia? Wykształcenie humanitarne i zawodowe. 5. Jak wychowanie macierzyńskie działać powinno na wyrobienie się charakteru dziecka? O szczepieniu poglądów i przekonań. 6. Dziecko chowa się dla przyszłości, jak zatem iść w wychowaniu za prądem idei nowych i jak je stosować w wychowaniu? Co należy rozumieć przez postępek? 7. O dojrzałości myśli wychowawczej: o jedności i spokoju działań edukacyjnych. 8. Jak wpływy wychowawcze powinny przeciwwżyć złe wpływy zewnętrzne tak zwanego świata i nieprzyjaznych okoliczności życia, wśród których znaleźć się może dziecko młodsze i dziecko starsze? 9. Jak powinien się urobić stosunek moralny dziecka do rodziny i tradycji rodzinnych? 10. Jakiem powinno być stanowisko matki, gdy córka, z ukończeniem nauki obowiązkowéj, a syn, z ukończeniem szkół średnich, staną wobec matki, jako młódź dojrzałości już blizka, a przecież jeszcze niedojrzała? 11. Jak ofiara przywiązania rodzicielskiego powinna posunąć się daleko, gdy dziecko zupełnie już dorosłe ma wstąpić w życie, jako jednostka niezależna? Jakie być powinno pojęcie matki, co do obowiązku zapewnienia szczęścia dziecku i jak daleko w tym kierunku wolno jéj oddziaływać na przyszłość dziecka? 12. Czego z chwilą niezawisłości zupełnéj rodzice i dzieci mogą, wzajemnie żądać już tylko od siebie, a co pozostaje między nimi nazawsze, jako obowiązek nienaruszony przez czas i okoliczności życia?

Warunki konkursu:

1. Rękopisma winny być nadesłane najpóźniej przed d. 1 kwietnia r. 1879.

2. Rękopisma, nadesłane redakcyi, oddane zostaną do ocenienia komitetowi oddzielnemu, złożonemu z osób, których nazwiska w dniu zamknięcia konkursu ogłoszone zostaną przez pisma publiczne.

3. Autor dzieła uznanego przez komitet za odpowiednie, otrzyma do wydawcy *Bluszczu* sumę rs. 200. Własność rękopismu zostaje przy autorze; wydawca *Bluszczu* zostawia sobie tylko prawo pierwszeństwa do nabycia rzeczzonego rękopismu.

4. Paczki, zawierające rękopisma, winny być opatrzone osobnym znakiem; w oddzielnej zaś kopercie zabezpieczonej z napisem: „Na konkurs dzieła: *O wychowaniu macierzyńskim*“ mieścić się winna kartka, obejmująca nazwisko autora, oraz znak ten sam, co na paczce, zawierającej rękopism.

Adres: „Do księgarni M. Glücksberga w Warszawie, Nowy-Świat Nr. 55.

— Czytamy w *Echu* wiersz p. Edmunda Krzymuskiego, który zaśluguje na powtórzenie: *Do Antoniego Edwarda Odyńca*:

Piękny to dzionek, gdy z duszy młodzieńczej
Myśli ku niebu w orlim rwą się locie!
Gdy w niej miłością, wiarą, serce dźwięczy
I nie rozpacza, lecz śpiewa, w tęsknocie.

Święty to widok, kiedy w życia wiośnie
Na Boże hasła prawdy, piękna, cnoty,
Dusza się budzi, serce drga radośnie,
Hymnem witając zachwytu dzień złoty!

Piękny to widok, święty! Lecz zaiste
Stokroć piękniejszy, stokroć świętszy jeszcze:
Serce strzaskane burzą lat, a czyste,
Myśli zwiedzione losów grą, a wieszczel!

Pieśniarzu! Cud ten my w tobie wielbimy.
Choc nieraz gwiazdy gasły koło ciebie,
Choć włos ci śniegi osrebrzyły zimy;
Nam cię nie dognać po zachwytu niebie.

O! boś ty młodszy od nas sercem, duszą,
Czcią dla pamiątek, postępu nadzieją,
A téj młodości śniegi nie przypruszą,
Bo z niej zapaly święte promienieją.

Bo ona iskrą nieśmiertelną ducha,
A téj burz ziemskich wichry nie zagaszą!
Bo kiedy śpiewa, Bóg jój pieśni słucha,
A Bóg potęgą i wiecznością naszą.

Więc śpiewaj, śpiewaj nam długo, lutniosto!
Pieśnią bądź dla nas zachwytu podniętą;
Pieśnią wypalaj nam drogę gwiazdzistą;
Pieśnią nas młodszych błogosław, poeto!

Nam, słońce natchnień młodo jeszcze świeci,
 Myśmy od wczoraj dopióro skrzydlaoi;
 Więc, jak walczyli rycerze-poeci,
 Ucz nas i w ślad ich prowadź młodszych braoi!

O! żyj nam długo! W pieśnianym zachwycie
 Ucz nas, jak skrzydeł używać oręża;
 Jak wieczną wiosną opromieniać życie:
 Jak dusza walczy i z Bogiem zwycięża!

— Ile lud nasz ma pociągu i zdolności do sztuk pięknych, stawia nam świeży dowód *Gazeta Lubelska*. We wsi kościelnej Gołębiu, w pow. Nowo-Aleksandryjskim, chór złożony z młodzieży płci obojęd, do klasy włościańskiej należącej, wykonywa dzieła wokalnoreligijne z dokładnością, wprowadzającą w podziw melomanów. Amatorom i amatorom tutejszym nie idzie o popisywanie się z głosem, jak to czasami bywa w większych miastach, ani też o wystawę tualet; lecz śpiewacy gołębscy, w samodziółki i przyjaciółki przyodziani, śpiewają z serca, mając za cel jedyny przyczynienie się do rozgłoszenia chwały Bożej. Obecnie śpiewami temi dyryguje 17-letni wieśniak Jan Zamojski. Znajomość swęj sztuki i nadzwyczajna jego pilność są zadziwiające. Sierota, po całych dniach pracuje na roli, utrzymując familią ze swego gospodarstwa; wieczorami zaś rozpisuje nuty, dobióra głosy i egzercytuje śpiewaków. Zamojski nie wyjeżdżał za granicę, aby tam kształcić się w śpiewie, bo nawet w większém mieście nigdy nie był. Ktoś mu wypadkiem pokazał nuty, wskazał szkołę, a następnie sam własną pracą nad sobą i niesłychaną pilnością doszedł do tego, że dziś może przewodzić innym i wprowadzać drugich w zdumienie. Gdyby Gołąb był za granicą, niewątpliwie zjeżdżałoby się tu rozliczni impresaryowie, szukając między naszymi śpiewakami talentów, z którychby niejeden, umiejętnie kształcony, mógł z czasem stać się jasną gwiazdą na firmamencie wokalnym. U nas największy talent zmarnieć może, bo nikt na niego uwagi nie zwróci.

— W pierwszym numerze *Zorzy* na rok bieżący znajdujemy udatny wierszyk J. I. Kraszewskiego, który napisał w noc bezsenną z 17 na 18 grudnia, p. n.:

Książki.

Książka? Śliczna! świeci złotem,
 Przepych; ale co mi po tém?
 Co po trupie w złotęj trumnie,
 Na pułkach dmących się dumnie,
 Z grzbietom strojnym, z szatą świetną,
 Gdy mu i kart nie rozetną;
 Kiedy czasem przez pół wieka,
 Nie przemówi do człowieka!

Książka, niechaj idzie w świat,
 Z dworu na folwark, do chat;
 A gdy na szmaty podarta
 Zostanie ostatnia karta
 I w błoto brudne wciśniona,
 Na śmieciisku kędyś skona;
 Oddaj jój pokłon głęboki:
 „Tu leżą rycerza zwłoki!”

— Korrespondencya z Płocka podaje kilka szczegółów z dziejów parafii Cygowskiej (niegdy w dyecezyi płockiej znajdującej się), jako materyał do przyszłego *liber beneficiorum*. Najdawniejszym dokumentem jest erekcyja samej parafii z r. 1527, dokonana przez biskupa Rafała Leszczyńskiego, na prośby wdowy po Jerzym Renczajskim i jego dwu synów. Pomiedzy innemi dokumentami wymienia autor zbiór listów biskupów Szembeka (9), Szeptyckiego (4), Poniatowskiego (7). Cygów i Renczaje przechodziły w różne ręce. Cygów 1698 r. należał do Zadowskiego, 1761 i 1763 r. do Przerodowskich, a Renczaje do Grzybowskiego (1711 r.) i księcia Radziwiłła wojewody wileńskiego (1760 r.).

Kościół w Cygowie obecny zbudował Dyzma Szymanowski pod czaszy warszawski, żonaty z Maryanną Szydłowską r. 1762. Syn ich Teodor położył im tablicę pamiątkową 1804 r., a portrety Dyzmy, Teodora i Feliksa, dyrektora Banku Polskiego, wiszą nad tą tablicą. Nad drzwiami zakrystyi jest portret polonusa, jak sądzi korrespondent (ks. Brykczyński) jednego z Renczajskich. W kościele wisi cenny obraz „ewangelistów” za którego odnowę Villani wziął 20 dukatów, od Lelewela ofiarodawcy. Prot Lelewel, brat Joachima, mieszka w tej parafii, w Woli Cygowskiej.

— Obraz *Śmierć Barbary*, dzieło pędzla Józefa Simlera, które Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem zakupiło na własność, był tak uszkodzony, że wielu z artystów uważało go za stracony. Komitet pomienionego Towarzystwa zaprosił kompetentnych znawców, i ci uradzili, że pomieniony obraz nie da się odnowić, lecz trzeba go przemaalować, co byłoby go stracić jako cenną pamiątkę po zmarłym Simlerze.

Jeden tylko malarz p. Kaczorowski oponował przeciw temu przemaalowaniu: jemu więc, restauracyą komitet powierzył. Artysta ten nie pożałował pracy, i wywiązał się z całą sumiennością, gdyż obraz odzyskał dawną świetność bez przemaalowania, i naruszenia oryginału.

— Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, dnia 10 b. m. odbywało walne zebranie, na którym prezes Towarzystwa p. St. Koźmian w imieniu zarządu złożył sprawozdanie z czynności półrocznych. Czytamy w tém sprawozdaniu między innemi co następuje: „Tom pierwszy *Kodeksu Wielkopolskiego* wyszedł już z druku. Hojnej pomocy, jakiej nam użyczył Jan hr. Działyński, podejmując znaczne koszta na druk i papier, należało się trwałe i publiczne uznanie; zarząd przeto

przypisał mu to dzieło w dedykacji, w której zarazem przypomniał i podniósł zasługi ś. p. Tytusa hr. Działyńskiego, niegdyś prezesa naszego Towarzystwa. Druk następnego tomu (a ma być ich cztery) już się rozpoczął. Kasa nasza, która na odpisy dokumentów i korektę wydała dotąd z funduszu Norberta Bretkrajca 1,884 marek, tylko za korektę przy następnych tomach płacić będzie. Komisya konkursowa dramatyczna ogłosiła swe sprawozdanie. Ponieważ z sumy przeznaczonéj na ten konkurs pozostało 900 marek, zarząd obwieścił nowy konkurs na komedię obyczajową, pod warunkami zaleconemi przez komisya. Odległa data, to jest 1 października 1879 r., przed którą winny być nadesłane sztuki ubiegające się o nagrodę, każe się spodziewać znakomitszego plonu niż ostatni, który pod względem ilości przeszedł, ale pod względem wartości zawiódł nasze oczekiwanie. W oznaczeniu tak późnéj daty kierowała nami i ta uwaga, że dla prac komisji najsposobniejsze jest półrocze zimowe, a dzień pierwszy października bieżącego roku byłby zbyt krótkim terminem. Ogłosiliśmy zarazem konkurs na pracę historyczną, która jeśli dokładnie wykonana zostanie, rozświeci epokę bardzo ważnych wypadków w dziejach Słowiańszczyzny. Druk *Rocznika*, śpóźniony, z powodu wymaganéj poprawy i dopełnienia artykułów, w skład jego wejść mających, w tych dniach się rozpocznie. Zamierzone wydanie *Libri beneficiorum* Łaskiego napotkało nieprzewidzianą trudność, zaczęć pójść musi dłuższa zwłoka. Pragnąc, aby to dzieło było zupełne, staraliśmy się o odpis téj jego części, która się odnosi do dekanatów, odpadłych do Królestwa i w tamtejszych pozostaje archiwach. Dotąd nie udało nam się wynaleść osoby, której zadanie to, jedynie w miejscu, w Królestwie dokonaniem być mogące, moglibyśmy poruczyć z zupełną pewnością; iż jak najdokładniejsze spełnione zostanie. Zbiory nasze z każdym niemal dniem się powiększają. Jest nadzieja, że księgozbiór nasz zostanie wkrótce pomnożony. Zdarzały się takie przybytki jeszcze częściej, gdyby miejsca na ich pomieszczenie nie brakowało. Mamy przecież niepłoną nadzieję, że niebawem niedostatkowi temu zaradzi ukończenie budowy gmachu muzealnego. W bieżącym roku ma się stać niezawodnie zadość życzeniom naszym w téj mierze. Tak więc, kiedy zbiory nasze i zasoby wzrastają, kiedy nadzieja ukończenia muzealnej budowy zdaje się być tak blizką spełnienia, główną troską i staraniem naszego Towarzystwa winno być, aby prace nasze naukowe odpowiednio się wzmożyły. Obowiązkiem zarządu przeto jest ciągle zalecać członkom nietylko pilne uczęszczanie na posiedzenia wydziałowe, ale zarazem większą skwapliwość w występowaniu na nich z pracami naukowemi. W tym względzie odzywamy się osobliwie do obywateli wiejskich, którzy tworzą główny zastęp naszego stowarzyszenia, a przecież zbyt jeszcze rzadki biorą udział w posiedzeniach i rozprawach naszych. Pamięci zmarłych w tym roku czynnych członków naszych: dr. Alfreda Żółtowskiego, Felicjana Sypniewskiego, ks. prałata Koźmiana, ks. kanonika Brzezińskiego, Bolesława Ponińskiego, ks. proboszcza Tomic-

kiego, oraz czł. honor. dr. medyc. Dworzaczka, raczcie, panowie, oddać należną cześć przez powstanie. Winniśmy także podobny hołd złożyć ś. p. Elżbiecie Wilkxyckiej, która we wspańiałomyślnych zamiarach swego zięcia i córki ś. p. Sew. Mielżyńskich, dla naszego Towarzystwa gorący zawsze brała udział. Mocą paragrafu 26 naszej ustawy, z przykrością zarząd zmuszony został wykreślić tych członków, którzy przez trzy lata zaniechali uiścić się ze zwykłej składki. Następnie p. Chlebowski zdał sprawę z funduszów Towarzystwa. Dochód w ogólności wynosił 25,914 marek 90 fen., wydatek zaś 23,021 marek 33 fen.; pozostało więc remanentu na rok bieżący 2,893 marek 58 fen. Fundusz żelazny liczy 38,250 marek w papierach procentowych.

— Czytamy w *Wieku*: Na Górnym Szlązku, ubłogosławionym od lat wielu niemiecką kulturą, starano się od dawnego czasu zgermanizować za pomocą szkoły ludność i doprowadzono do tego, że już w najniższych oddziałach szkół elementarnych, naukę katechizmu i historii św. wbijano dziatwie w głowę po niemiecku. Wyższy tajny radca rejencyjny p. Wetzold oświadczył niedawno w pruskiej izbie deputowanych posłowi Łyskowskiemu, że na Górnym Szlązku wszystko idzie jak najlepiej i że niezadługo w tamtejszych szkołach elementarnych, ani słowa polskiego używać nie będzie potrzeba. Mimo tych na pozór świetnych rezultatów, stan szkół elementarnych na Szlązku był i jest jaknajopłakańszym; dzieci nauczyły się wprawdzie kilka ustępów z katechizmu i kilka opowieści biblijnych, atoli jedynie na to, aby ich po pewnym czasie zapomnieć, żadnego z nich nie odnosząc pożytku. Ludność widząc te opłakane skutki fałszywego systemu i przekonawszy się, że dzieci z dniami każdym coraz więcej tępieją i dziczeją, zmanifestowała w ostatnim czasie swe niezadowolenie ogólném wystaniem petycji, pokrytych setkami tysięcy podpisów, w których domagano się przywrócenia języka polskiego w wykładzie religii. Po głębszém zbadaniu tej sprawy, uznał rząd, że wymagania ludności były słuszne i oto, jak się *Schles. Volks. Ztg.* dowiaduje, wydała już rejencya opolska do władz szkolnych rozporządzenie, uwzględniające słuszne żądania ludności górno-szlązkiej. Według doniesienia wspomnianej gazety, odtąd w najniższych oddziałach szkół elementarnych, nauka religii i historii biblijnej wykładaną być ma w języku polskim z pomocą języka niemieckiego; w średnich oddziałach wprawdzie językiem wykładowym ma być język niemiecki, wolno jednakże nauczycielowi używać do pomocy i wyjaśnienia przedmiotu języka polskiego.

— W *Messenger de Vienne* pomieszczono nekrolog Lucyana Siemińskiego i piękny przekład ostatniego jego wiersza: *Komu w droge, temu czas*. Nekrolog, jak i przekład wiersza są pióra p. Juliusza Mien, znanego tłumacza poezyi J. Słowackiego.

— Redaktorem odpowiedzialnym *Dziennika Polskiego*, we Lwowie, który nabył ks. Adam Sapięha, został p. Liberat Zajączkowski, redaktor *Szczulka*. Wyszedł już we Lwowie pierwszy numer nowego pisma p. t. *Strażnica*, redagowanego przez p. J. N. Gniewosza.



Dnia 30 grudnia r. z. w Dreźnie zakończył życie **Aleksander hr. Wielopolski** margrabia Myszkowski, licząc lat 74 wieku. Jako mąż stanu, b. naczelnik rządu cywilnego w Królestwie Polskiem, należy do historii naszego stulecia. Na polu literatury ma też niepoślednie stanowisko, jako wydawca zbiorów Konstantego Świdzińskiego w dwu wielkich tomach, ogłoszonych drukiem w Krakowie. W r. 1846 napisał głośny w swoim czasie *List szlachcica polskiego do księcia Meternicha*, po francuzku. Procesa, jakie wiódł, o odzyskanie dóbr Ordynacji Myszkowskich, jako też mowy jakie miał stając w obronie praw swoich, z powodu testamentu K. Świdzińskiego, zostały przez zmarłego drukowane. Zwłoki jego przewiezione z zagranicy, pochowane zostały w dobrach własnych.

— Dnia 30 grudnia r. z. w Warszawie, umarł **Leon Dembowski** senator, kasztelan Królestwa Polskiego, mąż niemałych zasług obywatelskich, i działalności dla dobra kraju, w okresie szczególniejsz Księztwa Warszawskiego. Pozostawił obszerne pamiętniki w rękopiśmie, w których dał obraz zajmujący owych czasów, zarówno jak i pierwszych lat Królestwa Polskiego po kongresie wiedeńskim. Historia tych czasów znajdzie w nich cenny materyał, i wiele wiadomości dotąd nieznanych, które zbadał bliżej, jako działacz współczesny, i zbliżony do najznakomitszych postaci owój epoki.

— W pierwszych dniach stycznia r. b., dożywszy lat sędziwych, bo lat 86 wieku, umarł w Warszawie **Adam Bartoszewicz**, ojciec znakomitego historyka Juliana. W czasach Księztwa Warszawskiego przeniósłszy się w jego granice z powiatu Wiłkomirskiego, już stale zamieszkał. Wykształcony w Uniwersytecie Wileńskim od r. 1816, był nauczycielem w Biąły Radziwiłłowskięj na Podlasiu, od r. 1833 był inspektorem szkół w Warszawie, a w r. 1850 otrzymał emeryturę. Z powołania swego zajmując się pracami naukowemi, mało drukował; więcej pozostawił w rękopismach. Kilka tylko rozpraw ogłosił drukiem 1821 r. w programacie szkoły Bialskiej *Rzecz o matematyce* i w Pamiętniku *Religijno-moralnym*. Zaczął zgromadzać zbiór przysłów polskich, z których ustępy drukował w Kalendarzu J. Ungra.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.